



Wypatrując bez końca gwiazdki na niebie,
można przegapić to, co jest tuż obok,
zwyczajne cuda na wyciągnięcie ręki

*Zwyczajne
cuda*

AGNIESZKA JEŻ

FILIA

AGNIESZKA JEŻ

*Zwyczajne
cuda*

FILIA

PROLOG



Tablica była zwyczajna, podobnie jak okolica, w której ją ustawiono – bloki z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, odmalowane na biało lub w pastelowych kolorach, niskie, ukryte wśród gęsto posadzonych drzew. W lecie bujna zieleń sprawiała, że było tu całkiem miło. Drzewa potrafią zdziałać cuda, jeśli idzie o maskowanie wszelkich niedoróbek planistyczno-architektonicznych. Teraz jednak, na początku listopada, pod zachmurzonym stalowoszarym niebem, osiedle wyglądało dość posepnie. Równie niezachęcająco prezentował się lokalny bazar ogrodzony płotem obwieszonym podniszczonymi banerami. W ciepłych miesiącach stragany z owocami i kwiatami oraz powiewające na wyniesionych na zewnątrz wieszakach ubrania kolorami skutecznie przysłaniały nieład i brzydotę bazarowych bud, teraz jednak pozostała naga i brzydka prawda o tym miejscu.

W tle wyrastała błyszcząca ściana centrum handlowego z pomarańczowym neonem reklamującym kino. Niby ładna, ale z powodu kontrastu z otoczeniem, zamiast dodawać mu uroku, obnażała jego mankamenty.

Tablica – metr kwadratowy płyty pilśniowej w poszarzałych drewnianych ramach, gdzie można było przykleić ogłoszenia i ulotki reklamowe – stała między wejściem na plac targowy a przystankiem autobusowym, pod roslym kasztanowcem, pozbawionym już prawie całkowicie liści.

Na niej też nie było niczego ciekawego: oferta sprzedaży ziemniaków z dowozem do domu, polecająca swoje usługi krawcowa, informacja o hotelu dla psów, kilka pożyczek-chwilówek, zaproszenie lokalnego domu kultury na przedstawienie kukielkowe dla dzieci.

Jednak wśród tej prozy szarego życia wybijało się jedno ogłoszenie. Na grubszej białej kartce, pewnie z bloku technicznego, ciemnoniebieskim flamastrem i starannym pismem ktoś prosił:

Popołudniowy piątek, właściwie już prawie wieczorny. Zresztą w listopadzie wszystkie popołudnia błyskawicznie się zmieniają w zbyt wczesne wieczory. Zatem: zbyt szybki, zbyt szary i zbyt zimny listopadowy piątek... i TY.

Chwila, mgnienie, błysk. A potem drzwi się zamknęły i autobus odjechał.

Moment, który zniknął. A może moment, który odmieni nasze życia?

Jeśli wiesz, że TY to właśnie Ty, jeśli czujesz to samo i wierzysz w przedświątne cuda, zadzwoń: 475 100 137.

ROZDZIAŁ 1



– Jakąś książkę o potrawach może? – Iwona niepewnie rozejrzała się po sali.

– O potrawach? – Skrzywiła się Kamila. Subtelnie, ale zauważalnie. Kamila zresztą taka właśnie była: subtelna (czasami) i zauważalna (zawsze) trzydziestokilkulatka, która pewnie wyglądała tak samo dziesięć lat temu i dziesięć lat później jej wygląd również się nie zmieni. Elegancka, choć z pazurem (zresztą pazury też miała, idealną czerwoną hybrydę), w krótkiej zamszowej spódnicy i długich botkach.

– To znaczy nie tylko o samych potrawach, przecież nie będziemy czytać przepisów. – Iwona się uśmiechnęła, ale jednocześnie nerwowo splotła dłonie na apetycznie zaokrąglonym pod różowym swetrem brzuchu. Ewidentnie lubiła przepisy – w każdym wydaniu – i książkowym, i zrealizowanym na talerzu. Była w wieku Kamili i tylko data urodzenia je łączyła. – Chodziło mi raczej o taką pozycję, gdzie jest wszystko: i przepisy, i trochę o kulturze i tradycjach, o tym, jak przystroić stół, udekorować dom...

– Udekorować to byśmy mogli tę salę. – Sławomir, mimo dojrzałego wieku i lekkiej nadwagi, zrywnie podniósł się z krzesła, wstał i podszedł do ściany, na której wisiał plakat z napisem „KLUB CZYTELNICZY NIBYLANDIA”. Próbował docisnąć taśmę klejącą przytrzymującą lewy górny róg kartki, ale bez efektu. – Na farbie wodnej to się nie będzie trzymało. Gdyby ta lamperia z olejnej była

pociągnięta wyżej – dłonią zaznaczył odpowiednią wysokość – to dobra taśma dwustronna pewnie dałaby radę.

– Już samo słowo „lamperia” jest okropne. – Kamila aż się wzdrygnęła. – A do tego jeszcze ten seledynowy kolor. Jak w prosektorium – westchnęła z obrzydzeniem.

– Tak się kiedyś malowało. – Do rozmowy włączyła się Dorota, schludnie ubrana w starannie odprasowaną koszulę i wełnianą kamizelkę sześćdziesięciolatka.

– No pewnie! – przytaknął Sławomir. – Wszystko szło pod olej, bo to było tanie i skuteczne rozwiązanie. Mokrą ścierką się przetrze i po kłopotcie, czyli brudzie. W szkołach tak robili. – Spojrzał na Dorotę, a ona pokiwała głową.

– W mojej tak było i dzięki temu mieliśmy czysto. Linoleum dopucone, ściany bez plam. Dzieci miały różne pomysły, a higiena jest ważna – powiedziała.

„Czystość jest najważniejsza”, tak zresztą powinno brzmieć motto życiowe Doroty, używane naprzemiennie z „Kto nie czyta, grzeszy”.

– Właśnie. U mnie w budynkach na terenie szkoły leśnej też pomalowałem ściany w ten sposób. Praktycznie. No i szpitale, tam to musowo było – dodał Sławomir.

– Ale to jest biblioteka. – Kamila się skrzywiła. – Miejsce, gdzie się obcuje ze słowem pisanim, ze sztuką. A do tego kącik dla czytelnika. Jak on ma obcować, jeśli otacza go brzydota? – Powiodła pełnym dezaprobaty wzrokiem po ścianach.

Siedzieli w bibliotece na warszawskiej Sadybie. Filia numer pięć mieściła się w bloku, na parterze, a właściwie w suterenie. „Niski parter”, mówiła założycielka Klubu Czytelniczego Nibylandia i prowadząca spotkania bibliotekarka Marta Miłkowska. Słowami próbowała zaczarować rzeczywistość, ale ani dobrane lektury, ani gorące, bywało, dyskusje, ani nawet baśniowa nazwa klubu nie zmieniały faktu, że biblioteka od momentu powstania, czyli od czterdziestu lat, wyglądała z grubsza tak samo: półki z płyt paździerzowych w ponurym brązie, ciemne linoleum na podłodze i dwa odcienie seledynu na ścianach. Nowe stoliki, wąskie welurowe

fotele i krzesła z miękkimi siedziskami oraz obrazki w kolorowych ramkach trochę pomagały przegonić przeszłość i nieatrakcyjność, ale to wszystko było pudrowaniem raczej nędznej rzeczywistości.

– Ładnie z olejną nie jest, ale czasem myślę, że powinnam mieć takie ściany w domu. Dzieci to wandale. – Iwona uśmiechnęła się czule. – Waldek regularnie zamalowuje to, co wymażą, ale to jak walka z wiatrakami. W przedszkolu mamy jakiś specjalny materiał na ścianach i powiem wam, że jest super, tylko w mieszkaniu źle by wyglądał. Zresztą podobno jest drogi, a jak się ma dzieci, to człowiek dwa razy każdą złotówkę przed wydaniem obejrzy.

Wśród potakujących zabrakło Kamili, która, jak się domyślali, nawet banknotów stużłotowych nie oglądała – po prostu je wydawała i już. Może czasami zatrzymała wzrok na błyszczącej złotej karcie kredytowej, zresztą pewnie miała ich kilka.

– Mówiłam wam, jak jest – westchnęła Marta. Wyglądała dziś na rozkojarzoną, choć niezmiennie ładnie. Trzydziestolatka, szczupła, lubiąca oryginalne ubrania, zwykle kupowane w second handach (no bo gdzie może robić zakupy bibliotekarka, czyli pracownica budżetówki, i to tej jej części traktowanej najbardziej po macoszemu). Miała ładne niebieskie oczy i ciemnoblond włosy, kręcone, obcięte jak filmowa Amelia. Zresztą była do niej podobna, tylko w innej kolorystyce: Audrey Tautou była ciemna, Marta – jasna. Obie łączyły delikatność i duży urok osobisty. – Miasto nie ma pieniędzy. Jeszcze w zeszłym roku, nawet na początku tego, było spotkanie i pani Basia wróciła z niego pełna wiary, że wreszcie ruszymy z remontem, no ale to, co potem się stało, ta okropna wiosna z wirusem... Efekt jest taki, że miasto zaciska pasa, a my wraz z nim. Z planów nici. – Rozłożyła ręce.

– Mnie by się przydało zacisnąć pasa.– Iwona delikatnie poklepała się po brzuchu. – Dwie cięższe w krótkim odstępie czasu, no i się porobiło...

Dorota i Marta kiwnęły głowami, choć żadna z nich nie miała dzieci. Sławek, też bezdzietny, udał, że nie dosłyszał tej kwestii, zaś

szczupła Kamila zachowała kamienną twarz. Była osobą na wskroś doskonałą, przynajmniej taką aurę rozciągała wokół siebie.

– Zatem nie dość, że o rewitalizowaniu lokalu nie ma co teraz marzyć, to jeszcze mamy obcięty budżet na nowe zakupy. – Marta ze smutkiem popatrzyła na klubowiczów.

– Partycypacyjny? – Do sali wpadła Justyna. – Przepraszam, ale piątki w Warszawie są okropne. Szybciej iść, niż jechać.

– Znowu pada? – Dorota najpierw spojrzała na mokre rajstopy Justyny, a potem na swoje skórzane trzewiki na cienkiej podeszwie.

– Znowu – przytaknęła Justyna. Była trochę starsza od trzech dziewczyn; inaczej też się ubierała, ale nic dziwnego, bo na spotkania klubu przychodziła prosto po pracy. Zajmowała się finansami w dużym konsorcjum budowlanym, więc obowiązywał ją korporacyjny sznyt. Nie lubiła ani tego formalnego stylu, ani tej pracy, szukała czegoś innego, na razie jednak karnie stosowała się do wymogów. – Obcięli nam ten partycypacyjny?

– Każdy obcięli. Tamte wyliczenia były z zeszłego roku, już nieaktualne. – Marta pokręciła głową. – Nawet sobie dziś pomyślałam, że przygotuję kilka plakatów z prośbą o przekazywanie nowości do biblioteki. Dużo osób kupuje książki drukowane, bo woli papier, a po lekturze już nigdy do nich nie wróci. Żal, żeby leżały odłogiem, gdy inni mogliby skorzystać. Nieczytana książka nie żyje.

– Gdyby były lepsze, to może by wracali do lektury – powiedziała Dorota.

– Odezwała się w pani polonistka. – Uśmiechnęła się Iwona.

– Nie ma nic złego w dobrej literaturze, jak sędzę. – Dorota była wciąż uprzejma, ale ton jej głosu się ochłodził.

– Nie, no nie, skąd, tylko czasem człowiek potrzebuje czegoś... nieskomplikowanego, lekkiego, żeby się oderwać... – Widać było, że Iwona potrzebuje tego oderwania, ale jednocześnie nie potrzebuje bury od Doroty.

Dorota już się szykowała, żeby coś odpowiedzieć, i zapewne byłoby to w kontrze do potrzeb i marzeń Iwony, ale Marta wkroczyła do akcji.

– Właśnie! – Klasnęła w dłonie. – No to wybierzmy w końcu tę listę książek na grudzień, żebyście mieli czas na lekturę. Iwona chciałaby coś kompleksowego o świętach. W tej chwili nic mi nie przychodzi do głowy, ale potem usiądę do katalogu i poszukam czegoś pasującego. – Uśmiechnęła się do niej. – Jakie jeszcze typy? – Popatrzyła na pozostałych klubowiczów.

– *Opowieść wigilijna* – zaproponowała Dorota. – To klasyk – dodała szybko – ale do klasyki warto wracać. To zresztą cecha rozpoznawcza klasyki – można, a nawet trzeba ją czytać kilka razy. Z wiekiem i doświadczeniem zmienia się odbiór dzieła literackiego.

– Tu to chyba jest niezmiennie – facet był zły, przestraszył się śmierci i starości, i tyle. – Kamila sceptycznie podeszła do tej teorii.

– Fakty nie ulegają zmianie, ale gdy komuś daleko do sędziwego wieku, to go to nie rusza. Potem to już różnie. – Sławek jakby zmarkotniał. – Ja bym chętnie coś o roślinach, ekologii poczytał. Wiecie, że to mój konik. Oczywiście w ujęciu świątecznym – zastrzegł szybko.

– No... – Marta przeciągnęła to „o”. – To wyzwanie.

– Ja nigdy o nic nie proszę, czytam karnie, co wybiierzecie. – Sławek rozłożył ręce w geście poddaństwa. – Ale może tym razem coś dla mnie?...

Klubowicze pokiwali głowami.

– Wiemy, dlatego postaram się coś znaleźć. Co jeszcze? – zapytała Marta.

– No klasycznie, to znaczy normalnie. – Iwona rzuciła spojrzenie w kierunku Doroty, ale ta nawet nie mrugnęła. – Jakies powieści świąteczne.

Dorota westchnęła w duchu, to znaczy tak się jej chyba wydawało, w rzeczywistości jednak ten odruch dezaprobaty musiał być czytelny i słyszalny, bo Iwona znowu splotła ręce na podołku.

– Mamy sporo nowości świątecznych, dziś po spotkaniu wprowadzę je do katalogu, potem przejrzę i wybiorę trzy, z których wy, wspólnie – rzuciła ukradkowe spojrzenie w kierunku Doroty – zdecydujecie się na jeden tytuł.

– Ja bym jeszcze chciała jakiś kryminał. – Justyna już usiadła w wolnym fotelu.

– Na święta? – zdziwiła się szczerze Iwona.

– Święta czasem przypominają kryminał – pusto, ciemno, nieprzyjemnie – zażartował Sławek, ale Marta wyczuła w tych słowach silnie maskowany smutek. „No proszę”, pomyślała, „święta to jednak papierek lakmusowy zadowolenia z życia. U Sławka musi być czerwony, czyli kwas”. U Marty błyszczał na niebiesko, co oznaczało mnóstwo zasad, a to z kolei w sumie też dawało kwaśną atmosferę.

– Święta to obowiązek – skwitowała Kamila.

Marta dałaby sobie rękę uciąć, że każde z nich pomyślało w tej chwili to samo: „Jakie ty masz obowiązki, dziewczyno?”. Kamila nie była zbytnio wylewna, wiedzieli o niej niewiele, na przykład to, że nie pracowała zawodowo.

Milczenie klubowiczów najwyraźniej jednak zachęciło Kamilę do rozwinięcia wątku.

– Cały grudzień to szczerze zapisany kalendarz: szkolne jasełka, szukanie strojów, chodzenie na próby, potem na te spektakle, kilka miesięcy wcześniej zabukowane terminy u kosmetyczki i fryzjerki, zamawianie cateringu, też z wyprzedzeniem, przedświąteczne spotkania w pracy, znaczy u Marka, wino ze znajomymi, pakowanie się na wyjazd sylwestrowy, no, po prostu niekończące się zajęcia.

– No, my też mamy dużo... – Iwona pokiwała głową. Ona również miała dzieci, dwójkę, a do tego pracowała zawodowo – była przedszkolanką. Jej mąż był elektrykiem, a nie dyrektorem przez duże D, jak mąż Kamili.

„Święta”, zamyśliła się Marta. Nie lubiła świąt. To znaczy nie miała nic do samej idei, bo przecież w założeniu – czy to religijnym, czy zwyczajowym – święta były dobrym czasem, to znaczy powinny być dobrym czasem. Praktyka jednak zawodziła. Co roku, im bliżej dwudziestego czwartego grudnia, tym gorzej Marta się czuła. Lubiała, gdy dni świąteczne wypadały w weekend i czas wolny się nie przeciągał. W rzeczywistości bowiem nie był to czas wolny, a czas

solidnej napinki i stresu. Kiedyś było inaczej. Kiedyś, to znaczy w dzieciństwie. Wtedy jednak żyła inaczej – doborowa trójka – ona, mama i tata. Potem się jednak okazało, że dobór wcale nie był taki trafny, i zostały we dwie z mamą. A mama...

– Wśród nowości mamy też kryminały i thrillery, również coś wybiorę. Niech będzie różnorodność – dodała asekuracyjnie, żeby nikt jej nie posądził o zabójcze myśli podczas świąt.

Klubowicze Nibylandii niewiele o sobie wiedzieli. Zнали swoje imiona, choć starsza dwójka, czyli Dorota i Sławek, pozostawali ze wszystkimi, także ze sobą, na „pan” i „pani”. Orientowali się, jaką kto ma sytuację rodzinną – czy samotny, czy dzieciaty. Wiedzieli, kto i gdzie pracuje, a kto już na zasłużonej emeryturze. Nie zagłębiali się jednak zbyt w swoje życia prywatne. Czasem ktoś coś powiedział, zapraszając do swojego świata, ale nigdy nie były to głębokie zwierzenia.

Wszystkich łączyła jedna cecha: zamiłowanie do książek. Ona jednak też nie była jednorodna: jedni przychodzili tu, bo lubili mówić, drudzy – słuchać; dla jednych książki były poznawaniem życia, dla innych – ucieczką od niego. Niektórzy szukali w literaturze ukojenia, inni – przygód. Rzadko poruszali te tematy, zresztą może nie zawsze zdawali sobie sprawę, co ich pcha do świata książek, czego w nim szukają.

Marta mówiła o sobie najmniej. Trochę dlatego, że pracowała w bibliotece, prowadziła ten klub, była taką jakby szefową, a szefowa – wiadomo – się nie zwierza, a trochę dlatego, że w jej życiu mało było elementów, o których by z przyjemnością opowiadała.

– Dobrze, no to z grubsza sobie ustaliliśmy plan na grudzień. Pomyślcie jeszcze nad propozycjami i w przyszły piątek przygotujemy konkretną listę. – Marta wstała, dając znak, że to spotkanie klubu książki właśnie dobiegło końca.

– A w tej świątecznej – Iwona też się podniosła i podeszła do Marty, jakby nie chciała, żeby ktoś prócz niej ją usłyszał – to fajnie by było, żeby był wątek o miłości. – Jej twarz była teraz w kolorze jej swetra. – Bo miłość... no miłość jest strasznie ważna, zwłaszcza

w święta. Dlatego się jej szuka także w książkach – dodała jeszcze ciszej.

Miłość. Marta poczuła, że jej serce nagle przyspieszyło. Ona też szukała miłości. Nie tylko w książkach, lecz przede wszystkim – w życiu. I ostatnio nawet...

„Te święta mogą być inne”, szepnęła jej cicho intuicja.

ROZDZIAŁ 2



Przymknął powieki i potarł je palcami. Podniósł. Obraz wciąż był niewyraźny. To nie była wina monitora, bo był płaski, duży i przyjazny dla oczu. High-tech, jak wszystko zresztą w tym pokoju. To Krzysztof przestawał być high-tech.

Dziś rano zauważył, że ma pierwszy siwy włos. Srebrny, twardy, odznaczał się wśród błyszczącego brązu. Lubił swoje włosy; faceci obcinali się teraz na piłkarzy, krótko, a on wolał dłuższe włosy – styl angielski. Potem, gdy wyciągnął z szafy dawno nienoszony garnitur, jeszcze z folią z pralni, ze zdziwieniem stwierdził, że spodnie się skurczyły. W pierwszej chwili pomyślał, że to wina prania w zbyt gorącej wodzie, ale przecież w pralni chemicznej nie gotuje się ubrań w balii.

Starzał się, i tyle.

Oczywiście, że podszedł do tego racjonalnie, bo po pierwsze był facetem, więc myślenie o wyglądzie zajmowało go mniej niż jego koleżanki, taki bonus płci, po drugie skończył farmację, więc doskonale wiedział, że organizm to maszyna, z ferrari nieustannie i nieuchronnie zmienia się w trabanta, którego karoseria się sypie, a silnik w końcu zaciera. Mimo wszystko zrobiło mu się nieswojo. Chodziło o to, że czas płynął tak... niezauważalnie. W przyszłym roku Krzysztof skończy czterdzieści lat, a przecież dopiero co odbierał dyplom na uczelni. Niedawno zaczynał pracę w LabMedzie na stanowisku młodszego specjalisty, a teraz był szefem grupy

badawczej. Kiedy to wszystko, co pomiędzy tymi momentami się wydarzyło, minęło?...

Kilka razy mrugnął. Trochę lepiej, cyferki w tabelach odzyskały ostrość. Okulistę musi odwiedzić, ale wzrok ma prawo mieć zmęczony. Ostatnie tygodnie były wyczerpujące. Do końca roku musieli zamknąć ten etap badań, więc spędzał przed monitorem wiele godzin.

Usłyszał delikatne puknięcie, a zaraz potem do jego gabinetu weszła Joanna – szczupła, uśmiechnięta szatynka z włosami spiętymi w koński gon, który falował na boki przy każdym jej kroku.

– Nie chcę ci przeszkadzać, ale zaraz wychodzę, bo już po piątej.
– Zawsze to mówiła, i zawsze takim usprawiedliwiającym się tonem; jej dzień kończył się o siedemnastej, a Krzyśka zdawał się trwać całą dobę.

– Przecież wiem, o której kończysz pracę. Ja po prostu mam coś do zrobienia – odparł, uśmiechając się. Lubił Joannę; była miła, mądra i świetnie zorganizowana. Doskonała asystentka.

– Zawsze masz coś do zrobienia – westchnęła, podchodząc do biurka. – Jesteś pracoholikiem.

– To cholernie ważne badania, przecież wiesz. – Powiedział to tak, jakby się bronił. Cóż, sam przed sobą zaczął się już przyznawać, że praca całkowicie wypełniała jego życie.

– Ale nie samymi badaniami się żyje. Czasem trzeba przejść w inny tryb. I dlatego przypominam ci o przyjęciu świątecznym.

– Kiedy? – Zdębiał.

– No, przed świętami, tradycyjnie. – Uśmiechnęła się. – W walce z chorobami serca pragniemy rewolucji, ale w kalendarzu – nie.

– A, to przecież wiem, ale to jeszcze miesiąc. Coś się zmieniło? Artur odwołał, przelożył, zmienił miejsce?

– Masz na myśli wasze, menadżmentu spotkanie. Tu bez zmian, szykuj lakierki i elegancki krawat. Ja pytałam o nasze spotkanie, działu, pamiętasz?

– No pewnie, że pamiętam, cieszę się, wszystkim się przyda taka miła chwila wytchnienia i zabawy.

– Przyda się, jak się ją zorganizuje. Dwa tygodnie temu wysłałam ci mejl z pytaniem, czy masz preferencje co do miejsca i czasu. Potem przypomnienie. I jeszcze jedno. A teraz przychodzę, bo czas płynie tylko w jedną stronę, do przodu, rozumiesz.

Roześmiał się. Naprawdę lubił Aşkę. Prócz wszystkich profesjonalnych zalet miała także kompetencje miękkie – była bezpośrednia, empatyczna i z poczuciem humoru. Dobrze było z nią pracować.

– Słuchaj, przepraszam, ale... – zaczął.

– Nie miałem czasu – dokończyła za niego.

– Jestem przekonany, że cokolwiek wymyślisz, będzie super. Mam do ciebie całkowite zaufanie.

– Czyli jak zawsze – szukam, umawiam, zaklepuję, a potem ty mnie komplementujesz, zachwycony. – Uśmiechnęła się do niego. – Dobra, w poniedziałek się tym zajmę. Cześć. – Odwróciła się i poszła w stronę drzwi.

– Taka tradycja – odparł. – Miłego weekendu.

Joanna przeszła przez próg i zatrzymała się przy swoim biurku. Widział, jak wyłącza komputer i schyla się po torebkę. Poczuł się jeszcze bardziej zmęczony. Może nie bez powodu dzień pracy trwa osiem godzin? Zresztą efektywnie można pracować jeszcze krócej. Postanowił się przejść. Pogoda nie zachęcała, ale wspomnienie ucisku w pasie, gdy próbował dopiąć guzik spodni, motywowało. Niedaleko biurowca mieli fajny park, akurat na szybki dwudziestominutowy marsz. I nawet przestało padać.

Włożył płaszcz i wyszedł z pokoju.

Gdy był na wysokości biurka swojej asystentki, usłyszał:

– A, jeszcze jedno, to ważne. Nie wiem, czy pamiętasz, ale rozmawialiśmy, tak wstępnie, że w tym roku ludzie chcieliby przyjść na to spotkanie przedświąteczne z rodzinami. To znaczy na to nasze, działowe, z jedną osobą towarzyszącą – z chłopakiem, żoną, partnerem, kto tam kogo ma. A jeszcze oprócz tego, to ja sama już pomyślałam, fajnie by było zrobić coś dla dzieciaków. W innym terminie, na przykład w sobotę koło południa, może jakieś

przedstawienie w teatrze, a potem paczki od firmy? Też bym się tym zajęła. Jak myślisz? – Popatrzyła na niego.

Krzysztof wpatrywał się w jej biurko. Było pełne skoroszytów i katalogów, ale schludnie poukładanych. Kubki z długopisami i markerami stały równo, na tablicy magnetycznej panował porządek. Wszystko było monochromatyczne, w odcieniach srebra i szarości. Jedyne wyjątek stanowiły cztery kolorowe ramki ze zdjęciami. Były na niej dzieci Aśki – dwoje rozkosznych przedszkolaków; na jednej z fotografii była także jego asystentka – zimowa sceneria, wszyscy w wełnianych czapkach i szalikach. Aśka stała w środku, dzieci miała po obu stronach. Były na niej uwieszone i bardzo roześmiane. Co on o niej właściwie wiedział? Zawodowo – dużo, prywatnie – bardzo mało, a przecież praca to tylko część życia. To znaczy tak było w przypadku Aśki i innych pracowników, którzy chcieliby przyjść na imprezę świąteczną z kimś bliskim, a potem pobawić się wspólnie z dziećmi.

– Tak, jasne – odparł, lekko speszony, że tak się przy niej zamyślił.
– Oba pomysły bardzo fajne, działaj, dzięki.

Zjechał windą, przeszedł korytarzem do drzwi obrotowych, wyszedł na zewnątrz i się zatrzymał. Wiało, więc zapiął płaszcz i postawił kołnierz. Szybkim krokiem przeciął wewnętrzną ulicę, a potem, równie energicznie, chodnikiem, szedł w kierunku parku. Po drodze minął kilka spieszących się osób – dwoje dorosłych z dziećmi, elegancką panią z torbą wypchaną książkami, mężczyznę z teczką i zakupami. Wszyscy chcieli się gdzieś prędko dostać – zapewne do swoich domów. On też się spieszył, ale po to, by rozruszać organizm, i tak wzmocniony wrócić do pracy.

Zaczął myśleć o mamie. Znowu dopadły go wyrzuty sumienia, że już dawno u niej nie był. Ostatni raz w wakacje. Przyjechał wtedy na kilka dni; była ładna pogoda, nawet odpoczął. Dużo chodził, Podlasie jest przecież takie ładne, na kilka spacerów wybrali się wspólnie. Pomógł jej w sadzie; praca fizyczna dobrze mu robi, pozwala wyrzucić nieprzyjemne myśli z głowy. A potem wyjechał, wrócił do siebie, to znaczy do Warszawy. Tu był teraz jego dom. Tamten,

rodzinny, czyli pomalowany na jasnobrązowy kolor drewniak, otoczony kwiatami, rabatami warzywnymi i sadem, został dwieście kilometrów stąd. Gdy myślał o dzieciństwie, miał ambiwalentne odczucia; dom to był zapach sianokosów, kąpiele w Bugu, soczyste papierówki i kulig w zimie. Ciasto drożdżowe mamy i jej czułe dłonie, kiedy znowu wracał z potłuczonymi kolanami. Dom to jednak był także ojciec – wiecznie niezadowolony, burczący, chcący mieć na wszystkim kontrolę. Mający nad wszystkim kontrolę – na pewno nad nim i nad mamą. Chodzili oboje na paluszkach. Początkowo on, jak matka, stosował się do reguł tej gry. Potem, gdy był w liceum, zbuntował się. Jeśli ojciec go uderzył, oddawał. Kiedy wyjechał na studia, odetchnął, choć nie do końca. Bardzo kochał matkę, ale ona była zaimpregnowana na wszelkie namowy, by zmieniła życie, to znaczy zostawiła ojca. Nie potrafiła, nie chciała. Wiara, lęk, poczucie obowiązku – różnie to tłumaczyła i nie opuszczała drewnianego domu. Krzysiek się złościł, ale tylko wewnętrznie – mamie nie potrafiłby zrobić awantury. Gdy był na czwartym roku, ojciec umarł. Tętniak pękł, i już. Poczł ulgę, a potem wyrzuty sumienia z powodu tej ulgi. Mama została wdową. Po szesnastu latach od tego dnia wciąż mieszkała w tym samym domu, coraz starsza, coraz bardziej potrzebująca troskliwego sąsiedztwa. Za nic jednak nie chciała się przeprowadzić do Warszawy. Krzysiek proponował, że kupi jej małe, ładne mieszkanie, niedaleko niego, że na Powiślu jest dużo zieleni, spokojniej niż w centrum, nad Wisłę można pójść, do kina i teatru, biblioteki, wśród ludzi być. Nie i nie. On nie chciał wracać na Podlasie, ona nie chciała z niego wyjeżdżać. Całkowicie się ich życia rozjechały.

Niecałe pół godziny później znowu był w windzie.

Przyłożył kartę do czytnika, przeszedł po miękkiej wykładzinie korytarza, otworzył drzwi do pokoju Joanny, przez który wchodziło się do jego gabinetu. Gdy mijał jej biurko, ponownie spojrzał na zdjęcia w kolorowych ramkach. Potem wszedł do siebie, usiadł w miękkim, skórzanym fotelu obrotowym. Spojrzał na blat. Nie było

tu niczego, co nie byłoby związane z pracą. Było sterylnie i pusto, jak w jego życiu.

ROZDZIAŁ 3



– Cześć, myślę, że to mogę być ja. – Głos nie brzmiał, jakby należał do Hugh Granta, i to nie tylko dlatego, że przemawiał w języku polskim. Był zbyt wysoki, zbyt szybko te słowa zostały wypowiedziane, zupełnie bez uroku – bez uwodzicielskiego uroku. – Jestem przekonany, że to jestem ja. – Tym razem został naznaczony pewnością siebie, ale wdzięku mu od tego nie przybyło.

– Z kim rozmawiasz? – zapytała matka.

Marta zaklęła w duchu. Dzisiaj był wtorek, a we wtorki matka chodziła do pani Alinki, czyli swojej fryzjerki. Pani Alinka miała salon niedaleko mieszkania Marty, więc po umyciu i ufryzowaniu matka przychodziła do córki. Pewnie żadna z nich nie potrafiłaby powiedzieć, od jak dawna ten zwyczaj się utrzymywał, ale jedno było pewne – nie dałoby się go wykorzezić. Zresztą Marta nawet nie próbowała; z matką się nie wygrywało. No, może ojcu się udało, ale to zwycięstwo było okupione wieloma bitwami, znojem i cierpieniem. A na końcu – rozwodem.

Zasłoniła telefon dłonią i cicho powiedziała:

– Ze znajomym. – Po czym przeszła z dużego pokoju do kuchni. – Och, to miło – powiedziała głośniej, tym razem do aparatu. – No to może...

– Spotkajmy się. – Teraz głos przeszedł do ofensywy. – Nie ma na co czekać, prawda, ha, ha. – Śmiech był trochę nerwowy, ale Marta uznała, że dobrze, że on się nerwowo śmieje, bo kto by nie był

zdenerwowany w takiej sytuacji (z wyłączeniem psychopatów). Ona była.

– To z-znaczy dziś? – zapytała z delikatnym zająknięciem.

– Dziś. Proponuję Bistro Paris, w centrum handlowym. Wiesz, gdzie to?

– Tak – odparła i zanim zdążyła pomyśleć, że w sumie to nie jest pewna, czy podoba jej się fakt, że on tak skraca dystans, od razu mówiąc jej na „ty”, rozmówca rzucił:

– To o dwudziestej. Pa.

– Pa. – To już powiedziała do pikającego sygnału zakończonej rozmowy.

Poczuła, że się trzęsie. Lekko, ale jednak. Wszystko ją wytrąciło z równowagi – i ten telefon, i ten głos, i pracująca teraz na pełnych obrotach wyobraźnia, która zaczęła ekspresowo produkować przyszłe obrazy z Bistro Paris.

Z równowagi wytrącała ją też matka. Na co dzień w stopniu akceptowalnym, ale dziś, teraz, w obliczu zbliżającej się randki, dygot się nasilił. Zresztą i bez tej nadzwyczajnej okoliczności ich relacje zawsze się psuły pod koniec roku. Im bliżej było do świąt, tym bardziej między nim zgrzytało. Im zimniej na zewnątrz, tym chłodniejsze stosunki je łączyły. I fakt, że od kilku lat zimy upodabniały się do jesieni, nic nie zmieniał – wichury i burze z gradami to również nie są przyjemne zjawiska.

Odetchnęła głęboko i wróciła do dużego pokoju.

– No i co tam? – zapytała matka od niechcienia, niby to poprawiając sobie wylakierowane na beton włosy. To znaczy takim tonem zostało to pytanie zadane, ale Marta wiedziała, że matkę aż skręca z ciekawości.

– Umówiłam się. Na dwudziestą – powiedziała Marta.

– Późno – skwitowała mama.

– Tu niedaleko, w gale... – Marta znowu się dała na to nabrać. Zawsze się dawała na to nabierać. Miała trzydzieści lat, ale gdy była w towarzystwie mamy, czuła się i zachowywała jak nastolatka: tłumaczyła się i dygała. – Nie odpytuj mnie! – wybuchła.

– Nie odpytuję. Wyraziłam tylko swoje zdanie, można je było zignorować. Zresztą macie w tym pewną praktykę.

„Macie”. Matka miała na myśli Martę i ojca. Tym razem jednak Marta nie dała się wciągnąć w dyskusję, milczała.

– No tak, o dwudziestej, mówisz, teraz jest kwadrans po szóstej, będziesz się chciała na pewno przygotować – obrzuciła ją taksującym wzrokiem – bo na razie jesteś w ubraniu roboczym... – Marta była w dżinsowych aladynkach i kolorowym wełnianym swetrze, całkiem dobrze wyglądała, przynajmniej tak się jej wydawało – ...więc pewnie mamy dla siebie maksymalnie pół godziny. Cóż, trudno, dopiję herbatę i będę się zbierać. – Usiadła w fotelu i podniosła filiżankę do ust. Marta pijała z kubków, ale dla mamy wyciągała porcelanę po babci.

– Mamo – odchrząknęła – bardzo mi miło, że do mnie wpadasz we wtorki, ale czasem mam swoje sprawy, swoje życie. To chyba nie jest dziwne, prawda?

– Nie, no skąd. – Ton głosu matki świadczył jednak o tym, że jest to zarówno dziwne, jak i okrutne. – Ja się po prostu o ciebie martwię. Myślę o tym, jak się możesz czuć, kiedy on cię porzuci.

– Mamo, to jest nasze pierwsze spotkanie. Nie opowiadałam ci o nim, bo sama go jeszcze dobrze nie znam. – Nie znała go wcale, ale po co dolewać oliwy do ognia – wiadomość, że spotyka się z obcym facetem, jeszcze bardziej by matkę uaktywniła do dawania rad. – I nie rozumiem, dlaczego zakładasz, że on mnie od razu porzuci.

Matka spojrzała na nią wzrokiem sfinksa, który pilnował dostępu do Teb.

– Takie jest życie, niestety. Prędzej czy później mężczyźni odchodzą.

Marta ponownie postanowiła, że tym razem nie da się w to wciągnąć. „Cholera jasna, ile można?”, pomyślała, mocniej zaciskając zęby.

Matka patrzyła na nią. Nie doczekawszy się reakcji, kontynuowała:

– Na przykład twój ojciec...

No i Marta nie wytrzymała. Mogła sobie obiecywać nie wiadomo ile razy, że już więcej nie będzie grać w gierki matki, że już będzie spokojna i opanowana, że po prostu przemilczy, a i tak zawsze się kończyło tak samo: wybuchała.

– Jezu, mamo, to było prawie dwadzieścia lat temu!

– Szesnaście – sprecyzowała matka.

– Może jeszcze dokładną liczbę dni podasz, co?

Z miny matki wywnioskowała, że mogłaby to zrobić.

– Nie wiem, dlaczego wciąż próbujesz negować fakt, że twój ojciec mnie zostawił. Takich rzeczy nie można przemilczać, o takich rzeczach nie można zapominać. To powinno być twoje memento.

– Moje? A dlaczego niby moje? – „Tego jeszcze nie grali”, pomyślała. Co tym razem matka wymyśliła?

– Bo rodzic to dla dziecka wzór, a ty właśnie idziesz w ślady twojego ojca. Zbliżają się święta, a ja jestem samotna. – „Samotna” powiedziała z wyraźną, masochistyczną przyjemnością. – I ty chcesz samotną matkę porzucić.

– Ja cię chcę porzucić? Ja?! – W Marcie się zagotowało.

„Oddychaj”, powtarzała sobie w myślach, „oddychaj”.

– No, umawiasz się z mężczyzną, sama powiedziałaś, że to dopiero początek, więc teraz jeszcze cię nie zostawi, zatem naturalną konsekwencją będzie pomysł, by spędzić z nim święta, ignorując fakt, że porzucona, samotna, starsza i wrażliwa pani cierpi.

Sztuczka z oddychaniem, o której przeczytała kiedyś w poradniku *Jak radzić sobie z lękiem i agresją*, działała. Tętno Marty powoli wracało do standardowych wartości.

– Mamo – powiedziała i zamilkła. – Mamo – powtórzyła. Ton był odpowiedni, bo matka jej nie przerwała. – Nie jesteś wrażliwa ani delikatna. Jesteś jak najtwardszy diament.

– Twardsze od diamentów są lonsdaleit i azotek boru.

No tak, matka skończyła geologię, pracowała w Muzeum Ziemi.

– Jesteś jak azotek boru i lons...

– ...daleit.

– ...daleit. Jesteś silną kobietą, która... która czasami – „Nie jesteś szczerą”, pomyślała Marta – zwłaszcza w okresie przedświątecznym, lubi się nad sobą użalać, zupełnie bez powodu.

– Bycie samotną prawie sześćdziesięciolatką to nie jest powód do radości. Mam prawo do smutku. – Mama zachowała odrębne zdanie.

– Masz też prawo, żeby coś wreszcie zrobić ze swoim życiem. – Marta nie ustępowała.

– Nie miałam czasu, całe życie ci poświęciłam. Zajmowałam się tobą, bo ojciec miał co innego do roboty.

– Tata zawsze chciał się ze mną spotykać, to ty byłaś przeciwna. – Marta wciąż była spokojna, ale nieustępliwa.

– Ja to pamiętam inaczej. No, nieważne, chcę ci tylko powiedzieć, że moja wrażliwość ma solidne podstawy. Cóż – mama znacząco spojrzała na zegarek – nie zatrzymuję cię już, przygotuj się do tego spotkania. – Teraz patrzyła na córkę. – A skoro o świętach mowa, to tak sobie myślę, że może w tym roku bym ci kupiła coś z garderoby?... Na przykład jakąś porządną spódnicę. Albo spodnie. Porządne. Ewentualnie sweter.

„Porządny”, pomyślała Marta.

– Porządny. Nie przelewa mi się, państwo nie ceni pracowników nauki, ale matka dla jedynej córki zrobi wszystko. No, to pomyśl i daj mi znać. Albo ja do ciebie zadzwonię jutro, to przy okazji zapytam o to dzisiejsze spotkanie. Pa, córeczko. – Matka ścisnęła ją za ramiona i trzy razy z głośnym cmoknięciem pocałowała powietrze wokół jej policzków. – Pa – powtórzyła już ciszej.

Martę owionął silny zapach lakieru do włosów, a po chwili usłyszała delikatny dźwięk zamykanych drzwi.

Westchnęła. Wciąż to samo. I mama była taka sama, i uczucia, które Marta do niej żywiła – też. W obu tych przypadkach emocje były rozhuśtane od prawa do lewa.

Mama nie była złym człowiekiem, żadna mama przecież nie jest, a przynajmniej żadne dziecko tak nie pomyśli. Miała swoje wady, jak każdy. Najgorszą było to, że mama zawsze musiała mieć rację. Konkretna, rzeczowa, nieznosząca sprzeciwu, z ogromnym trudem

akceptująca głos odrębny. To Marta pamiętała z dzieciństwa; chyba nawet jej to nie przeszkadzało wtedy, lubiła taki poukładany świat. Ojciec się z matki podśmiechał, czasem bywał uszczypliwy, a potem się z nią rozwiódł. Teraz, z perspektywy czasu, Marta widziała, jak bardzo do siebie nie pasowali. Tata od kilkunastu lat był bardzo szczęśliwym mężem żony całkowicie innej od jej matki: niedoskonałej, trochę roztrzepanej, trochę zapominalskiej, wylewnej plastyczki. Marta polubiła tę nową rodzinę – była jeszcze para trzynastoletnich bliźniaków – ale tkwiła między młotem a kowadłem, bo mimo upływu lat żal matki do ojca nie słabł. Zresztą teraz to już chyba nie był żal; matka zmieniała naturalne w takiej sytuacji lęk i smutek w starannie pielęgnowaną zapięłość. Postanowiła już na zawsze pozostać nieszczęśliwą, okrutnie porzuconą żoną, której wszyscy powinni współczuć. Eksmęża należałoby zaś potraktować torturami ze średniowiecznego repertuaru, a przynajmniej nie utrzymywać z nim kontaktu, bezustannie – z oddali – przypominając, czym sobie zasłużył na taki los.

Marta kochała ojca, z wzajemnością. Macoszka była dla niej dobra, bliźniaki tęskniły za starszą siostrą. W ciągu roku te spotkania się odbywały bez większych zakłóceń, ale w święta... Drugiego dnia świąt, gdy Marta szła do ojca, matka zwyczajowo zaczynała chorować. Bóle głowy, które mogły być zwiastunem udaru; klucie za mostkiem, niechybnie zapowiadające atak serca; ucisk w brzuchu, który niebawem przejdzie w zadzierzgnięcie jelita. Marta opanowywała pożar, szła do ojca, co kwadrans odbierała SMS-y od matki, by wieczorem usłyszeć: „Dziękuję, jest lepiej, już mi przeszło”.

Nie zmieniało się nic, mimo upływu lat. Matka nie miała ochoty przemeblować swojego życia, doskonale się czuła w roli ofiary. Marta chciałaby zmiany – i jej, i swojego życia, ale na obu polach osiągała mierne efekty.

Westchnęła. Nie będzie się kolejny raz zanurzała w przeszłości. Co było, to minęło, teraz trzeba patrzeć w przyszłość. Nie taką bardzo odległą, limit półtoragodzinny jest w sam raz.

Była ciekawa tego spotkania. Co tam ciekawa – była podekscytowana! Pierwsze randki są specyficzne – lęk zmieszany z nadzieją, dreszczyk emocji. Każda nowa randka jest jak nowe otwarcie – dotychczasowe wpadki i potknięcia, zawiedzione marzenia i różne niespełnienia zostają odłożone na bok, bo a nuż tym razem będzie inaczej?...

Ten głos... Inaczej go sobie wyobrażała. Głos powinien pasować do właściciela. Właściciel zaś był taki przystojny! Nie w nachalny, żurnalowy sposób – po prostu ładna, miła twarz, błysk w oku, rozwiane włosy, coś pociągającego w ruchach. No i to spojrzenie! I to drgnięcie serca! Po prostu intuicja. Czy ktoś taki może mieć nijaki głos? „Aparat zniekształca”, pomyślała. „Na żywo na pewno będzie inaczej”.

Spojrzała w lustro. Czy naprawdę wygląda nieodpowiednio? Przecież taki ma styl. Kolorowy, oryginalny, po prostu jej. Ma jakieś „typowe” ciuchy, ale jeśli je włoży, to będzie jak przebrana, nieprawdziwa. Z drugiej strony, może mama ma rację? Może na pierwszej randce powinna się zaprezentować w czymś „porządnym”?

– Cholera jasna – powiedziała do swojego odbicia w lustrze. – Zostaw wreszcie te wszystkie rozkminki. Rusz się, bo się spóźnisz. I bądź sobą.



W galerii handlowej zawsze był tłok, ale na początku listopada jeszcze gęstniał. Pogoda zniechęcała do spacerów na świeżym powietrzu, poza tym zaczynał się sezon przedświąteczny. Handel jeszcze się trzymał zasady, żeby najpierw uczcić zmarłych, i dopiero po drugim listopada wpuszczał na wystawy i na półki bombki, renifery, mikołaje i inny bożonarodzeniowy asortyment, choć i tu były już wyłomy. Marta pod koniec października widziała w sklepie jednej z sieci spożywczych czekoladowe figurki świąteczne. „Co za brak

wyczucia”, pomyślała wtedy. Zresztą nie tylko o wyczucie chodziło. Jeśli się na coś patrzy na okrągło, jeżeli wszędzie migocze, błyszczą i dzwoneczki dzwonią, to po dwóch miesiącach takiej ekspansji człowiek ma dość. Świąteczny klimat się przejada, jak druga tabliczka czekolady albo kolejne piętro ptasiego mleczka. Człowieka zaczyna mdlić.

Przejrzała się w mijanym lustrze. Wyglądała naprawdę ładnie. Umalowała się, mocniej niż do biblioteki (dlaczego tak mało facetów przychodzi po książki? To znaczy tych w wieku, którym była zainteresowana), sweter zostawiła, ale włożyła spódnicę. Krótką, do tego rajstopy w pasującym kobaltowym kolorze. Może to atmosfera tego miejsca (podobno lustra w sklepach przekłamują i człowiek się prezentuje lepiej niż w rzeczywistości), może adrenalina, ale podobała się sobie. To był jeden z tych dni, kiedy myślała, że jest ładna, zasługuje na szczęście, a los jej sprzyja.

Jeszcze chwila i będzie w Bistro Paris. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Minuta po ósmej. Ruszyła pewnym krokiem, bo przecież do odważnych świat należy.

Weszła do niedużego lokalu. Kilka, może dziesięć stolików, lekki półmrok, ale przecież nie egipskie ciemności, a tymczasem... Dwie pary, jedna samotna pani, pan w wieku późnoemerytalnym i... już. Co prawda, jeszcze jeden stolik był zajęty, ale...

– Cześć! – Głos, mimo że na żywo, bez wątpienia należał do tego samego mężczyzny, który dzwonił do niej przed dwiema godzinami.
– To tu! – dodał, zupełnie jakby mogła go przeoczyć.

Nie mogła. Po pierwsze dlatego, że był duży. W barkach ze dwa razy szerszy niż Marta, wzrostem przewyższał ją o dobre piętnaście centymetrów. Po drugie – robił wrażenie. Miał na sobie dość luźne spodnie, chyba dresowe, trudno ocenić, bo usiadł w ciemnym kąciuku, i obcisłą koszulkę, przez którą widać było umięśnioną klatkę piersiową i wielkie bicepsy.

Marta nie miała nic przeciw tężyznie fizycznej, sama bardzo lubiła sport, ale nienachalny – spacer, jazdę na rowerze, jogging. Nienachalny tryb uprawiania sportu w równie nienachalny sposób

odbijał się na jej sylwetce. Była szczupła, całkiem szczupła, ale żeby tak od razu z mięśniami na wierzchu?...

– Łukasz jestem. – Wyciągnął do niej rękę.

– Marta.

– Fajne miejsce, co? – Rozejrzył się dokoła.

– Tak, takie kameralne, można w spokoju porozmawiać. – Przyglądała mu się nerwowo. O ile jeszcze chwilę temu, wbrew faktom, wbrew temu, co widzi i co pamiętała, próbowała się łudzić, że to jednak właśnie ten facet, wymarzony Hugh Grant, o tyle teraz nie miała żadnych wątpliwości – to nie był on. „Nie uprzedzaj się”, szturchnęła się w myślach, „miłość różnymi drogami chadza”. „Chyba na siłownię”, odpowiedział jej złośliwy głos w jej głowie.

– Ja to je lubię, bo blisko siłki.

Złośliwy głos przeżywał chwile chwały.

– Po treningu człowiek jest jak nabuzowany, adrenalina w nim tańczy. Tamte stoliki pod jarzeniówkami przy barach, które serwują kaloryczne, toksyczne żarcie, to zło. I tyle tam dzieciaków, hałaśliwych, i te panny wymalowane, a z boczki. Ty... – zlustrował ją wzrokiem – ...jesteś inna.

– Tak, no chyba tak... To znaczy na pewno tak.

– Masz fajną figurę, jak się zabierzesz do odpowiednich ćwiczeń, to – ho, ho, kochana! Ja to na przykład przychodzę po pracy, cztery razy w tygodniu, żeby nie przesadzić, nie? – Szczerze się zaśmiał. – Robotę mam niedaleko stąd, w firmie telekomunikacyjnej, potem myk na siłownię, później tu, na dobrą herbatę i sałatkę. A ty gdzie pracujesz?

– W bibliotece. – Marta nie była tak rozmowna. Cały czas się zastanawiała, jak mu powiedzieć, że on to jednak nie on. I że z tej mąki to chleba nie będzie. Bardzo się starała, żeby nie było widać zawodu na jej twarzy. A zawiedziona była bardzo.

– O! – zdziwił się. – Oryginalnie. A nie nudzi ci się? Bo ja to jestem za energiczny na czytanie. Wolę ruch, żeby coś się działo, coś namacalnego.

– Książki też potrafią namacalnie zmienić życie, naprawdę – odparła.

– Tak? No, może. Jakoś mnie szkoła zraziła, potem nie było okazji. No dobra, ale my tu na takie tematy, że tak powiem poboczne, a ja się cały czas zastanawiam, kiedy my się spotkaliśmy? Bo ja to nie pamiętam, szczerze powiem, ale kobiety są podobno bardziej spostrzegawcze, nie? Zresztą mnie to nie przeszkadza, serio. Jestem za równouprawnieniem. Byle nie w kuchni, ha, ha! A właśnie, to co zamawiamy?

– Ja... – Zawahała się. W sumie, co by jej szkodziło?... Przyszła tutaj, to przynajmniej nie spędzi wieczoru samotnie w domu. Z drugiej jednak strony postanowiła, że już nie będzie taką niemotą, która nie wyraża swojego zdania. W końcu to niczyja wina, że oboje się pomylili: on – dzwoniąc do niej, ona – wierząc w cudowne przypadki. – Przepraszam, ale mnie tu nie powinno być. To nie ty miałeś zadzwonić, tylko Hugh Grant.

W życiu nie widziała, by ktoś miał tak osłupiałą minę.

ROZDZIAŁ 4



„Cześć, Słońce. To ja jestem Twoim świątecznym cudem. Owinę się czerwoną wstążeczką i możesz mnie rozpakować..”

Krzysztof jeszcze raz spojrział na SMS. Ponownie go przeczytał. Nie chciało być inaczej, słowa układały się w taki właśnie tekst. „Jakaś świąteczna pornooferta”, pomyślał. „Wcześniej w tym roku zaczęli”.

Nie miał, co prawda, żadnego doświadczenia z pornoofertami, ale kilka dni po Zaduszkach to niezłe tempo. Z drugiej jednak strony, na tym rynku też pewnie panuje duża konkurencja, jak wszędzie. Tylko skąd mają jego numer? Nigdy nie korzystał z takich usług, nie kupował niczego w sex shopach, w żaden sposób nie wspierał przemysłu pornograficznego, przecież licealne świerszczyki się nie liczą.

Skasował SMS. Coś takiego w służbowym telefonie. Nawet on, na tym szczeblu, nie mógł mieć pewności, że firma nie przegląda jego poczty, połączeń czy wiadomości. Na tym rynku zdarzały się niezwykle historie przekupstw i korumpowania. Nie spodziewał się, żeby Artur, jego szef, robił takie podchody, ale to w końcu praca, a nie paczka znajomych. Życia: zawodowe i prywatne powinny być rozgraniczone.

Wrócił do tabletek. Dziś też szykowałą się praca do późna. Żeby mieć siłę do siedzenia, powinien się napić jeszcze jednej kawy. Czwarta, spokojnie ma czas na kolejną filiżankę kofeiny. Przejdzie się do kuchni, nie będzie prosił Asi. Ruch jest ważny; po tylu

godzinach przy biurku żyły są umęczone, a umęczone żyły to otwarcie wrót dla chorób krążenia. Ruszał palcami u stóp, kręcił stopami kółka, ale to sprawy nie załatwiało.

Wstał, zrobił kilka przysiadów i poszedł w stronę drzwi.

Aśka siedziała przy biurku, plecami do niego.

– A, jesteś! – Ucieszyła się na jego widok. – Wychodzisz, ale wrócisz? – Jej koński ogon podskoczył.

– Wrócę. Zawsze kiedy tak się cieszysz, że mnie widzisz, to dlatego, że czegoś ode mnie chcesz – westchnął, udając, że jest urażony interesowną sympatią.

– Nie ja, tylko potrzebujący. Pamiętasz o akcji charytatywnej?

– Pamiętam. W tym roku firma wybrała szpital dziecięcy w Krakowie i onkologiczny w Gdańsku. – Popatrzył na nią pytająco. Ustalono to już na początku października, zresztą kilka razy o tym rozmawiali.

– Tak, to ta tak zwana duża charytatywność, ale mamy jeszcze „małą”, czyli koncepcję, że nasz oddział LabMedu wspiera jakieś lokalne inicjatywy.

– Lokalne?... – zdziwił się.

– Znaczą bliskie. W okolicy. W tej samej dzielnicy.

– Co znaczą ten wyraz, to ja wiem. – Uśmiechnął się. – Ale w jaki sposób mamy wspomóc te lokalne inicjatywy? Jest jakaś lista? Wytyczne? Jakiego rodzaju to mają być placówki? Pojedyncze osoby? Firmy? Organizacje? I skąd ten pomysł? – Naprawdę nie przypominał sobie takiej inicjatywy.

– Nie ma sztywnych wytycznych. Chodzi o wsparcie i integrację z najbliższym otoczeniem. A pomysł jest z centrali, dziś po południu przyszedł mejl.

– To coś nowego – powiedział.

– Zgadza się. Nowego i bardzo fajnego. – Pokiwała głową.

– Też się zgadza. No dobra, to wybierzmy coś. – Spojrzał na nią w sposób, który dobrze znała.

– Wybierzmy... – powtórzyła. – Czyli jak zawsze.

– Jesteś niezrównana we wszystkim, czego się tkniesz.

– Pochlebca – westchnęła. – No dobra, to zaraz się do tego zabiorę, bo czasu nie ma wcale tak dużo. Potrzebujących jest sporo, ale trzeba wybrać z głową i sprawdzić, czy się nie trafi na jakichś naciągaczy. Świat skręca w niedobłą stronę, ludzie potrafią być przebiegli i perfidni, a tu chodzi o to, żeby wspomóc tych, którzy potrzebują pomocy i na nią zasługują. – Odwróciła się od niego i pochyliła nad monitorem.

Poszedł do kuchni. Zwykle prosił Aşkę o kawę, ale teraz potrzebował trochę ruchu.

Gdy stał przy ekspresie, przypomniał mu się ten dziwny SMS. „Z jednej strony świąteczna pomoc dla tych, co w potrzebie, z drugiej – jakieś fiki-miki ze Śnieżynką”, pomyślał. Świat był pełen sprzeczności. Cieszył się, że jego firma ma gest; jasne, koncerny farmaceutyczne nie mają problemów finansowych, ale nie wszyscy bogaci są filantropami. A może on by też komuś pomógł? Przecież go stać. Jak się nazywała ta strona, gdzie były ogłoszenia o zbiórkach?... Się pomaga. Nie: Siepomaga. Tak swojsko i zwyczajnie nazwane. Wyświetlały mu się takie posty na Facebooku. Poszuka jakiegoś dziecka, które potrzebuje pomocy.

Nalał sobie kawy. Posłodził. Starał się oduczyć używania cukru, ale nie można tak ze wszystkiego rezygnować, zresztą mózg potrzebuje paliwa, a paliwem jest właśnie glukoza.

„Możesz mnie rozpakować”. Właściwie to nie tylko cukru potrzebował.

Ten SMS był... No był ofertą kupnego seksu, który go wcale nie pociągał, ale seks sam w sobie... Chociaż nie chodziło mu tylko o seks, znał się przecież. Chciał więcej – fajnego związku, nie jednorazowej przygody czy przyjemności bez zobowiązań. On właśnie by się chętnie zobowiązał. Był w takim wieku, gdy myśli o tym, żeby być z kimś na stałe, żeby z tego bycia coś wyniknęło, pojawiały się coraz częściej... Przypomniał sobie zdjęcia dzieciaków Aški na biurku. Dzieci... Fajne dzieci z fajną kobietą. Czysty i elegancki apartament jest okej, ale jednak nie wystarcza człowiekowi do życiowych spełnień.

Do tej pory nie udało mu się żaden dłuższy związek i w sumie nie było w tym niczyjej winy. No, może mógłby pracę obwiniać. Zresztą nie tylko jego pracę. Z Moniką na przykład oboje postawili na kariery. Ona była dziennikarką, wiecznie z wywiadu na wywiad, z głową w laptopie i komórce, bo trzeba trzymać rękę na pulsie. Oboje uznali, że to nie ma sensu. W innych układach to on był wiecznie niedostępny. A może po prostu nie spotkał jeszcze takiej kobiety, dla której chciałby odsunąć pracę na drugi plan?...

Ale gdzie się poznaje te jedyne? W kropo, na jego szczelbu, byli prawie sami faceci. Na różnych spotkaniach, konferencjach bywały kobiety, coraz częściej, ale nigdy nie zaiskrzyło, zresztą oni naprawdę tam pracowali. Może gdyby mieli wyjazdy integracyjne... Ale co się oszukiwać, zauroczenie kimś na wyjeździe integracyjnym jest wprost proporcjonalne do ilości wypitego alkoholu i kończy się rano, a kac często jest podwójny – alkoholowo-moralny. Więc w pracy nie. Do domu wracał samochodem. Zakupy robił przez Internet. Mało sprzyjające miłości warunki.

– Och, rany, no dobra, to ja już pędzę. – Usłyszał głos Aśki, gdy wracał do pokoju z kawą.

Zauważyła go.

– Dzwonił Paweł, że nie da rady odebrać Tosi i Jasia, bo mają jakąś kryzysową sytuację, a dziś jest jeszcze zebranie w przedszkolu, więc niania sprawy nie załatwia, no i...

– Leć, pewnie. – Kiwnął głową.

– Dzięki. – Wrzuciła telefon do torebki, wyłączyła komputer. Gdy stała przy szafie, wyciągając z niej płaszcz, powiedziała: – A, no i nie zdążyłam wybrać tych miejsc do małej pomocy charytatywnej. To znaczy dwa już mam – jedno to fundacja, która zajmuje się porzuconymi, bezdomnymi zwierzętami, a drugie to świetlica dla dzieci, taka społecznikowska inicjatywa, żeby dzieciaki miały ciepły kąpiel i zajęcia po szkole. Coś trzeciego nam jeszcze potrzebne, więc gdybyś miał chwilę... – Popatrzyła na niego. – Pa! – zawołała i, już nie oglądając się za siebie, wybiegła z pokoju.

– Pa – powtórzył za nią.

Wszedł do swojego gabinetu i usiadł do biurka. Wziął łyk kawy. Pracy miał jeszcze dużo, ale powinien dawać odpocząć nie tylko mięśniom i żyłom, lecz także głowie. Kwadrans przerwy nie zrujnuje jego planów zawodowych.

Półtorej godziny później odsunął się od laptopa.

Nie potrafił określić swojego stanu; to było coś pomiędzy wzruszeniem, poczuciem bezradności, złością i wielkim smutkiem. Wypadkowa tej zróżnicowanej, silnie nacechowanej mieszanki.

Nie znalazł trzeciego punktu do listy ich „małej” charytatywności. Cały ten czas spędził na Siepomaga. Chciał wybrać dobrze. „Dobrze”, zachnął się teraz w myślach. Bo co to właściwie miało znaczyć? Że pomoc trafi do prawdziwie potrzebującego? No trafi, ta strona weryfikuje zbiórki. No więc o co mu chodziło? Że któreś dziecko, zdjęcie, potrzeba poruszą go szczególnie mocno? Wszystkie go poruszyły. Im więcej czytał, przeglądał, klikał, tym większą czuł bezradność. Zdarzyło się, że poczuł także wstyd. Czy na pewno musi mieć ekspres do kawy za kilka tysięcy albo jeszcze droższy zegarek? Jasne, zarabia te pieniądze w uczciwy sposób, może je wydawać, jak chce. Ale czy to jest moralne? Mądre? Potrzebne?

Chciał się poczuć lepiej, a mimo kilku dokonanych wpłat poczuł się gorzej. Ten świat był źle skonstruowany.

Na co dzień Krzysiek był oddalony i oddzielony od tego świata. Żył w bańce, i tyle.

Postanowił się zająć tą „małą” charytatywnością. Aśka powiedziała, że firmy mają być lokalne, a on nie znał okolicy, park wyłączywszy. Osiedle, kwartał z domami jednorodzinnymi, skwery, jakieś sklepy – mijał je, przejeżdżając samochodem. A, raz był u szewca. W jego drogich butach spruło się przeszycie przy języku. Facet w punkcie usług szewskich w centrum handlowym pokręcił głową, że tego nie robi. „To dla fachowca”. Zabrzmiało dziwnie, bo on też niby był fachowcem, ale jeśli przybijał fleki, ostrzył noże i dorabiał klucze, to chyba w żadnej z tych dziedzin nie mógł osiągnąć mistrzostwa. Odesłał go do budki niedaleko galerii. Krzysiek szedł tam

z mieszanymi uczuciami. Zapłacił za buty osiemset złotych, nie chciał, żeby ktoś, niewprawną ręką, pogorszył ich stan, zamiast go poprawić. Szewc miał pewnie ze sto lat, w środku pachniało butaprenem albo innym równie aromatycznym klejem, a maszyny wyglądały jak wyciągnięte ze skansenu. Po tygodniu odebrał buty naprawione tak, że firmowe szycie nie dorównywało pracy tego szewca. Życie potrafiło jednak zaskakiwać.

Tamta wyprawa do bazarowej budki, przeciskanie się między straganami, truskawki w łubiankach i worki ziemniaków przypomniały mu dzieciństwo i chodzenie z mamą na targ. Zwyczajne, dobre chwile.

Postanowił, że nie będzie szukał potrzebujących wsparcia w necie. Skoro ma być lokalnie, będzie lokalnie. Wyjdzie z pracy, zrobi rundkę po okolicy i na pewno wróci z pomysłem.

ROZDZIAŁ 5



Wzięła łyk herbaty i odstawiła kubek. A może coś by jeszcze zjadła? Przygotowała, jak zawsze, paluszki i kruche ciastka, ale to nie jedzenie, tylko umilacz czasu. Sytości od tego nie przybędzie, za to przybędzie jej kilogramów. Miała jeszcze pół kanapki z chlebem żytnim i twarogiem z ziołami. Dbała o to, żeby się zdrowo odżywiać. Sezon grypowy już się czał za progiem, i nie wiadomo, czy tylko on. Daleka była od paniki; choroby się zdarzają, wirusy i bakterie czyhają na osłabionych, nic tego porządku nie zmieni. Trzeba stawiać na profilaktykę, szczepić się, zachowywać się racjonalnie i... mieć nadzieję, że będzie dobrze.

Ugryzła kanapkę. Tak, tego potrzebowała, zdrowych kalorii.

Czuła napięcie. Niełatwe sobie lektury na dziś wybrali. *Córka* i *Czas porzucenia* Ferrante. Kamila zaproponowała tę włoską pisarkę, bo taka „tajemnicza”. Iwona poprosiła o *Córkę*, Sławka zaciekał tytuł *Czas porzucenia*. Uzgodnili, że przeczytają obie książki, bo nieduże.

„Może i nieduże, ale...” Marta знаła je wcześniej, przeczytała wszystko Ferrante, co ukazało się po polsku. Powiedzieć „lubiła ją” w tym przypadku nie pasowało. Ta pisarka po prostu ją przyciągała. Marta się zatracala w jej powieściach, choć czasem wołałaby nie. W pisaniu Ferrante było coś takiego, co człowieka chwytalo za gardło, wykręcało trzewia, przyciągało, mimo że człowiek chciałby się odepchnąć i uciec. To nie były łatwe emocje, na pewno nie dla

tego, kto się w tych powieściach mógł przejrzeć. Marta mogła. Ciekawe, jak inni klubowicze.

Dokończyła kanapkę, dopiła herbatę. Do szóstej jeszcze dziesięć minut, zaraz zaczną się schodzić.

Nalała wody do dwóch dzbanków, wkroiła do nich plasterki cytryny. Gotowe, wszystko już czekało.

Usłyszała piknięcie telefonu. SMS. Piknęło także jej serce. Wzięła aparat do ręki, odblokowała ekran. „Hejka, napewno chodzi o mnie. Mam zajawke spotkać się szybko”.

Tak, życie jest właśnie takie, jak pisze Ferrante. Oczekiwania i marzenia sobie, a proza codzienności sobie. „Na pewno nie”, pomyślała. Chciała mu tak odpisać, kimkolwiek on był. I to jeszcze na czerwono. Zrezygnowała jednak. Może on też kogoś szukał, tak na serio, tylko inaczej to wyrażał? Błędy ortograficzne i brak ogonka w „e” nie przekreślają człowieka, choć Hugh Grant na pewno by byka nie strzelił.

„To pomyłka”, odpisała i na wszelki wypadek wyłączyła telefon.

„Hejka i zajawka”, pomyślała jeszcze, poprawiając kupkę książek leżącą na biurku. „Jestem stara i niedzisiejsza. Zestarzeję się razem z matką. Skamienieję, jak jej eksponaty, i pokryję się kurzem, jak moje książki”.

– Cześć. – Usłyszała głos Iwony.

– Cześć – odparła. – Jak tam? – dorzuciła, żeby powoli uspokoić emocje. Niech Iwona opowie w tym czasie coś o dzieciach, pracy czy pogodzie.

Jednak Iwona też wyglądała nieswojo.

– No, wszystko dobrze, tylko te książki. – Spojrzała na kupkę grzbietów, gdzie na każdym widniało nazwisko Ferrante.

– Tak?...

– To trudna lektura. Miejscami dziwna, miejscami okrutna, a miejscami taka, że... że już nie chcesz czytać, ale nie potrafisz przerwać.

Marta kiwnęła głową. A więc Iwona też się przejrzała w tych powieściach. W każdym razie – wyczuła klimat.

– Dzień dobry! – Usłyszały głos Sławka, chwilę po nim do sali weszły Dorota i Kamila.

– Prawie komplet – powiedziała Marta, kiedy wszyscy już usiedli.

– Brakuje Justyny. Tradycyjnie. – Kamila miała rację, ale wyglądało, że nie ma dziś dobrego humoru.

– Jestem już, nietradycyjnie. – Justyna szybko zdjęła kurtkę i zajęła wolne miejsce.

– Skoro komplet, to zaczynamy – oznajmiła Marta. – Dzisiaj będziemy mówić o Ferrante. Co wiemy o tej autorce?

– Jest bardzo tajemnicza. Od debiutu upłynęło ponad ćwierć wieku, a wciąż nie wiadomo, kim ona jest. W obecnych, tak medialnych czasach, to zupełnie niezwykle. – Dorota była jak zwykle przygotowana.

– Ale też dziwne – dodała Kamila. – Ciekawe, dlaczego nie chce pokazać twarzy, zdradzić prawdziwego nazwiska.

– Bo pisze tak... wstrząsająco? – przypuściła Iwona.

– A może to nie jest kobieta, tylko mężczyzna? – zasugerował Sławek.

– Dlaczego tak pan myśli, panie Sławku? – Marta zawsze była moderatorką ich dyskusji.

– Cóż, pisze o mężczyznach w sposób mało przychylny – wyjaśnił Sławek.

– O kobietach też nie ma najlepszego zdania. – Justyna włączyła się do rozmowy. – Chociaż nie, źle to ujęłam, przepraszam. Chodziło mi o to, że pokazuje emocje obu płci, nie widzi spraw jednostronnie.

– Jednostronnie nie, ale jakoś tak... nieludzko. – Kamila ciągnęła wątek o dziwności. – Na przykład w *Czasie porzucenia*. Główna bohaterka po prostu zwariowała po tym, jak mąż od niej odszedł. Czy to pokazuje rzeczywistość?

– Porzucenie to chyba jest okropne przeżycie?... – Justyna spojrzała na nią pytająco.

Marta, choć nie do niej pytanie było skierowane, pomyślała o matce. Tak, porzucenie może zaowocować różnymi dziwnymi zachowaniami. Szok i smutek pierwszego etapu mogą się rozwinąć

w przedziwne, wieloletnie stany ducha. U Ferrante była przynajmniej dynamika, bohaterka nawet wyładowała złość na mężu fizycznie, gdy go spotkała z kochanką na ulicy. Jej matka zaś przyjęła postawę cierpiętniczo-godnościową.

– Jest. Pewnie. Ale oprócz emocji jest też racjonalność. Ona tak się na wszystko zgadza: on sobie idzie, nie bierze dzieci, nie dzieli z nią opieki, po prostu zabiera walizkę i zamyka ten rozdział. A gdzie prawnik, sąd, nie myśli o tym, żeby go w skarpetkach puścić? – Po Kamili widać było, że zupełnie inaczej by rozegrała taki przypadek.

– Ważniejsze jest dla niej to, co się dzieje w jej środku, z jej emocjami, tak sądzę. Zresztą o to przecież chodzi w literaturze pięknej – autor pokazuje czytelnikom wnętrze swoich bohaterów, ich przeżycia. Proza nie oznacza pisanie o pozwach sądowych ani kosztach podziału majątku; proza dotyczy ducha. – Słyszałać było, że Dorota miała ugruntowane przemyślenia, jak zawsze zresztą.

– Ale oprócz ducha jest cała reszta. Przecież nie żyje się w oderwaniu od rzeczywistości. – Kamila nie ustępowała. – To znaczy ta bohaterka żyła. Jakieś nierealne przeżycia, chyba zwidy, te dzieci zostawione samym sobie.. I jeszcze pies. A gdzie tu pieniądze, opłaty, praca? Zdrowy odruch zemsty?

„Zdrowy odruch zemsty”. Marta pomyślała, że Kamila znalazłaby wspólny język z jej matką. Zemsta może i przez chwilę jest normalnym odczuciem, ale po tylu latach... Ciekawe, czy Kamila też tak długo żywiłaby się nienawiścią do męża, który ją porzucił, czy oskubanie go załatwiłoby skutecznie sprawę.

– To wszystko służy temu, żeby pokazać emocje bohaterki. Duszna, niedopowiedziana atmosfera, zawieszenie między realnością a nierzeczywistością – to cechy pisarstwa Ferrante – powiedziała Marta.

– Mnie się to trudno czytało – odezwała się Iwona. – Właśnie ze względu na to, o czym powiedziałaś, to znaczy dlatego, że to nie jest oczywista książka, gdzie wszystko jest podane tak po bożemu, tradycyjnie. To raz. A dwa, to przez dzieci. Bo w obu tych książkach dzieci są nieszczęśliwe. W *Czasie porzucenia* matka niby się nimi

zajmuje, ale tak jest skupiona na swoim bólu, że nie potrafi być zwyczajną matką. Ojciec w ogóle znika, potem się pojawia, a jeszcze później się okazuje, że dzieci mu rujną nowy związek, no to wypycha je do matki. A w *Córce* no to już całkiem okropnie. Porzucić własne dziecko, nie do pomyślenia, prawda? Panie Sławku, pan też tak myśli, widzę to po pana minie.

Sławomir się poruszył.

– No tak, oczywiście, okropne. Miejsce matki jest przy dziecku, zawsze.

– A ojca? – zapytała Justyna. – Gdyby to ojciec zostawił dzieci z matką, żeby robić karierę, to pewnie byłoby lepiej. – W jej głosie słychać było jednak powątpiewanie.

– Ojcowie więcej zarabiają, tak było, jest i pewnie będzie. – Kamila nie sprawiała wrażenia, że ten odwieczny porządek jej przeszkadza.

– Ale to się zmienia. Znaczą może nie pensje jeszcze, ale podejście ojców. U nas staramy się dzielić opieką i Waldek naprawdę kocha dzieciaki, zajmuje się nimi... – odezwała się Iwona. – Ja mam jeszcze takie przemyślenie, nie wiem, czy dobre. Bo tam, w *Córce*, jest na plaży inna rodzina, taka miejscowa, zwyczajna. Bardzo zwyczajna. I tam są dzieci, zwłaszcza ta dziewczynka, co gubi lalkę. I ja sobie pomyślałam, oczywiście wiedząc, że oni nie są ideałami, ale że oni kochają te swoje dzieci bardzo. Tak po prostu. Bez takich wielkich przemyśleń, bez głębszych refleksji, ale mocno.

– To pewnie celowy zabieg, żeby zestawić bohaterkę, z innego świata, z takim prostym obrazem. Co do wniosków, to jednak bym nie wyciągała jednokolorowych. – Ton Doroty był nauczycielski.

– Ja też. – Ożywił się Sławek. – W życiu bywa różnie, są sprawy skomplikowane i trudne do oceny.

– Tak, jasne. Ja was przepraszam, jeśli powiedziałam to jakoś chaotycznie albo kogoś obraziłam. Ja to powiedziałam jako matka bardziej niż jako czytelniczka. Pewnie ktoś, kto nie ma dzieci, jak pan, panie Sławku, czy pani Dorota albo Justyna, odbierze ten tekst inaczej, prawda?

Justyna kiwnęła głową, Dorota wykonała delikatny, potakujący ruch brodą.

– Tak, zapewne. – Sławek chrząknął i nalał sobie wody. – Trudne książki wybraliśmy, dodam.

– I to przed świętami. Martuś, mogłaś nas ostrzec przed naszymi wyborami. – Iwona się uśmiechnęła.

Marta pomyślała, że te książki to w sumie pasują do świąt, przynajmniej w jej przypadku. Duszna atmosfera, trudne relacje matka–córka, hołubiony smutek, konieczność opowiedzenia się po jednej ze stron, grzebanie się we własnych emocjach i wciąż niespełniona miłość... Popatrzyła na swoich klubowiczów. Im lepiej ich poznawała, tym częściej myślała, że każde z nich też ma swoje demony. Niby nie opowiadali o sobie w sposób otwarty, nie zwierzali się sobie, jak na przykład na grupach wsparcia, ale to, co wypływało podczas dyskusji o książkach, sporo o nich zdradzało. Marta wiedziała o tym, dlatego unikała zbyt emocjonalnych wypowiedzi, chowała się za moderowaniem.

– Cóż, ja cenię książki Ferrante. Także za to, że są, tak to nazwijmy, niewygodne. Teraz często się mówi o wychodzeniu ze strefy swojego komfortu, to znaczy, że robi się coś innego, inaczej niż do tej pory, żeby się czegoś o sobie dowiedzieć. – Jednak zahaczyła o swoją prywatność. Już prawie chciała dodać coś jeszcze, bardziej osobistego, niesiona emocjami, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. – Macie takie odczucia po lekturze tych dwóch książek? – zadała to bezpieczne pytanie, odsuwające uwagę od siebie samej.

– Tak, na pewno. Ja sobie muszę to jeszcze poukładać w głowie – przytaknęła Iwona.

– To nie moja bajka, ale cieszę się, że przeczytałam te książki. Głupio by było nie znać niczego tej autorki. – Kamila jak zawsze była chłodna i racjonalna.

– Mnie poruszyły. Wcześniej niczego Ferrante nie czytałam, a teraz nabrałam ochoty. To znaczy takiej duchowej ochoty, mimo że to

poruszające teksty. A może właśnie dlatego?... – Justyna się zamyśliła. – To taka odmiana po całym dniu za biurkiem.

– Ja... cóż, jestem poruszony. Nigdy w ten sposób nie myślałem, to znaczy nie nazwałbym uczuć tak jak ona. To jest dla mnie coś nowego, coś, z czym zostanę na dłużej. – Sławek dolał sobie wody i upił łyk ze szklanki.

– Choć nie jest to tematyka, którą bym znała z życia, i być może sposób ekspresji jest nazbyt włoski, uważam, że to była literacka uczta. – Dorota wygładziła fałd spódnicy.

– Czyli, podsumowując, lektury zostały wybrane trafnie. – Marta przejechała wzrokiem po ich twarzach. Wszyscy pokiwali głowami. – Wyśmienicie. Dla porządku przypominam, że za tydzień omawiamy *Wymiary życia* Barnes'a, za dwa tygodnie *Słodkie kłamstewka*, a za trzy Iana McEwana i *Maszyny takie jak ja*.

– O, no to dobrze, że pani to powiedziała, Martusiu, bo mnie się ubzdurało, że tego drugiego Anglika, jak on?... – Sławek nie potrafił sobie przypomnieć nazwiska, a może Marta wypowiedziała je zbyt szybko i niewyraźnie?

– Ian McEwan – podpowiedziała.

– Właśnie. No to że on po Nowym Roku będzie. To idę zaraz do katalogu, tylko nie wiem, czy jeszcze będzie wolny egzemplarz?...

– Jeden jest, ściągnęłam z zaprzyjaźnionej filii.

– Bardzo się cieszę. Tytuł ciekawy, pewnie będzie odmiana po dzisiejszym spotkaniu. – Sławomir się uśmiechnął.

Marta odwzajemniła uśmiech, próbując nadać mu tajemniczość.

– To nie jest książka o majsterkowaniu – powiedziała – tylko o... O tym już za trzy tygodnie.



Kiedy umyła dzbanki i talerzyki, sprawdziła, czy komputery są wyłączone, a w czytelni zgaszone wszystkie lampki, popatrzyła na ginące w mroku regały. Tyle książek, a wśród nich te, które potrafią

odmienić życie. Czasem trafienie na taką pozycję to kwestia czyjegoś polecenia, czasem – przypadku.

Podobnie jest ze spotkaniami z innymi ludźmi, tyle że tu decyduje przede wszystkim przypadek. Marta właśnie próbowała mu pomóc. Włączyła telefon. Ekran rozbłysnął, po chwili zgasł.

Nic, żadnej wiadomości.

Szykował się kolejny samotny weekend z książką i kubkiem herbaty.

ROZDZIAŁ 6



Ależ się spocił! A do tego zrobiło mu się duszno. „Uuuu, bracie, naprawdę się zapuściłeś”, powiedział sobie, wycierając twarz ręcznikiem. Po czterdziestopięciominutowym treningu był zmęczony, jakby cały dzień ciężko w polu pracował. Tak, to najwyraźniej ostatni dzwonek, by zacząć regularne ćwiczenia.

Wszedł pod prysznic, woda przyjemnie masowała mu barki. Po kilku minutach sauny przekręcił kurek i zakończył kąpiel zimnym akcentem. Prawie krzyknął, ale wytrwał. Po pierwszym szoku poczuł się dobrze. „Gorące rozleniwia, zimne mobilizuje”, pomyślał.

Krzysiek chciał się zmobilizować. Chociaż dzisiaj była sobota, miał szeroko zakrojone plany. Umówił się z przyjacielem, Kubą, na obiad i potem kino. Męskie popołudnie. Cieszył się, bo dawno się nie widzieli. Potem zwyczajowo – wieczór z laptopem i pracą.

Wytał się ręcznikiem, ubrał. Spakował strój do torby i poszedł do szatni po kurtkę. W ostatniej chwili się rozmyślił. Niby zjadł śniadanie w domu, ale tylko jedną, trochę już czerstwą bułkę, więc nawet jej nie dojadł, a tu mieli takie przyjemne bistro, gdzie wszystko obłędnie pachniało i podobnie smakowało.

Zamówił sok z pomarańczy, świeżo wyciskany, i jajecznicę ze szczypiorkiem. Wyciągnął z torby służbowy telefon, żeby sprawdzić pocztę; chyba naprawdę miał problem z pracoholizmem. Po kwadransie sięgnął po prywatnego smartfona, żeby poczytać wiadomości; lubił być dobrze poinformowany. Zobaczył, że ma nieodebrane połączenie od Kuby. Wybrał numer przyjaciela.

- Cześć, Kubacki! – przywitał go wesoło.
- Cześć. Słyszę, że energia cię rozpiera. – Kuba brzmiał zdecydowanie mniej energicznie.
- Siłownia, porcja witamin – Krzysztof spojrzał na sok – i sobotni poranek ma urok. No i nasze spotkanie...
- Właśnie. – Kuba zmarkotniał. – W tej sprawie dzwoniłem. Niestety, stary, ale dziś nie mogę. Magda chce, żebyśmy się zajęli przygotowaniem do świąt.
- Jakich świąt? Bożego Narodzenia? – Krzysiek zaczął się zastanawiać, czy mu się gdzieś cały listopad nie zgubił. – Przecież to jeszcze dwa miesiące.
- Półtora. – Kuba był precyzyjny. – Też nie rozumiem i pewnie nie zrozumie. Chociaż z drugiej strony, gdy zobaczyłem listę... Prezenty dla dzieci, naszych, dla dzieci siostry Magdy, dla dzieci mojego brata, dla naszych rodziców, składniki na pierniki, składniki na śledzie, zamówić czyszczenie dywanu, odmalować salon, zarezerwować stroje na przedstawienia dla dzieci, naprawić wreszcie ten wysuwany blat od stołu... Front robót, mówię ci.
- I Magda chce, żebyś jej pomógł – westchnął Krzysiek.
- Nie! – Kuba prawie wrzasnął, aż Krzysiek odsunął telefon od ucha. – Nie „pomógł”, żadne „pomógł”. Żeby ci nigdy do głowy nie przyszło tak przy Magdzie powiedzieć.
- Bo?... – Krzysiek zgłupiał.
- Bo kiedy mówisz „pomógł”, to masz na myśli to, że obowiązek jest jej, a ja mogę się fakultatywnie włączyć.
- Cóż, Krzysiek tak właśnie myślał.
- Otóż nie. Obowiązek jest wspólny i się dzieli na pół. Więc nie ja jej pomagam, tylko robię to, co muszę. To, co musi być zrobione. Zapamiętaj.
- Zapamiętam. – Krzysiek chciał się roześmiać, ale po chwili uznał, że w tym, co powiedział jego przyjaciel, a w zasadzie w tym, co zacytował, bo to na pewno były słowa Magdy, w sumie był sens.
- Kocham Magdę – wypalił Kuba, dość nieoczekiwanie w tej sytuacji. – Myślę, że ma rację, no.

Krzysiek kiwnął głową. Pewnie miała rację. Czasy patriarchy minęły. On sam przecież nie znosił ojca, to znaczy tych jego przemocowych działań, tego przekonania, że w domu rządzi facet, a kobieta jest od usługiwania mu. Matka w to weszła, on się zbuntował, ale bez efektu. Teraz, po latach, niepostrzeżenie sam wkraczał na podobną ścieżkę. Może pomarańcza była kwaśna, ale aż się otrząsnął i odsunął od siebie szklankę z sokiem. Tak to się dzieje, człowiek jest przesycony zwyczajami z domu, i choćby odjechał setki kilometrów, to sposób myślenia i zachowania podążają za nim. Rodzice nigdzie nie wyjechali, oboje byli z Podlasia, więc tym bardziej.

– Pewnie, że tak. Magda jest fajna. No to pozdrów ją ode mnie i działajcie.

Krzysiek odłożył telefon.

Wziął kawałek jajecznicy na widelec. Zdążyła już trochę wystygnać, więc nie smakowała tak wyśmienicie, jak to sobie Krzysiek wyobrażał. Po raz pierwszy pomyślał, że zazdrości Kubie. Nawet tych zakupów i jasełek. Tak, zazdrościł mu tego zakotwiczenia w życiu. Magdy obok. Zdecydowanie dopadła go jakaś chandra. Może to wpływ zbliżającej się czterdziestki? Siłą rzeczy takie przełomowe daty zmuszają ludzi do podsumowań. Zawodowo – super, prywatnie... gorzej.

Pomyślał, że w takim razie, skoro plany nie wypaliły, może zadzwoni do mamy i ją odwiedzi. Tak go to gryzło ostatnio, więc czemu nie. Odwołanie spotkania przez Kubę było prawie jak szturchnięcie paluchem przez los.

Dojadł jajecznicę, dopił sok i wstał od stolika. Wrzucił telefon do torby i już miał iść do szatni, gdy usłyszał powiadomienie, że właśnie dostał jakąś wiadomość. Sięgnął po aparat, ale na ekranie było czysto. W takim razie ścigał go ktoś z pracy. Widać więcej jest pracoholików.

„Dziś o 16.00 w Popularnej. Poznasz mnie, będę najpiękniejsza. Iga”.

Popularną, modną knajpę na Powiślu, położoną niedaleko od jego mieszkania, znał. Igi – nie. Spojrzał na numer, nic mu nie mówił. W myślach dokonywał przeglądu wszystkich swoich znajomych. Nic, żadnej Igi. Z jakiegoś sympozjum, zjazdu? Z firmy badawczej? Nic nie przychodziło mu do głowy. Zresztą nie mógł jej znać, skoro napisała: „poznasz mnie”. No ale dlaczego do niego tak napisała? Może to jakiś żart? E, chyba nie. Teraz nie można ot tak kupić karty do telefonu, trzeba podać dane, komu by się chciało dla jakichś dziwnych gier. Jedyne wytłumaczenie było takie, że ktoś – któraś – się pomylił. To nie on miał być adresatem tej wiadomości. Intrygującej wiadomości, trzeba przyznać.

Odebrał kurtkę, włożył, wyszedł na zewnątrz. O dziwo, niebo odszarzało, chmury się rozpląnęły i może nawet zanosilo się na słońce. To dobrze, nie lubił jeździć w deszczu.

W domu wrzucił ubrania z siłowni do pralki, podszedł do półki z audiobookami, żeby wybrać coś na drogę. Zdecydował się na płytę *Księga ludzi. Jak staliśmy się nami*. Lubił się skupiać na tekście podczas jazdy, coś popularnonaukowego będzie w sam raz. Zresztą głównie takie audiobooki i książki kupował – lubił mieć poczucie, że czyta, słucha czegoś, co go rozwija, dzięki czemu się uczy.

Wziął telefon do ręki. Mama na pewno jest w domu, ale wolał ją uprzedzić. Z jednej strony wiedział, że zaraz pogna do kuchni, i chciał jej tego oszczędzić, ale z drugiej... Mama gotowała jak mama, czyli najlepiej na świecie. Sushi, pad thaie, wersje wegetariańskie czy wegańskie, krwiste hamburgery – nic nie smakowało tak, jak jej schabowy z mizerią na słodko.

„Będę najpiękniejsza”. Znowu przypomniała mu się ta wiadomość. Tekst nieskomplikowany, a działający na wyobraźnię. Cóż, był po prostu facetem. Zresztą uroda nie wykluczała przymiotów ducha. Iga, naprawdę ładne imię.

Może napisze albo oddzwoni pod ten numer? W sumie to też może być początek znajomości. Może to właśnie jest szturchnięcie palcem przez los?... Jakoś jednak nie mógł się przemóc. W pisaniu nie był najlepszy, przecież skończył farmację, a nie polonistykę.

W bezpośrednim kontakcie zawsze zyskiwał – wiedział, że podoba się kobietom, że ma ładny ton głosu, że potrafi rozmawiać.

Tylko co? Pójdzie tam, do Popularnej, i co dalej? Tam przychodzi dużo ładnych dziewczyn, tyle że nie samych. Będzie patrzył na grupki psiapsiółek czy na zakochane pary?...

Pomyłka, i tyle.

Położył palec na napisie „Mama”. Już prawie rozpoczął połączenie, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

Ten cholerny SMS nie dawał mu spokoju. Gdyby pojechał na Podlasie, cały czas by się zastanawiał, o co tu chodziło. A potem myślał, czy coś go nie ominęło.

„Przepraszam, mamó”, westchnął.

Sięgnął po drugi aparat, wstukał w ekran: „Będę”, i wysłał wiadomość.

Odłożył audiobook na półkę, podszedł do stołu, włączył laptop. Zagłębił się w te swoje tabelki – to doskonale uspokajało i porządkowało myśli, a czas przy tym zajęciu mijał w sposób niezauważony.



O wpół do czwartej, w granatowych chinosach i błękitnej koszuli, wypachniony i podekscytowany, zamykał drzwi swojego apartamentu.

ROZDZIAŁ 7



– I jeszcze pierogi z makiem. – Mama swoim starannym charakterem pisma dodała do listy kolejną pozycję.

Marta westchnęła. Dziś to ona odwiedziła rodzicielkę. Spacer miała przyjemny, pogoda była doprawdy łaskawa – nie dość, że w listopadzie świeciło słońce, to jeszcze wybrało na to odpowiednią porę – sobotę. Przeszła z Sadyby na Służew, tempem bardzo umiarkowanym, nie spiesząc się. Delektowała się łagodnie przefiltrowanym promieniami słonecznymi krajobrazem, z lubością wystawiała twarz na owiewy ciepłego powietrza. Niespieszność wynikała nie tylko ze sprzyjającej aury – Marta wiedziała, że „sprawy do omówienia”, które mama zaanonsowała przez telefon, dotyczą Bożego Narodzenia. I właśnie teraz układały świąteczne menu.

– Nie zjemy tego – westchnęła, patrząc na linijki szczelnie wypełnione kulinarnymi pomysłami mamy. – Nigdy tego nie zjadamy. Trzypokoleniowa rodzina by tego nie zjadła, a my jesteśmy we dwie.

– Na taką próbę wystawił nas los – zaczęła mama, ale pod spojrzeniem córki zrezygnowała z rozwinięcia tej kwestii. – Ty się wiecznie odchudzasz. – Spróbowała za to z innej strony.

– Nieprawda, po prostu nie mam czterech komór w żołądku jak krowa.

– Ale jesz jak krowa, zielone tylko.

Marta pomyślała, że mama musi sobie powetować brak możliwości poużalania się nad swoim losem w inny sposób.

– Wigilia jest tradycyjnie bezmięsna.

- Już nie musi być.
- Powiedziałam: tradycyjnie, mamó. Taki zwyczaj. Zresztą mięso w nadmiarze szkodzi.
- Szkodzi, nie szkodzi, jakie to ma znaczenie, gdy tyle innych trosk... Zresztą po Wigilii są dwa dni...
- ...z których jeden spędzam u taty. – Marta była spokojna, ale nieustępliwa.
- Wiem. – Mama się wyprostowała. – Zostawiasz mnie. Cóż, pójdę na grób swojej matki, potem wrócę i posiedzę sobie sama.
- Mama w tej pomnikowej pozie wyglądała jak odlany ze spżu smutek.
- Możemy pójść razem na cmentarz, na przykład dzień wcześniej, przed obiadem. Albo drugiego dnia świąt, rano. Wszystko da się ułożyć, jak człowiek chce.
- A jakiego ty człowieka masz na myśli, co to nie chce? Niby mnie?
- Mama się poruszyła.
- Ciebie. Zawsze jesteś w kontrze do wszelkich propozycji.
- No wiesz. – Mama się obruszyła. – Niektóre propozycje są nie do przyjęcia, bo ich intencja jest oczywista.
- To znaczy jaka? – zapytała zrezygnowana Marta.
- Żeby mnie upokorzyć. – Mama powoli przechodziła od smutku do ataku. To był jej żywioł.
- A kto cię upokarza?
- No twój ojciec i ta jego...
- Żona. Ania.
- Ania, Ania, to dobre imię dla dziewczynki – prychnęła mama. W prychnaniu była naprawdę niezła.
- Nie wszyscy muszą się nazywać Teresa, jak ty, mamó. Zresztą koleżanki w pracy mówią do ciebie zdrobniale.
- „Teniu” to zupełnie co innego. Zresztą nieważne, istotne jest to, że te ich propozycje, to ich zapraszanie mnie na święta, to jak rzucanie psu ochłapu pod stół.
- Myślę, że przygotowali dla ciebie miejsce przy stole, nie pod stołem. – Marta sama się podziwiała za swoje opanowanie.

– To było metaforyczne ujęcie, powinnaś rozumieć, w końcu jesteś bibliotekarką, czytasz tyle książek.

– A, metaforyczne – zgodziła się ironicznie Marta. – No więc oni zapraszają cię, zresztą od kilku lat i od kilku lat bezskutecznie, całkowicie prawdziwie, nie metaforycznie. I szczerze.

– Ale jak oni to sobie wyobrażają, co? Przyjdzie samotna, starsza pani i będzie musiała znosić ich małżeńskie szczęście? Ich dobre samopoczucie, ich dobry wygląd...

– Nie widziałaś ojca od kilku lat. Ani też. To skąd wiesz, jak wyglądają teraz?

– Oj tam. – Matka machnęła ręką. – Domyślam się.

Marta podejrzewała, że mama sporą część wolnego czasu poświęca na skanowanie Internetu w poszukiwaniu zdjęć i informacji o byłym mężu i jego nowej żonie. „Nowej”, Marta się zachnęła w myślach. Tata i Anka byli małżeństwem od prawie piętnastu lat, ale w narracji mamy Anka wciąż była „nowa”. Wracając do mamy – miała profile na Facebooku i nawet na Instagramie, ale rzadko używane i wystylizowane – zdjęcia minerałów, kamieni czy innych staroci, jak w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Wszystko było ładne, powściągliwe i uładzone, jak mama zresztą, to znaczy jej wygląd zewnętrzny – porządny. I porządne ubrania. Marta przypuszczała jednak, że pod tą skorupą kryje się inna natura, której mama z jakiegoś powodu nie chciała dopuścić do głosu.

– Mamo – zaczęła wiedziona tym ostatnim pomysłem – a ty nie myślisz czasem o tym, żeby sobie życie ułożyć?

Ostatni raz pytała o to wieki temu i została tak zbesztana, że sobie odpuściła kolejne próby. Zresztą potem zajęła się układaniem życia sobie, czego efekt był nijaki, właściwie to efektywność w tej kwestii miała taką jak matka – zerową, i to pomimo starań. Lekkie mrowienie w okolicach mostka przypomniało jej, że piłka znów jest w grze. Ostatnie dni nie były tak całkiem jałowe. Fakt, bez zadowalającego finału, ale coś się działo i wciąż miała nadzieję, że...

– Źle się czujesz? Coś taka czerwona się zrobiła? – Matka nachyliła się ku niej.

– Nie, wszystko okej, sama nie wiem.

– Wietrzyłam rano, teraz też mogę. – Mama podeszła do okna i uchyliła je. – Ale za ciepło to nie jest.

Fakt, nie było. Mama nie rozkręcała kaloryferów, raczej je dokręcała. Marta zwykle u niej podmarzała, ale mama nie zmieniała przyzwyczajień. „Zimno ma walor leczniczy”, powtarzała.

– Słuchaj, a może to coś ze zdrowiem? Ze sprawami kobiecymi? – Mama z powrotem usiadła w fotelu i świdrowała Martę wzrokiem.

– Jakimi kobiecymi? Masz na myśli okres?

– Nie, wręcz przeciwnie.

– Przeciwnie? Znaczy brak okresu? No brak, akurat, ale to chyba nie powoduje choroby. – Marta zupełnie nie rozumiała, o co matce chodzi.

– Chorobowy brak. Może to początki menopauzy?

Marta zdębiała.

– Jak to? Mam trzydzieści lat, mamo.

– Wiem, ile masz, urodziłam cię przecież. Sam wiek to żadna ochrona, różnie bywa.

– Może bywa, ale ty i babcia akurat długo byłyście... – Marcie zabrakło słowa. Jak to delikatnie ująć?... – ...czynne biologicznie.

Zabrzmiało tak sobie, ale, o dziwo, mamie się spodobało.

– No byłyśmy, ale u ciebie to nie musi zagrać, przecież dołączyły się inne geny. – Jej mina jasno świadczyła o tym, co myśli o tych genach i ich właścicielu. – Ja oczywiście życzę ci jak najlepiej, ale trzeba o siebie dbać, uważać, może pójść do lekarza, jakieś badania zrobić? Po prostu trzymać rękę na pulsie, żeby potem nie było tak, że będziesz chciała, a nie będziesz mogła mieć dzieci. No to są okropne sytuacje, zresztą znamy takie przypadki..

Marta dobrze wiedziała, kogo mama ma na myśli. Ojciec i Anka żyli bezdzietnie przez kilka lat. Mama mówiła jej wtedy, że tacy po prostu są, zabawowi, „ojciec chce sobie poużywać życia” i dlatego się nie decydują na dzieci. Marta nie widziała różnicy między ojcem przed rozwodem, a po, nie licząc odprężenia i radości w jego oczach – tak samo się do Marty odnosił, tak samo się nią interesował. Dopiero po

kilku latach, gdy była już pełnoletnia, ojciec się jej zwierzył, że chcieliby mieć z Anią dziecko, ale nie mogą. A jeszcze później rozpoczęli zabiegi *in vitro*. Marta powiedziała o tym matce, podczas jednej z tych głupich rozmów o „wygodnictwie ojca i jego panny”. Z przykrością zauważyła, że ta informacja sprawiła mamie radość. „Cóż, nie można mieć w życiu wszystkiego”, stwierdziła mama, z trudem maskując zadowolenie, że nie dotyczy to tylko jej.

– Dzięki, mamó, ale to raczej nie to. A wracając do tematu, właściwego tematu – zaakcentowała słowo „właściwego” – to nie chciałybyś... nie myślisz czasem o tym... żeby się z kimś spotkać?...

– Spotykam się. Z tobą, z dziewczynami z pracy, chodzę na zajęcia uniwersytetu trzeciego wieku. Bywam wśród ludzi.

– Bywasz, wiem. Mnie chodziło o... o związek. – W końcu to powiedziała. Spojrzała na matkę, która ewidentnie się zastanawiała, co odpowiedzieć. I, ku zdziwieniu Marty, nie strzyknęła ironią, jak zwykle, tylko odparła:

– Cóż – jej palce powędrowały na spódnicę i zaczęły wyskubywać niewidzialne paproszki – może nawet powstała mi taka myśl w głowie, ale...

To był jeden z takich, nieczęstych niestety momentów, gdy mama pozbywała się swojego pancerza. Marta, mimo że zmęczona wieloletnią pozą rodzicielki, wiedziała przecież, że to poza właśnie – obronna. Mama broniła się przed światem – który jej wcale nie atakował, i przed sobą. Sama, niestety, była swoim największym wrogiem. Dawniej Marta zupełnie tego nie pojmowała, po prostu przyjmowała, że jej mama jest nieszczęśliwa. Myśl, że za tym nieszczęściem stoi tata, była okropna, nie radziła sobie z nią. Z wiekiem udało jej się tę myśl odegnać, a jeszcze potem, po wielu przeczytanych książkach, zrozumiała, że mama sama przed sobą się boi odsłonić. Nie chce zaglądać do swojego wnętrza, nie chce poznać swoich prawdziwych lęków i pragnień. Nie chce po prostu wziąć odpowiedzialności za swoje życie, woli, by inni myśleli, że „taki los ją spotkał”. Sama też chciała w to wierzyć. Jakiś czas temu Marta

zauważyła jednak, że ten sztywny pancerz matki kruszeje, a spod niego wyziera czułe, łatwe na zranienie wnętrze. To był jeden z takich momentów.

– ... ale trudno kogoś fajnego znaleźć. – Marta dokończyła za nią.

– Łatwo nie jest. W pracy środowisko ludzi wykształconych i kulturalnych, ale ci mężczyźni, którzy pracują w muzeum... Niepojęte. Z jednej strony to panowie dojrzali, na poziomie, a tacy skapcianieli. Na działkę tylko albo na ryby się wybierają, a tak to bambosze i w domu. A z drugiej strony, przy tych właśnie warunkach, to oglądają się za młodymi kobietami, takimi czterdziestoletnimi albo nawet w twoim wieku. – Teraz to mama się zaróżowiła. – I cóż oni mają im do zaoferowania? – Prychnęła. – No ale tu biologia zawsze na plus wobec mężczyzn, zawsze. Mężczyzna to sobie może wybrać partnerkę w wieku córki albo wnuczki. A w drugą stronę?... A teraz weźmy uniwersytet. Dziewięćdziesiąt procent słuchaczek to kobiety właśnie. Owszem, są takie panie, co przychodzą tylko dla zabicia czasu, ale spora grupa ma chęć na poznawanie nowych rzeczy, naukę. Niektóre chciałyby też poznać panów. A panów – jak na lekarstwo. Jak się jakiś trafi, to albo z żoną, albo nie do użycia.

– Nie do użycia? – Żonę obok, jako przeszkodę do bliższej znajomości, Marta rozumiała, ale inne powody wykluczające „użycie”?

Mama, po raz kolejny dzisiejszego popołudnia, się zawahała. I po raz kolejny poszła drogą szczerości.

– To mężczyźni szukający opiekunki. Pomocy domowej. Tu boli, tam kłuje, jutro lekarz. A to nie metryka ich pokonuje, tylko to, co mają w głowach. A w głowach mają starość.

– No, metryka ma jednak znacznie, mamó. Z wiekiem...

– No z wiekiem, dobrze, ale im się nie chce, im się już nic nie chce.

Mama wyjątkowo się ożywiła. Tak bardzo, że Marta odważyła się na to pytanie:

– A tobie się chce, mamó?

Przez pokój przepłynęła fala wyraźnie chłodniejszego powietrza. Pogodne do tej pory niebo się zachmurzyło, wróciło do typowych listopadowych szarości. Firanka najpierw się wzdęła, potem opadła, okno się z trzaskiem zamknęło.

– Przeciąg, bo w kuchni otwarte. Ziemniaki na kopytka gotuję, całkiem zapomniałam, bo tak się... się rozmowa przeciągnęła. Już lepiej wyglądasz. – Mama wstała, ponownie otworzyła okno, wyciągnęła przytrzaśniętą firankę, starannie ją rozprostowała, wypatrując ewentualnych zaciągnięć, zamknęła okno, a potem poszła do kuchni.

Na zewnątrz zrobiło się jeszcze szarzej, chyba się zanosilo na burzę.

Szczelina się domknęła, prześwit zniknął.



Od matki Marta wracała autobusem. Pogoda się popsuła, zrobiło się szaro, buro i nijako. W podobnym stylu się rozstawały. Mama, jakby żałując swej nieoczekiwanej szczerości, znowu zamknęła się w skorupie. Rozmowa wtoczyła się w stare koleiny.

Trudne było to wszystko; gdyby na to spojrzeć z zewnątrz, teoretycznie, sprawa wyglądałaby całkiem prosto – bez względu na to, co za sobą zostawiły, zawsze przecież mogły zacząć od nowa. Odkreślenie grubej linii, cytując Mazowieckiego.

Teoria sobie, życie sobie. To, co w chłodnych rozważaniach nie sprawia problemu, w prawdziwym życiu okazuje się nie do przejścia. Matka mogła mieć refleksje dotyczące swojego dotychczasowego zachowania, na pewno je miała. Niemożliwe, żeby po tylu latach wciąż była tak zaślepiona i zapiekła; z pewnością dokonała rachunku sumienia. Jak jednak się teraz odstąpić – przed Martą, przed byłym mężem, przed jego rodziną, i powiedzieć: „Przepraszam, ciut się myliłam”. Wystawić się na osąd i jeszcze głośno przyznać, że dwie minione dekady są trochę zmarnowane.

Trudno, piekielnie trudno. Trzeba by do tego nieliczej odwagi. Czy Marta by ją miała?...

A sama Marta? Przecież mogłaby tak właśnie przedstawić mamie sytuację. A potem powiedzieć, że bardzo ją kocha, mimo wszystko. I bardzo by chciała, żeby między nimi było inaczej, prościej, szczerzej, matczyno-córczyno. I że ona mamę świetnie rozumie, bo też już wie – życie dorosłych to nie jest bułka z masłem.

Tak, teorie przystają do życia tylko w naukach ścisłych. Zwyczajna codzienność nie ma z nich żadnego pożytku.

Wysiadła z autobusu i skierowała się w stronę alejki prowadzącej do jej bloku.

„Szare niebo, szare bloki, szary los”, westchnęła sobie cichutko.

Szary, zamknięty już bazar, szara ściana galerii handlowej.

Świat się sprzysiągł przeciwko niej.

I wtedy w torebce zawibrowało.

Zatrzymała się, niezdarnie ściągnęła rękawiczki, rozpięła zamek i wyciągnęła aparat. Nieznany numer, sobota, późne popołudnie, chyba już nie telemarketing ani oferta pożyczki z banku. Więc może?... Drżącym palcem przejechała po ekranie.

– Dzień dobry. – Usłyszała. To było bardzo miłe „dzień dobry”. Tu, w cichej uliczce, tłumiącej odgłosy ulicy, można to było ocenić. To „dzień dobry” pasowałoby do Hugh Granta. Gdyby był Polakiem, oczywiście. Ale takim tonem, w angielskiej wersji, mógłby się odezwać w *Czterech weselach i pogrzebie* albo w *Notting Hill*.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

Serce jej waliło. Teraz to na pewno matka by u niej wyłapała uderzenia gorąca.

– Dzwonię, bo myślę, że los nam wyznaczył spotkanie.

A niech to! Marta najpierw lekuchno przykucnęła, bo kolana nie wytrzymały napięcia, a potem prawie podskoczyła. „Los nam wyznaczył spotkanie”, jak on to ładnie ujął! To na pewno nie jest facet z siłki, ani żaden hejka-siemka.

– Też mam takie przeczucie – odpowiedziała najaksamitniej, jak potrafiła.

– Nie każmy przeznaczeniu czekać. Co by pani powiedziała na poniedziałkowe popołudnie w Łazienkach? Pod Starą Kordegardą o szesnastej.

No i po raz drugi to samo. Kordegarda, nie pomnik Chopina. Lubiła mazurki, wzruszały ją wierzby płaczące (choć nie rozumiała, po co je tak ogławiać?...), bywała na koncertach pod chmurką, w otoczeniu tych przepięknych róż, ale to był taki oczywisty trop – jeśli się umówić w Łazienkach, to pod pomnikiem mistrza. A Stara Kordegarda – o, to był motyw dla bardziej wtajemniczonych.

– Z przyjemnością – odpowiedziała więc.

I nawet ją to nie zmartwiło, że wszystko się potoczyło tak szybko, tak nierzeczywiście, że nie poznali swoich imion, nie podali żadnych cech szczególnych ubioru – nic.

To wszystko było po prostu niepotrzebne – w końcu trafili na siebie.

Marta dopłynęła do swojej klatki. Co tam dopłynęła – dofrunęła!

Wieczorem leżała rozanielona i rozmarzona. Po raz siedemdziesiąty dziewiąty wyobrażała sobie moment ich spotkania: ona idzie szeroką aleją, raz oświetlona słońcem (musowo, mimo że bury listopad, a do tego umówili się na czwartą i zaraz robi się ciemno), raz się chowa w cieniu wybujałych kasztanowców (i co z tego, że już łysych). Zbliża się do budynku Kordegardy. Już go widzi; stoi, niewymuszenie elegancki, czarujący, z bukietem róż. Podziwia jego półprofil; on się obraca, bo słyszy jej kroki. Ich spojrzenia się przecinają, w tym samym momencie na ich twarze wypływają uśmiechy. Ona podchodzi, zrazu niepewnie, ale zachwyty w jego oczach ją ośmiela. Odrzuca więc niepewność, przybliża się, mówi „dzień dobry”, jakby to było najzwyczajniejsze spotkanie na świecie, całuje go w policzek, ale kąci ich ust subtelnie się stykają. Wwąchuje się w róże; ach, ten karmin i ten zapach. „Czekałem na ciebie”, słyszy, „przez całe swoje życie”.

Tak by było w porządnej powieści romantycznej. Skoro te powieści powstają, z roku na rok ich coraz więcej, to chyba muszą mieć coś wspólnego z życiem?...

Marta wierzyła, że jutro życie napisze jej podobną fabułę.

Przedświątecznie cudowną.

ROZDZIAŁ 8



Goście Popularnej nie należeli do grupy skrupulatnych domatorów, którzy właśnie przystępowali do przedświątecznych prac porządkowo-przygotowawczych.

Delikatny półmrok, zmysłowy jazz, który budził nie tylko kulinarne apetyty, miękkie welury obić, ciepłe drewno stołów, magiczny blask świec, smakowite zapachy potraw przemieszane z zapachami z górnej perfumeryjnej półki – panowała tu wyjątkowa, wbrew nazwie lokalu, atmosfera.

Krzysztof się rozejrzył. Znał to miejsce dobrze, wpadał tu czasami na lunch. Było – jak zawsze – pełne obłożenie, kelnerzy mijali się przy stolikach, goście jedli, nachylali się ku sobie w rozmowach, czytali gazety.

Dzisiaj jednak towarzyszyły mu niecodzienne emocje. Czuł się podekscytowany i jednocześnie... jak podglądacz. Zjawił się tu, niezaproszony, po prostu pomyłkowy adresat. Domyślał się, jakie będą efekty tego, że nie poinformował pięknej Igi, iż pomyliła numery. Jej wybranek – prawdziwy wybranek – się nie pojawi, no bo jak, skąd by miał wiedzieć o spotkaniu, skoro SMS do niego nie dotarł? Iga zaś pewnie zaraz otworzy drzwi, a on, Krzysztof, będzie ją mógł obserwować. Jeśli rzeczywiście jest taka, jak o sobie pisze, i jeśli nikt nie będzie, jakimś cudem, na nią czekał, Krzysiek się przysiędzie i... niech będzie, co może być. Gdyby zaś okazała się, no, nieodpowiadająca autoprezentacji z SMS-a, on może spokojnie wyjść albo zostać i równie spokojnie zjeść obiad. Komfortowo.

„I nieładnie”, dodał w myślach. Jednak coś takiego biło od tej wiadomości, że nie mógł się zachować tak jak zawsze, czyli absolutnie fair. I trochę nudno.

Usiadł przy barze; stoliki były albo zajęte, albo z tabliczkami „rezerwacja”. Tych drugiego typu były trzy. Po chwili z jednego z nich, dzięki zakochanej parze, zniknęła plakietka. Poczł delikatne ukłucie zazdrości; ta para wyglądała tak ładnie razem. Kolejne kilka minut i na krzesłach przy stoliku numer dwa usiadł trzech facetów w garniturach. No i wreszcie...

To musiała być ona. Jest coś takiego w kobietach pewnych własnej wartości: wyprostowana sylwetka, ściągnięte łopatki, broda lekko wypchnięta ku górze. Taka kobieta wchodzi do środka i zagarnia wszystkie spojrzenia, zarówno męskie, jak i damskie. Jest tego świadoma i jednocześnie (pozornie) nic sobie z tego nie robi.

Zdjęła płaszcz i zostawiła go na wieszaku przy wejściu. I wtedy Krzysztof ostatecznie się przekonał, że w Popularnej doszło do cudu, a raczej: cud dotarł do Popularnej.

Długie, szczupłe nogi, które nie chciały się skończyć. Wąska, podkreślona szerokim skórzanym paskiem talia. To, co poniżej, było spódnicą, choć pewnie istnieje jakiś dolny limit materiału na tego typu odzież, a w tym przypadku chyba nie został dotrzymany. Piersi; tu odwrotnie – by je odziać, trzeba było więcej materiału. Blond włosy, opadające kaskadami na ramiona. Czerwona szminka, czerwone paznokcie.

Był stracony. Ideał kobiecości, wzorzec z Sèvres wymarzonej dziewczyny, tajemnicza Iga pojawiła się w tym lokalu.

Usiadła przy ostatnim wolnym stoliku. Nie wyglądała na szczególnie przejętą faktem, że to ona jest pierwsza i teraz czeka na wybranka.

Krzysztof poczuł, że spocily mu się dłonie, przejechał nimi po udach, do kolan i z powrotem. Denerwował się. To, co go kręciło, gdy było wyobrażeniem, teraz, kiedy działa się naprawdę, napawało go lękiem.

„Żeby to się udało”, pomyślał, „muszę zagrać *va banque*. Żadnego wahania, sto procent pewności siebie. Tysiąc procent”.

Wstał ze stołka barowego, przełknął ślinę, też się wyprostował i naprężył.

Ludzie nie różnią się zbytnio od zwierząt, jeśli chodzi o autoprezentację: stroszenie piór, pozycja godowa – i do boju.

Lekkim krokiem szedł między stolikami, patrząc na nią. Szybko wyłapała to spojrzenie i odpowiedziała na nie. Ten kontakt wzrokowy był jak zwijająca się nitka – ona nawijała kłębek.

Stanął przy stoliku. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć (w głowie miał kilka wariantów, żaden z nich nie był idealny), usłyszał:

– Czekałam na ciebie.

Zaczął się topić jak wosk, już go miała. Mógł sobie wcześniej myśleć, że to on łowi ją, a teraz zrozumiał, że jest odwrotnie. I to też mu bardzo odpowiadało.

– Krzysztof. – Delikatnie schwycił podaną mu dłoń.

– Iga. – Przyciągnęła go do siebie i pocałowała go w usta, jakby to była najzwyczajniejsza sprawa pod słońcem.

A potem wszystko zlało się w jeden, mocno sensualny obraz: cichy trzask łamanej bagietki, którą wybierała oliwę z miski po sałacie, przeplatał się z jej śmiechem; aksamitność kremu z porów przywodziła mu na myśl gładkość jej skóry (był listopad, a ona miała gołe nogi), sprężysty befsztyk nie pozwalał mu nie myśleć o jej udach, których ciepło czuł. Do tego była bardzo atrakcyjną rozmówczynią; właściwie to ona prowadziła tę rozmowę. Zresztą w ogóle miał wrażenie, jakby to ona reżyserowała ten cudowny spektakl, a on – grał w nim główną rolę. Do tego, czuł to resztkami z trudem utrzymującej się świadomości, taki był podekscytowany, całkowicie mu to odpowiadało. To była nowa i ekstremalnie fantastyczna sytuacja.

Obiad płynnie przeszedł w kolację; dosłownie płynnie – łącznikiem była butelka bardzo dobrego wina.

– ...badania, leki. – Patrzyła na niego z podziwem, co tak mile łechtało jego próżność. – To absolutnie fascynujące. Praca na rzecz

ludzkości... – W jej błękitnych oczach widział zachwyt.

– Twoja praca też ma, w pewnym stopniu – musiał to wtrącić, aż tak bardzo mu w głowie nie szumiało – charakter misyjny.

Roześmiała się.

– Oj, nieładnie, nieładnie. – Pogroziła mu palcem. – Tak się naśmiewać.

– Ale serio! – zaprzeczył. – No bo zobacz: dzięki temu, że coś promujecie, ludzie kojarzą markę, lubią ją, utożsamiają się z nią. Kupują produkty, firma zarabia, ale częścią tego zysku dzieli się z potrzebującymi. Ta akcja pomocy domom, w których mieszkają osoby starsze, samotne, niedołączone, no to jest super, naprawdę.

Iga była szefową działu marketingu w dużym koncernie kosmetycznym oferującym produkty z wyższej półki, który też, podobnie jak LabMed, dział charytatywnie w okresie przedświątecznym.

– Robiliśmy różne badania, sprawdzając, jak powiązać sprzedaż z tą pomocą.

– To znaczy?... – Trochę się zagubił.

– No wiesz, w jaki sposób wystymulować sprzedaż, wybierając cel takiej akcji.

– Żeby można było przekazać więcej pieniędzy potrzebującym – dopowiedział.

– To też. – Uśmiechnęła się w sposób dający do zrozumienia, że akurat ten element był ostatnim punktem na liście ważności. – Po prostu sprawdzaliśmy, na jakiej czulej nucie kupujących zagrać. Nasi klienci to przede wszystkim grupa wiekowa od trzydziestu do czterdziestu pięciu lat, obie płcie, zarobki powyżej średniej krajowej. Kupują drogie kosmetyki, pasujące do ich stylu życia, w pewnym stopniu kupują też ten styl życia, rozumiesz.

Rozumiał, on również był w tej grupie.

– A to z kolei grupa, która ma dojrzałych już rodziców. Często oddalonych od nich o wiele kilometrów, bo zostawili te swoje miasta i miasteczka daleko, zjeżdżając do Warszawy, Wrocławia, Krakowa czy innego dużego miasta. Rozłąka, brak czasu na kontakty,

dręczące wyrzuty sumienia, że robią dla rodziców za mało, za rzadko ich widują i takie tam.

„Takie tam” także rozumiał.

– Jeśli wiedzą, że wspieramy ludzi starszych, samotnych, opuszczonych, to chętniej kupują nasze produkty, kupując też w ten sposób spokój swojego sumienia. „Może z rodzicami nie mam superukładów i w ogóle trochę ich zaniedbuję, ale przecież jestem dobrym człowiekiem, bo pomagam starszym ludziom”, tak myślą.

Crème brûlée nagle wydał mu się zbyt słodki.

– No, może tak to działa. – Odchrząknął.

– Na pewno tak to działa! – Zaśmiała się. – Badania w firmach marketingowych są równie zaawansowane co badania nad lekami przeciw chorobom układu krążenia czy nowotworom. Szczegółowa wiedza to klucz do sukcesu w każdej firmie. – Zgrabnie ściągnęła czerwoną wisienkę wieńczącą kopczyk bitej śmietany na czekoladowym biszkopcie.

„Rany, ale ona jest seksowna”, Krzysztof aż jęknął w duchu. Każdy taki drobny gest: odsłonięcie szyi, muśnięcie dłonią obojczyka, przechylenie głowy, falowanie włosów, był tak zmysłowy, że Krzysztof natychmiast odpływał myślami od aktualnego tematu rozmowy do tego, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nie byli w Popularnej, tylko w jakimś zacisznym miejscu, wyłącznie we dwoje.

– Och, zasiedzieliśmy się. – Spojrzała na zegarek. – Fantastyczne popołudnie. Cudowne. Przedświątecznie cudowne. Jednak niezwykle przypadki się zdarzają.

Przez chwilę się spiął. Do tej pory żadne z nich nie poruszyło sprawy SMS-a. On – z powodów oczywistych, ona – nie wiadomo, ale był jej za to niezwykle wdzięczny.

– Tak. – Odwzajemnił jej uśmiech. Niedopowiedzenia, które udają, że się wszystko wie, tylko tego nie mówi, są w takich sytuacjach najlepsze.

– Wieczór też miły – kontynuowała.

Znowu kiwnął głową.

– Ale trzeba już iść.

Kiwnął głową po raz trzeci, już bez entuzjazmu. Chciał, by to spotkanie trwało i trwało.

– Ty mieszkasz niedaleko, ja – w Wilanowie – powiedziała, patrząc mu w oczy.

– Zamówię taksówkę – zaproponował.

Potakująco zmrużyła oczy.



Stali przed Popularną. Było ciemno, dość chłodno, mijali ich różni ludzie, samochody jeździły, światła się zmieniały, a jego świat się skurczył tylko do Igi – istniała wyłącznie ona. Już dawno, a może nigdy, czegoś takiego nie przeżył. Jak ta kobieta na niego działała – no po prostu magnetycznie!

Myślał, choć myśli miał trochę zmaczone, w jaki sposób ją pożegnać, żeby od razu się umówić na kolejny raz, choć tak naprawdę wolałby się z nią wcale teraz nie rozstawać.

Samochód z logo korporacji taksówkarskiej zatrzymał się przy krawężniku.

Krzysztof otworzył jej drzwi.

– Przejedźmy się – powiedziała.

Wsiadł bez wahania. Kolejne minuty w jej towarzystwie były pożądane. Ona cała była pożądana. Odwiezie ją, potem poprosi, by taksówkarz odstawił go pod dom.

Jechali przez wieczorną Warszawę. Taksówkarz, bystry obserwator, jak każdy zresztą pracujący w tym zawodzie kierowca, nie próbował zabawiać ich rozmową.

Iga wzięła dłoń Krzysztofa, by po kilku chwilach położyć sobie na udzie. Nie do wiary, jak aksamitnie gładkie było. I gorące.

– To tu, ten budynek – powiedziała do kierowcy.

– Odprowadzę cię – szepnął jej do ucha. – Proszę poczekać. – Normalnym już tonem zwrócił się do kierowcy.

Wysiadł, otworzył jej drzwi podał rękę.

Przeszli kilka kroków.

– Poczekaj – powiedziała Iga i zawróciła w stronę auta. Obeszła je, nachyliła się nad drzwiami od strony kierowcy. Krzysztof zobaczył, że szyba się opuszcza, Iga coś mówi do taksówkarza, potem otwiera swoją małą kopertową torebkę, coś z niej wyjmuje i podaje taksówkarzowi. Szyba się zamknęła, Iga się wyprostowała i weszła na chodnik. Gdy była już blisko Krzysztofa, zobaczył, że światła w samochodzie się zapaliły i auto wytoczyło się na środek uliczki.

– Powiedziałam, żeby nie czekał. Kilka godzin postaju to jednak by był bardzo drogi kurs. Chodźmy.

Krzysztof zapamiętał jeszcze stukot obcasów o płyty chodnikowe, otwieranie drzwi do apartamentu Igi, a potem świat się ograniczył do kilku metrów kwadratowych miękkiego łóżka, choć miał wrażenie, że znalazł się w zupełnie innej, odłotowo kosmicznej galaktyce.

ROZDZIAŁ 9



- I jak, podobało ci się? – Marta spojrzała na chłopca.
- Nooo... – zaczął, niepewnie oglądając się na matkę. – Trochę.
- Zmusić ich do czytania... – Kobieta wywróciła oczami. Była stałą czytelniczką, z bogatą listą wypożyczeń. Jej syn, dziesięcioletek, zjawiał się w bibliotece zdecydowanie rzadziej, zwykle po lektury, i to tylko dlatego, że robił to na ostatni moment i w szkolnej wypożyczalni już nie było danego tytułu.
- Bo to jest napisane tak, że na początku to w ogóle nie wiadomo, o co chodzi. – Chłopiec próbował odeprzeć atak. – Język jest ar... arche... nielogiczny? – Zgubił się.
- Archaiczny – odpowiedziała Marta.
- Właśnie! – Ucieszył się. – Teraz tak się nie pisze. Teraz się pisze prosto i krótkie zdania.
- To książka sprzed stu lat. – Marta zeskanowała kod *Chłopców z Placu Broni* i odłożyła książkę na stojak.
- No przecież są nowsze, mogliby nam jakąś dać... – Chłopiec zerknął w stronę regału z nowościami.
- Możesz sobie sam coś wybrać, nie tylko lektury się czyta. – Marta postanowił kuć żelazo, póki gorące. – W piłkę lubisz grać?
- Pewnie, że tak, kto by nie lubił? – zdziwił się. – Ale co to ma wspólnego z książkami?
- A ma. Zobacz serię *Najfutbolniejsi*, tam, na górze. Chłopcom bardzo się podoba – zachęciła go.

Ruszył w stronę półek, ale w pewnym momencie się zatrzymał, odwrócił i spojrzał na Martę.

– A jak się kończą te książki? – zapytał.

– Jak się kończą?... Tak dokładnie to nie wiem, przeglądałam je tylko, to nie moja kategoria wiekowa. – Uśmiechnęła się. – Jest dużo o piłce, meczach, więc...

– Bo *Chłopcy z Placu Broni* kończą się źle – wyłuszczył chłopiec.

– Wiem, to smutne. Pamiętam, że płakałam, gdy Nemeček umarł.

Podobny smutek wywołało w niej *O psie, który jeździł koleją*. Marta przypomniała sobie, że w sumie lubiła smutne książki. Przeżywała, drżała, chlipała, ale tytuły, które wprawiały ją w taki dygot, zapamiętała lepiej niż setki pogodnych bajek.

– Właściwie to mogliby nie dawać dzieciom takich książek. – Matka, przeglądająca do tej pory nowości na regale dla dorosłych, włączyła się do rozmowy.

– Dlatego, że o śmierci? – zapytała Marta.

– Tak. Choć w sumie to nie. Śmierć się w życiu zdarza.

– Śmierć jest jednym z nielicznych pewników w życiu. – Uśmiechnęła się Marta.

– No właśnie. Więc, chociaż smutna, to mogłaby być.

Chłopiec przysłuchiwał się im z rosnącym zainteresowaniem.

– Ale w *Najfutbolniejszych* nikt nie umiera – uspokoiła go Marta.

Nie mogła tego wiedzieć na pewno, ale czy w książkach z tak kolorowymi okładkami ktoś mógłby się przenieść na drugi świat, niebędący magiczną krainą?... Ta rozmowa uświadomiła jej, że gdyby ktoś szukał dla dziecka literatury oswajającej z tematem śmierci, nie potrafiłaby nic polecić, oczywiście poza tymi dwiema, już wspomnianymi, i *Braćmi Lwie Serce*, przy których też zresztą płakała. Dolina Wiśni w Nangijali, jakie to było wzruszające i piękne... Poczwała cisnące się do oczu łzy. Co się z nią działo? To chyba przez te emocje, które od rana w niej buzowały i które za kilka godzin znajdą ujście.

Kiwnął głową i zaczął przeglądać serię.

– Chodzi o to, że to, co złe, wydarza się na końcu. Gdyby jeszcze gdzieś w środku... A tak to się zostaje z tym smutkiem. Ja też nie lubię, kiedy tak jest, wolę happy end. – Mama chłopca położyła przed Martą trzy wybrane pozycje; kolorowe okładki, na każdej młoda kobieta stojąca półprofilem, lekko zamyślona, trochę uśmiechnięta. „Tak, tu na pewno wszystko kończy się dobrze”, pomyślała Marta. A potem pomyślała o swojej randce w Łazienkach. Co tu kryć, też by chciała, żeby jej finał był dobry. Spojrzała na zegarek – dochodziła trzecia, zaraz skończy swoją zmianę i pojedzie na spotkanie przeznaczenia.



Powoli szła przez park. Miała jeszcze pół godziny. Nie zjawi się przecież pierwsza na miejscu. Była za równouprawnieniem, ale akurat w takiej kwestii jak randka wychodziła z niej tradycjonalistka. Pogoda była barowa. Ciężkie, ołowiane chmury zwieszały się nad ogołocionymi z liści drzewami. Ostatnie deszcze sprawiły, że na ziemi zamiast kolorowego dywanu rozciągała się brudnobrązowa wykładzina. Cóż, jakiego wsparcia można oczekiwać od natury, gdy się szuka miłości w listopadzie?

Mogłaby zejść przy Oranżerii, ale wybrała drogę zakosami, obchodząc pomnik Chopina z prawej strony. Spokojniej, puściej, dalej, no i nie ma takiej stromizmy. Znając jej szczęście, na pewno by się poślizgnęła na mokrych liściach.

Szczęście... Od kilku dni intensywnie się zastanawiała nad istotą szczęścia. Czy ono się zdarza, czy jednak trzeba umieć je znaleźć i zatrzymać przy sobie?...

Tyle czytała, a książki nie przynosiły odpowiedzi na to pytanie. Tak czy owak, był w nich wspólny mianownik – szczęśliwe zakończenie. Mało która autorka powieści obyczajowych miała odwagę, żeby zostawić swoją bohaterkę w niedobrym położeniu, żeby jej nie dać tego, o co przez wszystkie strony walczyła, nawet jeśli walka

polegała tylko na biernym wypatrywaniu białego rumaka wiozącego tego jedyne. To nie była postawa Marty. Już nie. W końcu wzięła sprawy w swoje ręce i dlatego teraz tu była. Ciekawe, jak by zareagowali klubowicze, gdyby się dowiedzieli, co ich kierowniczka zrobiła. Przed nimi zawsze jest profesjonalna i opanowana, bibliotekarka z misją krzewienia czytelnictwa, konkretna i rzeczowa, a po pracy... No, raz mieli taką dyskusję, z powodu nazwy klubu. Sławek powiedział, że Nibylandia to taka magiczna, romantyczna nazwa i on się w sumie zastanawiał, czy to miejsce dobre dla niego, bo on jest racjonalny i woli fakty od fikcji, a Dorota, eksnauczycielka, stwierdziła, że to takie metaforyczne określenie, bo chodzi o przeniesienie się do innego świata, tego, który w książkach. „Druga gwiazda na prawo, i prosto, aż do poranka. Należy polecieć. Aby polecieć, wystarczy Cudowna Myśl i trochę Wrózkowego Pyłu”. Marcie przyszła do głowy taka nazwa, gdy sklejała naderwaną kartkę w *Piotrusiu Panu*. Właśnie na wrózkowym pyłe się przedarła, jakby ktoś energicznie przewracał stronę. Pomyślała wtedy, że przecież właśnie po to się czyta książki – żeby mieć inne życie/życia niż to jedno, którym się żyje. Zwłaszcza gdy to jedno jest bardzo zwyczajne, zdecydowanie bez wrózkowego pyłu.

Nie samym czytaniem jednak się żyje, to też sobie pomyślała, już później. Miała w tym swój udział mama – paradoksalnie. Mama, która się okopała w swoim porzuceniu i dodatkowo zawałiła wejście muzealnymi kamieniami i skamielinami, zwróciła jej uwagę, że Nibylandia to oderwanie od życia. „Ucieczkowa nazwa”, powiedziała. Marta się wtedy skupiła na fakcie, że to właśnie mama ma takie – krytyczne – przemyślenia. Dlatego już bez wahania zainaugurowała działalność Klubu Czytelniczego Nibylandia. Potem ochłonęła, przemyślała sprawę i była nawet skłonna przyznać rację, ociupinkę racji, matce. Nazwa jednak została.

Znajdowała się już niedaleko Pałacu na Wyspie. Spojrzała na zegarek. Jeszcze pięć minut, idealnie wycyrklowała. Przeszła przez pierwszy most, minęła zegar słoneczny, drugi most, i... zaświeciło

słońce. Albo to był jakiś meteorologiczny sprint, albo ona się mocno zamyśliła i nie zauważyła zmian na niebie.

Ostatni odcinek wyglądał tak, jak to sobie wyobrażała: gra światłocienia, jak w papierowym lampionie-wycinance. Z jedną wszakże różnicą: to ona miała być skryta w cieniu, a on – w pełnym słońcu, żeby go widziała z daleka, samej pozostając tajemnicą aż do końca.

Wyszło odwrotnie.

Wyteńczyła wzrok. Wysoki, nie garbił się, szczupły, nie w dresie, a w budrysówce, brązowe włosy... Serce przyspieszyło. To chyba był on, jej Hugh Grant.

Wyprostowała się, starała iść ładnie, łopatki ściągnięte, nie za szybko, ale też nie ślimaczo, uśmiechnąć się pełniej czy jak dama z gronostajem?

Zauważył ją i też zaczął iść w jej stronę.

Oboje byli już bardzo blisko linii oddzielającej osłonecznioną część alejki od tej pozostającej w mroku. On był szybszy. Minął tę granicę i...

Przystanęła. Teraz już widziała go bardzo dobrze. Wszystko się zgadzało: przystojny szatyn, ubrany w stylu angielskim, ładny uśmiech. No, prawie wszystko – nie zgadzał się wiek. To nie był Hugh Grant, to był ojciec Hugh Granta.

– Dzień dobry! – Miał bardzo ładny głos. I sześćdziesiąt lat. A może więcej.

– Dzień dobry. – Odchrząknęła. Poczuła, że zaschło jej w gardle.

– Bardzo się cieszę, że pani przyszła.

Głos też miał miły – głęboki, aksamitny. No i nie powiedział do niej „ty”, choć właściwie przy różnicy wieku mógłby. Albo na przykład mógłby powiedzieć „dziecko” lub „dziecinko”.

– Dzień dobry. I nawet słońce wyszło. – Nie potrafiła tak od razu mu palnąć, że to pomyłka i że ona dziękuje, ale przeprasza i żegna. Dlaczego zawsze ją to spotyka, te rozczarowania i pomyłki. „Bo jesteś naiwna”, odpowiedziała sama sobie.

– Czekałem w lekkich nerwach. Może to niemęskie się przyznawać do takiego stanu, ale z wiekiem człowiek odrzuca stereotypowe patrzenie na świat. – Uśmiech też miał bardzo ładny.

– Stereotypy nas ograniczają – zgodziła się. Próbowwała coś jeszcze dodać na temat tego wieku, ale nic zgrabnego nie przychodziło jej do głowy, więc skończyło się na tym jednym zdaniu, które on musiał odebrać jako zachętę, bo podszedł do niej jeszcze bliżej, wyciągnął rękę i powiedział:

– Mirosław.

Nie znała żadnego Mirka, to nie było imię z jej pokolenia.

– Marta. – Uścisnęła jego dłoń.

Zrównał się z nią, stali teraz na jednej wysokości. Lekko podniósł rękę i zgiął w łokciu.

– Służę – powiedział.

Dała mu się prowadzić. Było w tym mężczyźnie coś takiego, co sprawiało, że poddawała się jego woli.

– Przedstawię się bardziej, bo samo imię to wciąż trochę tajemniczo – zaczął. – A ja nie jestem tajemniczym człowiekiem, wręcz przeciwnie. Sam się sobie dziwię, że się odważyłem na ten telefon... To był moment, krótka chwila. A zatem – dużo czytam, wszystko właściwie...

– To tak jak ja – przerwała mu. Więc jednak coś ich łączyło. – Jestem bibliotekarką.

– Mogłem się domyślić! – Aż przystanął. – Tak zgrabnie to było ujęte. Więc dużo czytam, nie tylko to, co w książkach. Mam nawyk, że się rozglądam po świecie i jeśli tam coś do przeczytania, to też czytam. I tak właśnie trafiłem na panią, pani Marto. Biłem się z myślami, czy dzwonić, bo przecież nie miałem żadnej pewności, czy to chodzi o mnie, ale dlaczego nie spróbować, prawda?

I znowu to zrobiła. Już taka była – empatyczna i delikatna. Zawsze brakowało jej pewności siebie, żeby głośno i wyraźnie powiedzieć, co myśli. Zresztą, teoretycznie, Mirosław miał rację – próbować zawsze warto.

– Tak. – Kiwnęła głową.

– Powiedziałem, że dużo czytam, choć to zupełnie nie wynika z mojego zawodu, nie tak, jak w pani przypadku. Jestem inżynierem, zajmuję się przede wszystkim mostami.

– Mostami? – zdziwiła się.

– Skończyłem inżynierię dróg i mostów. Może się wydawać przyziemne, to znaczy drogi są przyziemne, mosty mniej, ale przecież potrzebujemy dróg i mostów. Zresztą – jestem przyziemny, niech tam, odślonię się przed panią. Może dlatego szukam odskoczni w książkach. A pani co robi, żeby się po pracy oderwać?

„Dobre pytanie”, pomyślała.

– Właściwie to też czytam. To znaczy po pracy przede wszystkim czytam, bo w pracy mamy dużo obowiązków organizacyjnych, rozmowy z czytelnikami, rozkładanie tytułów, oprawa nowych nabytków, klub czytelniczy...

– Klub czytelniczy? Bardzo ciekawe! Nie wiedziałem, że w Polsce są kluby czytelnicze.

– Są, dużo. Dyskusyjne Kluby Książki, cała sieć, i takie indywidualne, jak nasz.

– Bardzo fajny pomysł. Ja preferuję samodzielne lektury, sam też sobie potem układam w głowie to, co przeczytałem. Podobnie mam z filmami czy sztukami teatralnymi. W ogóle jestem samodzielny. – Uśmiechnął się, choć już bez żywiołowości.

Marta pomyślała, że to miły facet, a do tego inteligentny. No ale...

– Właściwie to jestem bardziej samotny niż samodzielny.

I zamilkł.

Gorączkowo się zastanawiała, co powiedzieć. Tyle czytała, a i tak miała problem ze sformułowaniem myśli. Może dlatego, że nie była pewna, co myśli, albo inaczej – tych myśli było za dużo. Ten obcy mężczyzna, którego nie powinno tu być, bo przecież nie o niego chodziło, i musiał to wiedzieć, zresztą prawie to powiedział, po kwadransie wspólnego spaceru wyznaje, że jest samotny.

Ona też była, ale nie odśloniłaby się tak.

– Jestem wdowcem, od piętnastu lat.

– Długo – powiedziała, bo to akurat było proste.

– Długo – zgodził się. – Ale wie pani, że ja dopiero niedawno sobie uświadomiłem, że to długo? Wcześniej żyłem tak... nieświadomie. Bardzo kochałem żonę, bardzo. Byliśmy we dwoje, bez dzieci, tak się złożyło. Potem ona zachorowała, kilka lat wspólnie walczyliśmy, ale bez efektu. Zostałem sam. Pierwsze miesiące były takie nierzeczywiste – być samemu, coś przedziwnego. Później zacząłem przywykać, a potem... Zresztą wydawało mi się, że nowa relacja byłaby zdradą wobec Marysi. I chyba się w tej samotności rozsmakowałem.

– Rozsmakowałem? A ona ma dobry smak? – zapytała.

– Kiedy człowiekowi jest źle, to nic mu nie smakuje, żaden konkretny smak mu nie podchodzi. Szuka po prostu jakiegoś zapełniacza. Schowałem się za swoją samotnością. Znajomi początkowo jeszcze dzwonili, pytali, zapraszali, ale potem przestali. Konsekwentnie chciałem być sam, trudno się im dziwić. A ja... Niedawno mieliśmy paskudny wypadek na jednej z budów. Kierownik w okropnym stanie, ledwo go odratowano. Przyjechała żona, potem dzieci, później telefony od dzieci tych dzieci... Straszne... A z drugiej strony – tyle osób to poruszyło, tyle osób razem było zaangażowanych emocjonalnie w jego los. To był taki moment, że coś się we mnie odemknęło. Może to głupie, ale ja sobie dopiero wtedy pomyślałem, że jestem taki samotny. Nikt by po mnie nie płakał. I nagle przeraźliwie to poczułem. Może moja żaloba miała być piętnastoletnia, może. W każdym razie ją skończyłem i dałem sobie prawo do szukania szczęścia, czymkolwiek ono jest. Zaczynam od drugiego człowieka, bo myślę, że to dobry trop.

Marta się uśmiechnęła. Najpierw w duchu, a potem do Mirka. To był naprawdę fajny człowiek. Szkoda, no naprawdę szkoda...

– Ja wiem, że to nie ja. – Przystanął i popatrzył na nią. – Dobrze, że już się zrobiło ciemno, bo bym tego nie powiedział. Domyśliłem się, że pani musi być młodą osobą, to się czuło – na taki romantyzm i szczerłość stać tylko kogoś, kto idealistycznie patrzy na życie. Jeszcze idealistycznie patrzy na życie, co oznacza, że niewiele lat za nim. I z tą wiedzą zadzwoniłem, przekonany, że pani nie

przyjdzie. A nawet jeśli się pani zjawi, to na mój widok ucieknie. Muszę być wyjątkowym szczęściarzem, skoro minęło już dwadzieścia minut, a my wciąż spacerujemy. – Popatrzył na nią.

Teraz mogła mu się przyjrzeć lepiej, bo skręcili w szerszą, solidniej oświetloną aleję. Miał bardzo miłą twarz, włosy ciemne, ale nie brązowe, dłuższe, ale proste. Zamiast budrysówki była lekko ocieplana kurtka o luźniejszym kroju. Nie mógłby być nawet ojcem Hugh Granta. Zdziwiła się – tak bardzo chciała zobaczyć wymarzony obraz, że dała się oszukać swoim zmysłom.

On zaś... Był naprawdę miły – nie żaden świr czy przestępca, zwyczajny człowiek, który postanowił wypełnić kupon i dać sobie szansę.

– Mam kolejne dwadzieścia minut – powiedziała. – Teraz ja opowiem panu trochę o sobie.

ROZDZIAŁ 10



Przejechał dłonią po prześcieradle. Było zimne i puste.

Westchnął.

Nie wiedział, dlaczego mu się wydawało, że ona leży obok. To pewnie sen się nałożył na przebudzenie, dwa porządki się przemieszały: nierzeczywistości i rzeczywistości.

Nierzeczywistość była taka, że zrobiło mu się ciepło. Znajome mrowienie w łądźwiach i ona – w różnych pozycjach, ujęciach i obrazach. W sumie ten sen niewiele się różnił od rzeczywistości – Iga właśnie taka była: pewna siebie, przejmująca inicjatywę, pomysłowa. Aż go zawstydziała czasem. Wydawał się sobie całkiem postępowy, doświadczony i, jakby to ująć – na czasie. Ale kolejne spędzane z nią wieczory sprawiły, że zrewidował ten pogląd. W seksie wciąż czekały na niego nieznanne doznania i nieodkryte zakątki.

Uśmiechnął się do siebie. Czuł się fantastycznie – spełniony, odprężony, zrelaksowany. Seks to fantastyczna sprawa, a on ostatnio o tym zapomniał, tylko praca, praca, praca.

Znowu wyciągnął dłoń i przesunął ją po zimnym materiale. Tego jednego mu brakowało – żeby Iga została na noc. Ona jednak zawsze się ewakuowała z jego łóżka i wracała do siebie. „Mam bliżej do pracy”, „Nigdy nie wiem, co na siebie włożę”, „Nie chciałbyś mnie oglądać rano”, takie wymówki-trochę żarciki mu podawała. Początkowo nie sądził, że to będzie miało na niego aż taki wpływ, ale miało.

Chyba się w niej zakochał.

No dobra, przecież biologię miał w małym paluszku, wiedział, jak to działa. Chemia miłości – to tajemnica tego stanu. U zakochanych gwałtownie wzrasta poziom dopaminy, neuroprzekaźnika, który pobudza ośrodek przyjemności i sprawia, że człowiek czuje się szczęśliwy. Przyspieszone bicie serca i podwyższone ciśnienie to efekt działania noradrenaliny, też neuroprzekaźnika, który zmniejsza dopływ krwi do układu pokarmowego; zamiast tego trafia ona do członka, co właśnie czuł. Dalej: fenyloetyloamina, hormon, który działa podobnie do amfetaminy, wywołuje euforię, ale odbiera dech i utrudnia koncentrację. To czuł wczoraj w nocy, w sumie tabletki w pracy też zrobiły się mniej przejrzyste. Tak, takie były biochemiczne uwarunkowania zakochania, dobrze znał te mechanizmy. Nie chciał jednak teraz myśleć o tym, że działanie fenyloetyloaminy trwa przeciętnie od roku do maksymalnie czterech lat, bo z czasem organizm się na nią uodpornia. Cztery lata – był przekonany, że w ich przypadku będzie obowiązywała górna granica, a potem żaden koniec, po prostu nowa faza. Może mniej seksu, teraz trudno mu było to sobie wyobrazić, a więcej czułości, przytulania, zwyczajnego bycia razem. Po prostu zalew oksytocyny. Właśnie, oksytocyna. Pamiętał, jak profesor na wykładzie sobie zażartował, że ci, co nie mają ochoty na związek, tylko na seks, powinni po stosunku zbierać się do siebie, a ci, którzy planują długi związek, niech śpią razem, i to najlepiej pod jedną kołdrą i nago, bo wtedy im się powydziela oksytocyna, która ich do siebie przywiąże i która ma znaczenie dla dochowania wierności, a poza tym wzmaga zaufanie i zapewnia poczucie bliskości.

Co do nagości i bliskości, to Iga mu to dawała, ale potem... Potem była pustka. Nie, nie mogła tego robić celowo, to znaczy po to, żeby się nie przywiązać, bo po pierwsze skończyła Szkołę Główną Handlową, a nie akademię medyczną i biologia jej w ogóle nie interesowała, a po drugie – też była w nim zakochana. To się po prostu czuje, zresztą mówiła mu „kochany” i wysyłała SMS-y, i... och!

Telefon po raz trzeci uruchomił budzik. Wcześniej mu się nie zdarzało tak polegiwać, wstawał przed pierwszym dzwonkiem.

Poszedł pod prysznic, potem do kuchni, gdzie zrobił sobie kawę i zjadł resztki wczorajszego sushi.

Włożył garnitur, przejrzał się w lustrze, w którym zobaczył przystojnego, zadowolonego z życia faceta, zamknął drzwi, zjechał windą do garażu, wsiadł do samochodu i pojechał do pracy.



– Artur przesunął wasze spotkanie z siedemnastej na piętnastą – przywitała go Aśka. – Kawy? – zapytała, gdy podszedł bliżej.

– Aż tak źle wyglądam? – Udał smutek. Wciąż pamiętał swoje odbicie w lustrze w przedpokoju. Wiedział, że wygląda atrakcyjnie.

– Wyglądasz dobrze, jak zawsze, tylko na niewyspanego. Jak ostatnio. – Wciąż na niego patrzyła.

– No proszę, nic ci nie umknie. – Pokiwał głową.

– Taka praca. I à propos – jak tam mała charytatywność?

– Mała co? – W pierwszej chwili nie zrozumiał. – A, no tak! Rany, zupełnie mi wyleciało z głowy, przepraszam. Miałem się tym zająć, ale...

– Ale brakuje ci czasu nawet na sen – dokończyła za niego.

Roześmiał się i wszedł do swojego gabinetu.

„Spotkanie dwie godziny wcześniej”, pomyślał, siedząc przed dużym ekranem, „to nawet dobrze. Będę mógł wyjść o przepisowej porze i wcześniej wrócę do domu, więc Iga też się zjawi wcześniej i...”.

Telefon na biurku zaczął delikatnie wibrować. SMS. Od niej.

Uśmiechnął się. Znowu zrobiło mu się ciepło, znowu to mrowienie... Dziesięć godzin to jednak cholernie długo, najchętniej od razu by się z powrotem zawinął do domu, ściągając tam też ukochaną. A gdyby tak kiedyś podczas lunchu?...

„Dziś nie dam rady, posiedzenie zarządu, potem firmowa kolacja. Nie smuć się, odrobimy, kiss & love”.

A jednak się zasmucił. Myśl o kolejnej upojnej nocy rozgrzewała go od poranka, a poza tym tęsknił za nią. I nie lubił, gdy coś szło nie po jego myśli, nie tak, jak zaplanował.

„Trochę mi źle. Czekam na jutro. Kocham”.

„Trochę”, pomyślał. To było więcej niż trochę, ale nie chciał się tak obnażać. Ze zdejmowaniem garderoby szło mu (im, bo Idze zresztą też) dużo łatwiej niż z odsłanianiem uczuć. Odłożył telefon, wstał od biurka i podszedł do okna.

Pogoda w tym tygodniu była zaskakująco dobra jak na listopad. Całkiem ciepło, czasem nawet słonecznie. Park wyglądał zachęcająco. Sporo drzew już pozbyło się liści, ale jeszcze gdzieś tam były barwne plamy, no i całkiem dużo iglastej zieleni. Postanowił, że po pracy, skoro ma dziś wychodne, przejdzie się na dłuższy spacer. Jesień, mimo coraz bliższych świąt, była naprawdę ładna.

Święta. Mama. Znajomy skurcz. Wtedy nie pojechał, bo tak go ciągnęło do Popularnej. W kolejny weekend też nie, nie było takiej siły, która by go mogła wyciągnąć z łóżka, od Igi. Na tę końcówkę tygodnia również mają już plany... „W kolejny weekend”, postanowił. Wrócił do biurka, przekartkował kalendarz i drukowanymi literami, przeciągając napis przez dwie kratki, wpisał: „MAMA”. Poczuł się od razu lepiej. Lubił mieć zaplanowane życie, pod kontrolą. Sprawy, które mają być zrobione, zrobić trzeba.

Właśnie. Mała charytatywność. To też była sprawa do odhaczenia. Zrobiło mu się głupio przed Aśką. Jasne, że nie zwróciłaby mu uwagi, nie tak na serio, w końcu to on był szefem i mimo ich przyjacielskiej relacji żadne z nich nie łamało zasad, które obowiązywały w pracy. To niezłałatwienie jednak siedziało mu w tyle głowy, było sprzeczne z jego charakterem. No i jeszcze cel – charytatywny. Ważna rzecz, poza tym lubił się czuć dobry, jak każdy pewnie. I jak każdy miał jakieś zaniechania na sumieniu (mama...),

więc tym bardziej, dla przeciwwagi, warto popchnąć świat w stronę dobra.

Postanowił, że zamiast parku wybierze spacer po okolicy. Badania terenowe – na pewno coś znajdzie – jakiś klub, organizację, przychodnię. Mógłby to pewnie wygooglować, ale potrzebował ruchu. Iga była tak doskonała, miała tak piękne ciało, aż nierzeczywiście gładkie, zgrabne i wyćwiczone. Była młodsza o pięć lat, ale to wszystkiego nie tłumaczyło.

Tak, przejdzie się, rozrusza, uczyni dobro, a jutro...



„Ciekawe, jak by się żyło na takim osiedlu?”, pomyślał, przechodząc między starymi budynkami. Nie spieszył się, potrzebował tlenu i ruchu. Spotkanie trwało ponad trzy godziny; niepotrzebnie się cieszył, że zacznie się wcześniej. Artur je przesunął, bo wiedział, że będą potrzebowali więcej czasu, by omówić wszystkie sprawy.

Mieszkania w mijanych blokach wydawały się małe, zresztą tak budowano po wojnie – jak najwięcej lokali o możliwie najmniejszej powierzchni. Czterdzieści metrów dla czterech osób i norma wyrobiona. Patrzył w okna – poroświetlane, w sporej części niepozastłaniane. To też się zmieniało; kiedyś mieszkania były jak zamki, z zewnątrz niedostępne nawet dla wzroku przechodniów. Teraz ludzie często mieli odsłonięte zasłony, podciągnięte rolety, podniesione żaluzje. U nich w domu gęste firanki broniły wewnątrz przed wzrokiem ciekawskich. „Po co ludzie mają patrzeć”, mówiła mama. To się niby tyczyło tego, co tak ogólnie robią, ale tak naprawdę chodziło przede wszystkim o ojca i momenty, kiedy był „zdenierwowany”. Ludzie jednak i tak wiedzieli, bo o ile szyby dawało się zasłonić, o tyle ścian już nie. Zresztą kto się miał tym zainteresować? Czy to oni jedni tak żyli?...

„Ciekawe, jak w tych mieszkaniach”, mijał kolejne budynki. Czy jeśli ktoś się odsłania, to nie ma nic do ukrycia? Z drugiej strony

ułudą byłoby myślenie, że przemoc w rodzinie zniknęła. Może zeszła do podziemia, może zmieniła formę, pewnie jest jej mniej, bo świadomość społeczna większa, ale przecież nie było tak, że nagle zrobiło się cudownie.

Sporo o tym myślał ostatnio. Jasne, że chciał się wyrwać z Podlasia, skończyć dobre studia, mieć dobrą pracę, coś osiągnąć. Takie plany wymagają czasu i poświęceń, więc on poświęcał czas i zasuwał, i dlatego nie założył rodziny. To była część prawdy. Druga była taka, że po prostu nie miał dobrego wzorca, za to miał obawę, czy uda mu się zbudować coś lepszego, niż sam dostał. Od kiedy poznał Ięgę, był jednak przepełniony euforią. Może to właśnie z nią? Jego biurko z takimi fotografiami, jakie ma Aśka? Ich dzieci na imprezie świątecznej?...

W takim zamyśleniu doszedł do skrzyżowania. Rozpoznał to miejsce – centrum handlowe i bazarek, na którym pracuje ten zmyślny szewc. „Tam to chyba niczego nie znajdę”, pomyślał. „W galerii tym bardziej nie. Tam się kasę wydaje, a nie przeznaczają na charytatywność”.

Przeszedł przez ulicę, a potem wzdłuż ogrodzenia placu targowego. Postanowił obejść bazarek i wejść między bloki. Tych terenów zupełnie nie znał. Budynek były trochę nowsze, lata raczej siedemdziesiąte, może późne sześćdziesiąte. Więcej tu było życia – magiel, mały warzywniak, przedszkole, fryzjer, dom kultury. „O”, pomyślał, „dom kultury, miejsce pasujące do naszej akcji”.

Skręcił w alejkę prowadzącą do samotnie stojącego pawilonu, postawionego na skwerku za blokiem. Przy drzwiach do ostatniej klatki zauważył szyld „Biblioteka”. Zdziwił się, dopiero chwilę później dostrzegł oświetlone pomieszczenia podpiwniczenia, a w nich regały z książkami. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był w bibliotece. Dawno, pewnie na studiach, i to po teksty naukowe, w uczelnianej. Teraz, kiedy miał ochotę na lekturę, po prostu ściągał tytuł na czytnik, i już.

Dom kultury wyglądał zdecydowanie lepiej; budynek był odnowiony, biało-szary, nowe okna, nowe drzwi, przed wejściem nowa tablica. Przejrzał ofertę – była naprawdę ciekawa: warsztaty

fotograficzne, kółko teatralne, ceramika dla dzieci i dorosłych, nauka śpiewu, kącik szachisty, animacja filmów. Zawahał się; to miejsce nie wyglądało tak, jakby rozpaczliwie potrzebowało wsparcia.

Na dole tablicy dostrzegł ogłoszenie.

Biblioteka przyjmie książki. Jeśli masz w domu egzemplarze w dobrym stanie, których już nie będziesz czytała/czytał, podziel się z sąsiadami i czytelnikami. „Kto czyta książki, ten żyje podwójnie”. Ofiaruj drugie życie innym i niepotrzebnym już publikacjom. Dziękujemy, Filia nr 5.

Spojrzał w głąb osiedla. Rzeczywiście, biblioteka wyglądała tak, jakby na niewiele było ją stać. Dom kultury musiał mieć zupełnie inną sytuację finansową.

I wtedy sobie pomyślał, że przecież mogą wesprzeć bibliotekę. Nie będą znosić z domów leżących odłogiem książek, po prostu kupią tytuły, które biblioteka by chciała mieć. To chyba dobry pomysł na małą charytatywność?...

Bardzo się ucieszył, po pierwsze miał to już z głowy, a po drugie – spełni dobry uczynek.

Postanowił, że od razu tam pójdzie i uzgodni warunki. Zawrócił i skierował się do biblioteki. Kiedy był bliżej, zobaczył jednak, że światła zostały już pogaszone.

Zerknął na zegarek – kwadrans po siódmej. Trudno, załatwi się to inaczej. Zrobił zdjęcie tabliczce z adresem i plakietce z napisem „Biblioteka Publiczna, Filia nr 5”. Prześle je Aśce, niech ona popilotuje sprawę.

Uśmiechnął się do siebie. Był zadowolony z tego spaceru i tego pomysłu. „Czasem warto wyjść ze swojego świata i zanurzyć się w realnym życiu”, pomyślał.

Telefon zawibrował.

SMS od Igi.

„Szykuję się na święta. Właśnie dostałam czapkę Śnieżynki, reszty chyba nie zdążę kupić...”

Widocznie nieźle się bawiła na tej kolacji... Znajoma kula ciepła zawirowała w jego brzuchu.

W tym mniej realnym życiu, w które jeszcze trudno było mu uwierzyć, też by się chciał zanurzyć.

ROZDZIAŁ 11



„Odważyłem się. Myślę, że to chodzi o nas. Może spotkamy się w najbliższy piątek o 19.00 w Szczęśliwej Krowie?”

Marta miała ochotę podskoczyć. Chyba nawet to zrobiła, bo pani, która ją minęła na chodniku, obejrzała się. A może to raczej chodziło o ten cichutki (chyba że jednak lekuchno głośniejszy) pisk, który z siebie wydała?

Na coś takiego czekała. Czuła, że to pokrewna dusza, co więcej, że ta dusza jest obleczona w powłokę à la Hugh Grant. Młody Hugh Grant. Nie, tym razem się nie myliła.

Pomyślała o Mirku. Dwadzieścia minut, które miała mu ofiarować na dalszy spacer, przeciągnęło się w dwie godziny, które upłynęły nie wiadomo kiedy.

To był niezwykle miły człowiek, aż trudno uwierzyć. Czasy były teraz takie, że ludzie podchodzili do siebie z rezerwą, pewną nieufnością. Nawet jeśli w głębi ducha byli szczerzy i otwarci, to kryli się z tym w obawie przed zranieniem. Mirek natomiast się otworzył. Jasne, byli umówieni, ale po pierwsze on wiedział, że nie jest tym, kogo Marta oczekuje, a po drugie – nawet gdyby nie nadużył sytuacji, to przecież i tak Marty nie znał – mogła się okazać naciągaczką, osobą niepoważną, kimś nieodpowiedzialnym, kto go zrani.

A mimo to – zaufał jej. Obdarzył ją opowieścią o swoim życiu. Może bardzo potrzebował życzliwego słuchacza i znalazł go w niej?

Może – mimo wszystko – uważał, że jest szansa, żeby z tego ich spotkania coś się zrodziło?

Marta była tym bardziej w kropce. Kiedy była młodsza, przeczytała w jakiejś powieści rozmowę dwóch przyjaciółek. Jedna z nich opowiadała drugiej, dlaczego rozstała się ze swoim chłopakiem, dlaczego jednak nie zdecydowała się za niego wyjść za mąż (a był to mężczyzna sukcesu, dużej kultury osobistej, różnych innych przymiotów ciała i ducha). „On jest dobry, nawet za dobry. I to jest konieczne w związku, ale niewystarczające. Bez tego «czegoś» dobroć staje się balastem – nie pozwala ci odejść bez wyrzutów sumienia”. Marcie ta scena wydawała się wtedy zbyt egzaltowana. No żeby dobroć była balastem?... Mimo że dobroć jej byłych partnerów z pewnością jej nie przytłaczała, tu zdecydowanie był deficyt, Marta zrozumiała potem słuszność tego zarzutu. Dziwny, teoretycznie nielogiczny, czyli, inaczej mówiąc – bardzo życiowy.

Teraz w sposób praktyczny odrabiała tę lekcję. Mirek był dobrym człowiekiem. I nawet nie chodziło o jego wiek, nie takie związki przecież bywały, i to szczęśliwe. Rzecz w tym, że on jej wcale nie pociągał. Żadnego drgnienia erotycznej nuty. A bez tego – to zwykła znajomość. Bez tego jego dobroć byłaby balastem. zaproponowała więc spotkania na przyjacielskiej stopie („zostańmy przyjaciółmi”, ależ to zdanie było wyświechtane!).

Z takim przekazem się rozstali, ale czy Mirek naprawdę zrozumiał?...

Postanowiła nie zaprzętać sobie teraz tym głowy. Znowu spojrzała na SMS. I ta Szczęśliwa Krowa, czyli on też kocha zwierzęta. I nie boi się od razu tego zaznaczyć, to znaczy, że wyczuł w niej pokrewną duszę. Och, tym razem to mogło być to, to mógł być on, to był on!

Tylko ta godzina – 19.00. Chyba napisze do klubowiczów, żeby przyszli trochę wcześniej. Bo raczej nie może ich zostawić samych... Piotr zamknąłby bibliotekę, nie w tym rzecz, po prostu głupio tak. Zresztą lektura, którą sobie wybrali... No dobra, to ona im ją poleciła. *Wymiary życia* Juliana Barnes'a. Kiedy ją czytała, była w takim

smutno-nostalgicznym nastroju. Początek jesieni, szurające pod nogami liście topoli, ptaki zbierające się w daleką podróż. Zawsze wtedy miała poczucie kresu, nawet kiedy była młodsza. Skąd to się w niej brało? Nie od taty, bo on jest niepoprawnym optymistą. Od mamy?... Po rozwodzie cały świat widziała w czarnych barwach, a nie o to tu chodziło – nie o czarnowidztwo, tylko o pewną wrażliwość duszy.

Jak u kogoś, kto chce się spotkać w Szczęśliwej Krowie.

„Będę, cieszę się, czekam”, odpisała.

Dziś, mimo że przecież jesień była w rozkwicie (czy można tak powiedzieć, kiedy wokół wilgoć, siąpienie i szarość?), nastrój kresu jej nie przytłoczył – wręcz przeciwnie – przed sobą widziała bardzo obiecujący początek.



– „Nie wierzę, że ją znów zobaczę. Nie zobaczę, nie usłyszę, nie dotknę, nie obejmę, nie posłucham, nie pośmieję się z nią; nigdy więcej nie będę czekać na odgłos jej kroków, nie uśmiechnę się na dźwięk otwieranych drzwi, nie przycisnę jej ciała do swojego, nie przylgnę ciałem do jej ciała. Nie wierzę też, że spotkamy się kiedyś w jakiejś niematerialnej postaci. Wierzę, że śmierć to śmierć”. – Dorota jeszcze przez chwilę patrzyła w książkę, a potem powoli ją zamknęła i odłożyła.

Klubowicze milczeli.

– To jest strasznie smutne – powiedziała w końcu Iwona.

– To jest piękne – stwierdziła Justyna.

– To jest prawdziwe – odezwał się Sławek.

– Przepraszam, że w takim momencie, ale nie wiem, dlaczego my to czytamy miesiąc przed świętami. – Kamila poprawiła się na krześle. – Wzięłam tę książkę ze sobą do fryzjera i... no i... Najpierw myślałam, że to jakiś dziwny tekst o balonach, potem ta historia innych ludzi, a w trzeciej części... Przygnębiające. Bez uprzedzenia

przynębiające. Tak jakby samo życie czasem... – Nie dokończyła. Wyglądała dziś na smutną.

– Kunsztowny zabieg literacki. Mnie ta lektura bardzo poruszyła. – Dorota delikatnie przejechała dłonią po okładce.

– Mnie też. – Sławek odchrząknął. – On tak ładnie pisze o tym, co człowiek czuje, ale nie potrafiłby tego w słowa ubrać.

– To jest sztuka – czytasz i myślisz: to moje, ja tak mam, tak czuję. Cieszę się, że nam poleciłaś ten tekst. – Justyna spojrzała na Martę.

Marta zaś nie potrafiła się skupić. Dochodził kwadrans po szóstej, zaraz musi się zbierać. Zaczęli dziś o pół godziny wcześniej, na jej prośbę, i wiedzieli, że „coś ma”, ale nie patrzyli przecież nerwowo na zegarki. Marta zaś myślami była już przy swoim spotkaniu, a nastrój miała optymistyczno-wyczekujący, a nie żałobny, jak u Barnesesa.

– Myślę sobie, że takie lektury bywają pomocne... – zaczęła.

– Chyba nie dla tych, co akurat mają zły humor albo nie wiedzą, co ich czeka podczas czytania. – Kamila nie kryła sceptycyzmu.

– Kiedy sięga się po literaturę z wyższej półki, trzeba być przygotowanym na emocje inne niż w literaturze lotniskowej. – Dorota wyprostowała się na krześle.

– Jakiej? – zdziwiła się Iwona.

– Lotniskowej. Inaczej: pociągowej. Branej na podróż, dla zabicia czasu.

– Nie widzę w niej nic złego. – Kamila wzruszyła ramionami.

– Nie mówię, że jest zła, mówię, że jest inna. – Dorota się usztywniła.

– A dlaczego powiedziała pani, że ta książka jest pomocna? – Sławek zignorował dyskusję koleżanek i zwrócił się do Marty.

– Bo daje szansę na przeżycie tego smutku razem z bohaterem, w sposób wyprzedzający. Jeśli ktoś nie przeżył żałoby po nikim bliskim, to dostaje sposobność, by poczuć, przeczuć, jaki to jest stan. – Marcie wreszcie udało się skupić i zebrać myśli.

– Nauczyć się tego nie da, to nie lekcje w szkole. – Iwona spojrzała na Martę.

– Nie da – zgodziła się Marta. – Może źle to ujęłam. Chodziło mi o to, że ta lektura może kogoś skłonić, żeby inaczej, lepiej wykorzystał czas na relacje z kimś bliskim. Bywa, że się ludziom nie układa – myślała o sobie i o mamie, kiedy czytała *Wymiary życia* – ale nic nie zmieniają, bo uważają, że mają czas. Albo nie przypuszczają, jak im smutno będzie, gdy ten ktoś umrze i już nic się nie da zrobić. Dlatego zaproponowałam wam ten tekst pod koniec roku, przed świętami.

Wczoraj wieczorem dużo myślała o tym, jak podsumować ich dzisiejsze spotkanie. I właśnie to uzasadnienie przyszło jej do głowy. Rozmowy z Mirkiem też dołożyły swoją cegiełkę. „Każde spotkanie nas zmienia”, pomyślała wtedy. „Mądry człowiek czy dobra książka pomagają nam zrozumieć świat”.

Sławek chyba uważał tak samo, bo zatopił się w zadumie; kiwnął tylko głową.

Kamila chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

– Ale, ale! – Marta wstała. Ten gest miał oznaczać zmianę nastroju i być subtelnym sygnałem, że ich cotygodniowe spotkanie zmierza ku końcowi. – Nie samą nostalgią człowiek żyje przed świętami. Czy wszyscy już macie *Wielkie kłamstewka*? – Rozejrzała się po salce.

Odpowiedzią były kiwnięcia głowami i ciche „tak” lub „uhm”. Tylko Dorota była zaskoczona.

– Ja miałam wpisane na liście *Wielkie nadzieje*.

– To się czasem pokrywa. – Kamila odzyskała dobry humor. – *Kłamstewka* jednak ciekawsze. Zaczęłam oglądać serial, jest super. Książkę też sobie kupiłam – dodała szybko.

– *Kłamstewka* – powtórzyła Dorota. – No to ja nie mam. Nie wiem, jak mogłam się tak pomylić, zapewne nie... nie dostyszałam. – Odchrząknęła. – I jakoś tak mi się Dickens skojarzył, więc pewnie poszłam tym, mylnym, tropem. Czy mogłabym pożyczyć od nas egzemplarz tej powieści?

– Zaraz sprawdzę w systemie. – Marta wcześniej jednak zerknęła na zegar. Dwadzieścia dwie po szóstej.

– Ja dziś miałem oddać. Proszę wziąć, pani Doroto, z mojego konta. – Sławek sięgnął do płóciennej torby i wyjął z niej powieść.

Dorota kiwnęła głową i wyciągnęła rękę po książkę. Wyraz jej twarzy jasno mówił, że wolałaby starego, poczciwego Dickensa.

– „*Wielkie kłamstewka* to opowieść o byłych mężach i drugich żonach, matkach i córkach oraz burzach w szklance wody, a także niebezpiecznych kłamstwach, w których trwamy, by doczekać jutra. Żyjemy, żeby kłamać, czy kłamiemy, żeby żyć? Oto jest pytanie. Czy musimy kłamać? Czy ty zawsze mówisz prawdę? Czy prawda nas wyzwoli?” – przeczytała opis z okładki. – Cóż, szykuje nam się ciekawy okres przedświąteczny – skwitowała.

– Ja jestem bardzo ciekawa tej książki. – Iwona się zaróżowiła. – Jest taka... życiowa.

– Zależy, jakie kto ma życie. – Dorota kartkowała tekst.

– No, ja... przecież to nie... – Iwona się zacukała.

– Zaczęłam czytać. To wcale nie jest głupie powieściśdło – wtrąciła się Justyna.

– Nie jest – poparł ją Sławek. – Nie czytałem nigdy czegoś takiego, no i to jest napisane przez kobietę i dla kobiet, ale mnie wciągnęło, bo jest z takim humorem.

– I ironią. – Marta zaczęła nerwowo splatać dłonie za plecami. Wpół do siódmej, naprawdę musi się już zbierać.

– O, mógłbyś żonie polecić – ożywiła się Justyna. – Oczywiście jak już pani Dorota przeczyta. Myślę, że...

„Właśnie dziś musieli się tak rozgadać”. Marta gorączkowo myślała, jak się zgrabnie pożegnać.

– Tak, no tak. – Sławek się podniósł, nie czekając na dalszą część wypowiedzi Justyny. – Przepraszam, ale ja też dziś muszę wcześniej wyjść, zapomniałem. Do zobaczenia za tydzień.

Marta trochę się zdziwiła, bo Sławek nigdy się nie spieszył, ale górę wzięło zadowolenie, że spotkanie powoli zaczyna dobiegać końca. „Powoli” jednak nie wystarczało, więc powiedziała:

– Ja też mam plany na wieczór, o czym was już informowałam, więc dziękuję za dzisiejsze spotkanie i do zobaczenia za tydzień,

chyba że ktoś wpadnie wcześniej po książki.

Zgarnęła swój egzemplarz Barnes'a, zamieniła dwa słowa z Piotrem, drugim bibliotekarzem, a potem podeszła do wieszaka, skąd zdjęła swój płaszcz. Niepiesznie go włożyła, omotała szyję szalikiem. Przerzuciła torbę przez ramię, obróciła się w stronę grupy, uśmiechnęła i podeszła do drzwi.

Dopiero gdy się za nią zamknęły, Marta nabrała nagłego przyspieszenia. Przeskoczyła po dwa stopnie, dopadła do drzwi wyjściowych z klatki i wybiegła na chodnik.

Wiało, chyba nawet padało, a może tylko mżyło, zresztą – nieważne. Żaden sprinter nie zwraca uwagi na warunki – liczy się tylko czas. Udało się – dobiegła do autobusu w ostatniej chwili.

Spojrzała na zegarek. Do godziny zero, czyli siódmej, był jeszcze kwadrans. Jazda trwa trzynaście minut, cztery na dojście, wszystko sprawdziła w mapach. Prawie, prawie idealnie.

„Prawie robi różnicę”, przypomniał się jej slogan.

Zignorowała go.



Szczęśliwa Krowa okazała się bardzo miłym miejscem, takim, jak Marta lubiła. Bezpretensjonalny, prosty wystrój: białe ściany, drewniane stoliki, różnokolorowe krzesła i mnóstwo zieleni. Kwiaty stały w dużych donicach pod ścianami, na szerokim, niskim parapecie i zwieszały się z sufitu. „Jak na łące”, pomyślała. „Każda krowa byłaby tu szczęśliwa, tyle zieleni”.

Zielono było też w karcie – od rzeżuchy po szczaw. Zakąski, zupy, drugie dania, a nawet desery – wszystko było wegetariańskie lub wegańskie.

Byłoby naprawdę świetnie, gdyby nie fakt, że Marta siedziała przy stoliku sama.

Nie umówili się w żaden konkretny sposób, ale wcześniej nie zawracała sobie tym głowy. Wyobraziła sobie, że wchodzi, wypatruje

go, chociaż nie – on się zjawi wcześniej, bo jest czujny i stęskniony – skupia wzrok na drzwiach i gdy tylko ona pojawia się w progu, on się podrywa, podchodzi i...

Nic takiego się nie wydarzyło. Zatrzymała się za drzwiami i rozejrzała po sali. Była duża, ale jedna. Tylko trzy stoliki były zajęte przez pojedyncze osoby, z czego dwie to były dziewczyny. Trzeci – chłopak. Spojrzał na nią (nawet miły miał wzrok), ale potem szybko wrócił do czytania.

Nikt nie wybiegł jej naprzeciw, nikt z wchodzących później osób nie podszedł do jej stolika.

Hugh Grant nawalił.

Było jej smutno i głupio. Głupio przed samą sobą, że tak się przed tym spotkaniem denerwowała, że wciąż patrzyła na zegarek, że wykonała sprint do autobusu.

I co?

I nico.

Zamówiła jedzenie i usiadła przy stoliku. Jedyne plus było takie, że się nie zwierzyła klubowiczom. Nawet gdyby powiedziała, że ma spotkanie, to i tak wszyscy by sobie od razu dopowiedzieli, że z chłopakiem. Ludzie zawsze sobie dopowiadają najprostsze, najbardziej stereotypowe rzeczy, no ale tu by się akurat nie pomylili. I potem, za tydzień lub później, ktoś by ją, w dobrej wierze, zagadnął, jak tam, co tam. I byłoby jej podwójnie głupio.

– Tofukrowa! – Dziewczyna za ladą rozejrzała się po sali.

Marta otrząsnęła się z tych ponurych myśli. Trudno, porażka, nie pierwsza i nie ostatnia. Bardziej bolesna, bo wszystko jej mówiło, że tym razem to będzie właśnie on, ale się pomyliła. Skoro jednak już tu przyszła, weszła i zajęła stolik, to nie pozwoli na kolejną fuszerkę. Na pewno wszyscy by na nią patrzyli – posiedziała, nic nie zamówiła, nic nie zjadła, wyszła. I tak miała wrażenie, że ma na czole napisane, że ją facet wystawił.

Podniosła się, żeby odebrać zamówionego burgera. I wtedy zauważyła, że chłopak ze stolika obok ją ubiegł. Stał już przy blacie i wyciągał ręce po jej zamówienie.

– Przepraszam, ale to chyba mój, bo ja byłem pierwszy – wyjaśnił, gdy napotkał jej wzrok.

– Tak, tak – potwierdziła. Widziała go przecież. Z bliska wydał się jej jeszcze miłszy. Był bardzo szczupły, miał ładną, trochę dziecięcą twarz. I też wydawał się smutny. I trochę rozkojarzony.

– Druga tofukrowa. – Rozległo się za ich plecami.

Marta obróciła się i podeszła do lady. Wzięła tacę z burgerem i sztuczkami oraz pustą szklanką.

– W rogu sali jest kranówka. – Uśmiechnęła się dziewczyna. – A tu – brodą wskazała parapet – zioła.

„Pełna ekologia”, pomyślała Marta. Urwała sobie trochę mięty i wrzuciła do szklanki. „Szkoda, że nie mają melisy”, pomyślała. Postawiła tacę na swoim stoliku, zabrała kubek i napełniła go wodą. Gdy wracała, zobaczyła, że chłopak znowu czyta książkę. Rozczuliło ją to.

Szkoda, że ona niczego nie zabrała ze sobą, no ale nie taki był plan. Trudno, poczyta sobie w telefonie ostatni „Magazyn Książki”, zawsze dobrze trzymać rękę na pulsie.

Sięgnęła do swojej przepastnej torby. A jednak miała książkę. W tym ferworze zamiast odłożyć ją na swoje biurko, wrzuciła ją do worka.

Spojrzała na okładkę. Była filmowa, nic dziwnego, że Dorota się wzdrygnęła. Marta też nie lubiła książek oprawionych w serialową czy kinową wersję. Adaptacji nie widziała, książkę oczywiście czytała, dwa albo trzy lata temu. Podobała się jej; nie żeby jakaś wielka literatura, ale czy zawsze trzeba robić rzeczy wielkie? Mniejsze, a nawet całkiem drobne też są okej. Przypomni sobie fabułę, jedząc bułkę z ziarnami, tofu i gigantyczną ilością sałaty.

Wielkie kłamstewka. Kiedy czytała je po raz pierwszy, była przekonana, że wie, jakie jest zakończenie. A potem – bum. Jak w życiu. Jak teraz.

I jak z tą cholerną sałatą w sosie koperkowym. Kawałek liścia, sownie okraszonego białym płynem, spadł jej na spódnicę. „Nie czyta się przy jedzeniu”, powtarzała jej mama. Nie czyta się

zwłaszcza wtedy, kiedy się je burgera tak dużego, że nawet najszcześliwsza krowa by nie dała rady wsunąć go do pyska.

Spojrzała na blat. Żadnych chusteczek. No tak, stoją na ladzie. Ale czy teraz zdjąć tę zieleninę ze spódnicy? Upaprze sobie rękę.

– Proszę. – Usłyszała z boku.

To był ten miły facet. Chłopak. A właściwie – chłopiec.

Przechylił się w jej stronę; w rękę trzymał serwetkę.

– Dziękuję – bąknęła. Nie lubiła, gdy ktoś był świadkiem jej wpadek. Kto by zresztą lubił?... – Upaćkałam się – dodała. Już kompletnie bez sensu, bo przecież było widać, a nie było się czym chwalić.

– Zejdzie. Ta serwetka jest cienka, dam pani drugą. Mam też mokre chusteczki, żeby przetrzeć.

Marta spojrzała na niego. Był naprawdę miły. I taki kulturalny. I na swój sposób ładny. Szkoda tylko, że zupełnie nie w jej typie. I kilka lat młodszy.

– Dziękuję. Jest pan...

– Jacek. – Wyciągnął do niej dłoń.

Marta w jednej trzymała już upaćkaną serwetkę, drugą zbierała resztki zieleniny ze spódnicy.

– No tak. – Zaśmiał się, cofając dłoń. – No to po prostu Jacek.

– Marta – odpowiedziała.

– A w domu możesz użyć mydła galasowego.

Ten bezpośredni zwrot tak naturalnie zabrzmiał w jego ustach, że aż się zdziwiła. Zdziwiła ją też nazwa.

– A co to jest mydło galasowe?

– To jest.. Nie wiem, czy mogę to głośno powiedzieć w takim miejscu... – Zastanowił się. – No dobra. – Nachylił się do niej. – Galas to wyciąg z woreczka żółciowego wołu.

Przez chwilę się zastanawiała, czy jej nie nabiera.

– Naprawdę. – Wyczuł jej wahanie.

– No to krowa by nie była szczęśliwa – odparła.

Roześmiał się. Uśmiech też miał ładny, a śmiech zaraźliwy. Mimo to był w nim jakiś smutek.

– A mogę się dosiąść? – zapytał.

– Jasne, zapraszam. – Przesunęła tacę.

Jacek przestawił swoje rzeczy na blat jej stolika, książkę schował do plecaka.

– A co czytałeś? – zainteresowała się.

– *Betonowy ogród*.

– To McEwana.

Znała tę książkę. Czytała ją wiele lat temu, na studiach. To była jednak z lektur, których się nie zapomina. Nawet teraz poczuła lekki dreszcz na przedramionach. Ian Makabra, takim przydomkiem nazwali autora krytycy. Kolejne książki były inne, ale ta... Mistrzostwo w zadawaniu bólu psychice czytelników. Duszna atmosfera, oblepiająca, niedopowiedzenia, kielkująca seksualność, śmierć. Znowu się wzdygnęła. Tyle lat, a ona wciąż pamiętała.

Wyraźnie się zdziwił.

– Czytałaś?

– Uhm. To, że siedzę z telefonem, nie znaczy, że nie czytam książek. Zresztą w nim też czytam. O książkach. Jestem bibliotekarką.

– Naprawdę? – zdziwił się jeszcze szczerzej, jak dziecko.

– Naprawdę. – Uśmiechnęła się.

– Lubię czytać. Czytanie jest jak... – Zawahał się.

– Drugie życie – dopowiedziała.

– Lepsze życie. – Popatrzył na nią.

Nigdy nie widziała, żeby ktoś miał tak szare oczy.

ROZDZIAŁ 12



Cicho zamknął drzwi, żeby jej nie obudzić.

Była siódma rano, a on nawet w tygodniu roboczym nie wstawał tak wcześnie.

Dzisiaj jednak było inaczej niż zawsze. To znaczy sobota nie była niezwykajna, pojawiała się przecież cyklicznie, za to Iga, o tej godzinie u niego – to się wydarzyło po raz pierwszy. Została na noc, co więcej – z walizką – bo pobyt miał trwać do poniedziałku rano.

Krzysztof był oszołomiony. Zarówno faktem, że jednak się do niego wprowadziła na weekend, jak i wielkością bagażu. Z taką walizką Kuba, Magda i ich dzieciaki latali na dwutygodniowe wakacje. Wiedział to, bo sam ich kiedyś odwoził na lotnisko.

Z drugiej jednak strony, Iga była absolutnie wyjątkowa, a tacy ludzie mają wyjątkowe potrzeby. Poza tym plan weekendu mieli napięty: obiad w Popularnej, teatr, w niedzielę Kampinos. Na ten ostatni punkt Iga zareagowała mniej entuzjastycznie, ale doszli do porozumienia. W łóżku.

– Pomóc panu w czymś? – zagadnęła go miło pracownica delikatesów. Była młoda i miała dziwne warkoczyki na głowie oraz trampki w różnych kolorach.

– Słucham?...

Zorientował, że stoi przed regałem z pieczywem, zresztą chyba od dłuższego już czasu. Miał tylko nadzieję, że po jego minie nie widać, jakie myśli, a właściwie: obrazy, go teraz zajmowały.

– Bardzo dobry jest chleb orkiszowy, żytni też polecam. Chyba że woli pan białe pieczywo, wtedy sugerowałabym bagietkę. Klienci mówią, że normalnie jak z Paryża. Na śniadanie dla dwojga idealna.

A może jednak widać?...

– Dziękuję. – Odchrząknął. – Wezmę bagietkę, skoro pani poleca.

W sumie to nie był przekonany, czy ona ma już skończone osiemnaście lat. Wyglądała tak, że mogłaby być jego córką. Tym razem emocje, które go ogarnęły, były innego rodzaju – nie erotyczne, a czułe. „Cztery dyszki”, pomyślał. „Czas na prawdziwe życie”.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Truskawki i szampana też mamy – powiedziała. – Miłego dnia.

I zniknęła między regałami.

Krzysiek najpierw lekko osłupiał – no bo naprawdę mogłaby być w wieku jego córki, a tak sobie zażartowała, a potem się zastanowił, czy wszystkie dzieci teraz wyrastają na takie nastolatki. On by sobie tak z mamą nie pożartował.

Mama. Znajome ukłucie wyrzutu sumienia.

To był kolejny weekend, kiedy Podlasie się go nie doczeka. Inne miał plany, ale kiedy Iga zaproponowała teatr, a w pakiecie dorzuciła wspólny nocleg...

Znowu się zamyślił i zamiast do lad chłodniczych doszedł do stojaków z napojami. Nawet tu, między sokami, kiwał się elektroniczny Mikołaj. „Coraz bliżej święta”, zanuciło mu się w głowie.

Wbrew pozorom i marketingowym chęciom nie był to do końca pogodny przekaz.

Spinał się przed świętami, czas oczekiwania nie przebiegał w specjalnie radosnej atmosferze. Dobrze, gdy udawało mu się zachować pogodę ducha. Potem, kiedy już siadał do stołu z mamą, bywało lepiej, ale i tak ten czas był naznaczony jakimś smutkiem. „Święta są jak soczewka – skupiają całe nasze życie”, powiedziała mu ostatnio Aśka, opowiadając o swoich przygotowaniach do świąt. Ona miała dwie siostry, jej mąż – brata i siostrę, i wszyscy razem

spędzali Boże Narodzenie u jej teściów na Mazurach. „Wesołe wakacje, tylko w zimie”, zaśmiała się. Aśka była pogodna, pogodna była jej duża rodzina, więc i takie mieli święta. Chcieli się spotkać, nie stresowali się, dobrze się ze sobą czuli.

Krzysiek westchnął. A potem wstąpiła w niego nagła nadzieja. Ułoży wreszcie to cholerne życie. Zostawi przeszłość, przestanie się zdręzczać. Z Iga u boku wszystko będzie inaczej.

Kupił truskawki i poszedł do domu.



- Ale fantastyczne śniadanie! – Iga się przeciągnęła.
- Zahaczające godzinowo o obiad. – Spojrzał na nią czule.
- Co najwyżej lunch. – Usiadła do stołu.
- To chyba jedyny moment, gdy się rozjeżdżamy. – Poglaskał ją delikatnie po nagim ramieniu. Wciąż była w koszuli nocnej. Bardzo ładnej i bardzo kusej. – Też lubię spać, ale jednak trochę krócej.
- Nie musisz tak dbać o brak worków pod oczami. – Założyła nogę na nogę, a jedwab podjechał wyżej. Krzysiek był już cholernie głodny, ale jedzenie wobec takich widoków schodziło na drugi plan.
- Zresztą nie śpię już od jakiegoś czasu. Kiedy ty się tak uwijałeś, rozmawiałam z rodzicami. Zaprosili nas na obiad.
- O, to miłe.
- „I stresujące”, przebiegło mu przez głowę.
- Bo oni są mili. Mam to po nich. – Uśmiechnęła się. – A mama świetnie gotuje. Cóż, tego akurat nie mam po niej, ale widzę, że przy tobie ta umiejętność nie będzie potrzebna. A poza tym jest tyle fajnych knajp... No ale jutro jemy w domu.
- Jutro? – Krzysiek się spał. – Jutro to...
- Jutro. A to jakiś problem? – Teraz Iga się lekko usztywniła.
- Nie, no skąd, tylko że to tak szybko. Bez uprzedzenia. Pierwsza wizyta u rodziców... rodziców mojej dziewczyny.

– Och, głuptasie! – Dawna Iga wróciła. – Ty się stresujesz? Nie ma potrzeby. To fajni ludzie, zobaczysz. Poza tym oni lubią spotkania, są towarzyscy. Mama się wyżywa, organizując domowe eventy. A tym razem będzie ważny gość. – Wstała z krzesła i podeszła do niego.

Rany, jak ona na niego działała!

– No tak, ale mieliśmy po śniadaniu pojechać do Kampinosu...

Właściwie sam nie rozumiał, dlaczego nie potrafił tak po prostu przejść nad tym zaproszeniem do porządku dziennego. Nieco się zestresował, ale to normalne, kiedy chce się dobrze wypaść. Trochę dlatego, że został zaskoczony. No i trochę z powodu mamy.

– No i pojedziemy. Lubisz busz i chaszczę, to sobie podreptamy wśród drzew i dzików, a potem wrócimy do cywilizacji, umyjemy rączki i buzie i pojedziemy do moich rodziców. Pasuje?

Usiadła mu na kolanach.

To mu na pewno pasowało.

Kiwnął głową.

Ta dziewczyna działała na niego w sposób niebywały. Nawet biochemia miałaby trudności z wyjaśnieniem tego fenomenu – wszelkie normy hormonów, neuroprzekaźników zostały przekroczone – ba, szybowały w niebo! Mimo tego upojnego stanu udało mu się zachować trzeźwość umysłu.

– To ja też mam propozycję. Za tydzień pojedziemy na obiad do mojej mamy, dobrze?

ROZDZIAŁ 13



Był zestresowany. Stał w progu i wyglądał tak, jakby się wahał, czy dołączyć, czy raczej dać nogę.

Marta widziała go zza swojego biurka. Właściwie to widziała przede wszystkim jego plecy, ale to na pewno był on. Eryk zjawił się w bibliotece na początku tygodnia. Wysoki, szczupły okularnik z grzywką. Miły chłopak, ale trochę przepłoszony. Zapytał o klub czytelniczy. Bardzo się ucieszyła, przecież nie co dzień przybywa nowych członków. Właściwie już od dłuższego czasu byli w stałym, niezbyt rozbudowanym składzie. Może z tej radości zareagowała zbyt impulsywnie. „Super, bardzo fajnie, a skąd pan wiedział?” „Eryk jestem”, zdążył wtrącić. „Spodoba ci się u nas, zaraz dam ci listę itede”. No może była ciut inwazyjna, ale naprawdę się ucieszyła. Coś się ostatnio udało.

To znaczy poprzednie nowe znajomości też się udały, ale nie tak, jak sobie o tym marzyła.

Wciąż miała nadzieję na ten telefon lub ten SMS.

A tymczasem...

Mirek do niej kilka razy napisał, miło, niezbyt angażująco, ot, taka życzliwość. Chyba rzeczywiście zrozumiał, że nie są sobie przeznaczeni, i chyba rzeczywiście potrzebował ciepłego międzyludzkiego kontaktu, a nie od razu nie wiadomo jakiej miłości.

Ona chciała miłości i wiedziała jakiej.

Odruchowo spojrzała na telefon.

Nic, nawet mama się dziś po południu do niej nie odezwała.

Jacek. Ten dziwny, smutno-uprzejmo-czytający chłopak ze Szczęśliwej Krowy. Byli tego wieczoru jak dwa rozbitki, wyrzucone na brzeg przez nieprzychylnie morze. Do obojga miał ktoś przy płynąć, ale jednak pożeglował w inną stronę. Mówiąc mniej poetycko: Jacka też dziewczyna wystawiła. Marta, żeby jakoś wygnać z niego smutek, który tak się w tych ładnych szarych oczach przebijał, przyznała się („przyznała”, jak do przestępstwa, takie potem miała spostrzeżenie, gdy wracała w myślach do tej rozmowy), że przyszła na spotkanie z kimś, ale ten ktoś się nie zjawił. „Mój ktoś też się nie zjawił”, powiedział Jacek. A potem rozmawiali dobrą godzinę, przede wszystkim o książkach. Na koniec Marta go zapytała, czy by nie chciał dołączyć do ich klubu. Ucieszył się, chyba, w każdym razie się uśmiechnął, wziął adres i powiedział, że przyjdzie. Od razu zaznaczył, że w najbliższy piątek nie będzie mógł, ale w kolejny się zjawi.

A potem przyszedł ten Eryk.

Normalnie cud, przedświąteczny, czytelniczy cud. Bibliotekarskie serce Marty biło radośnie. Polacy tak mało czytają, dla połowy z nich jedna książka w roku to już wyzwanie, a u nich jest ponad pięćdziesiąt lektur w dwanaście miesięcy, a do tego dwóch nowych członków. Taki wzrost!

Znowu spojrzała na lekko zgarbione plecy. „Jakby się chciał wydać mniejszy”, rozczuliła się i zrobiło się jej go żal. Jasne, klub czytelniczy to bardzo przyjazne miejsce, ale kiedy ktoś jest nowy w grupie, to zawsze się trochę denerwuje. Albo bardziej niż trochę. Wychyliła się i rozejrzała po salce. Kamila stuknęła paznokciem po tablecie, Iwona stała w kącie i coś szeptała do telefonu, zdaje się, że rozmawiała z mężem na temat dzieci, Dorota przeglądała jakąś książkę, Sławek poszedł do łazienki, Justyny, zwyczajowo, jeszcze nie było.

No tak, nikt nie witał Eryka z otwartymi ramionami, zresztą nie uprzedziła ich, że dołączy nowa osoba. Nie chciała zapeszać.

– Cieszę się, że jesteś. – Podeszła do niego.

Aż podskoczył.

– Cz-cześć! – odpowiedział z zająknięciem.

– Przepraszam, że tak z zaskoczenia, ale tu mam biurko – pokazała ręką w głąb pomieszczenia – a ty stałeś odwrócony plecami i...

– Już wchodzę. Tak się po prostu przyglądałem – bąknął zmieszany.

– A my już zaczynamy. Grupa jeszcze w rozsypce, ale już ich zbieram. – Marta energicznie przeszła przez próg. – Dzień dobry! – powiedziała. – Dzień dobry! – powtórzyła głośniej.

Kamila odłożyła tabletki, Iwona już siedziała na swoim krześle, Dorota podniosła głowę znad powieści Moriarty, Sławek miło się uśmiechał.

– To jest nasz nowy klubowicz Eryk.

– Cześć! – wyrwała się Iwona.

Kamila kiwnęła głową.

– Dzień dobry! – przywitała się Dorota.

Sławek się podniósł i podszedł do Eryka. Podał mu dłoń.

– Bardzo się cieszę, do tej pory byłem samotnym rodzyńkiem w tej, że tak to nazwę, babce czytelniczej. Miło mi, panie Eryku.

– Mnie też. – Eryk odchrząknął. – Rzeczywiście, same panie. – Uśmiechnął się nieśmiało.

– No to przedstawię. To jest Iwona, obok Kamila, w fotelu pani Dorota, mnie już znasz, z panem Sławkiem przed chwilą podaliście sobie dłonie. Może nam się krótko przedstawić? – Marta pełniła honory pani domu.

– Więc nazy... To znaczy wiem, że nie powinno się zaczynać zdania od więc...

– Pilnuj się, pani Dorota jest polonistką. – Kamila była dziś w wyjątkowo pogodnym nastroju.

– Nie straszmy mną pana Eryka. – Dorota się uśmiechnęła. Też była w dobrym humorze. A myśl o tym, że będzie się nią – strażniczką wszelkiej językowej poprawności straszyć – chyba nie sprawiała jej zbyt przykrości.

– Mam na imię Eryk, z zawodu jestem informatykiem, zresztą z wykształcenia też. Mieszkam niedaleko, dwa przystanki stąd, ale raczej powinienem podać czas przejazdu na rowerze, bo ja głównie rowerem jeżdżę.

Marta pomyślała, że wygląda jak uczeń na apelu. Ewidentnie się przygotował do takiego wprowadzenia. Mówił płynnie, ale słyhać było, że się denerwuje.

– Często pracuję w domu, więc...

– Hej, dzień dobry, przepraszam, jak zawsze przepraszam! – Do pokoju wpadła Justyna.

– Cześć. O, a to jeszcze jedna nasza klubowiczka, Justyna.

– Pseudo „Spóźnialka”. – Roześmiała się Justyna.

– ... więc brakuje mi kontaktu z ludźmi – dokończył Eryk.

I też się uśmiechnął.



– Pasztet?

Nie dosłyszała, bo zatrzymała się blisko skrzyżowania. Zresztą nawet gdyby stała w spokojniejszym miejscu, słowo „pasztet” w konwersacji z Mirkiem wzbudzałoby niedowierzanie.

– Pasztet. I szarlotkę. Upiekłem.

Niedowierzanie nie zmalowało, a nawet się wzmocniło.

– I szarlotkę – powtórzyła.

– Z cynamonem. Lubisz cynamon? – zapytał z niepokojem, co już wychwyciła, bo zdążyła się cofnąć w głąb osiedla.

– Lubię.

„Dobrze, że nie pyta o pasztet”, pomyślała. Byłoby mu przykro, że nie jest mięsożerna.

– O, no to świetnie. Po prostu miałem teraz dwa dni wolnego, bo skończyliśmy duży projekt w Poznańskim, więc odpoczywałem, a odpoczywam w kuchni, gotując, i pomyślałem o tobie. Że masz dużo pracy, ciągle tylko książki i sprawy ducha, i pewnie zapominasz

o tym, żeby się zdrowo i smacznie odżywiać, a teraz jesień, sezon zachorowań. Moje wyroby są z produktów eko, z małą ilością tłuszczu, cukier jest brązowy i też nie za dużo.

– To miłe, że tak się o mnie troszczysz – powiedziała, a zaraz potem się zastanowiła, czy to aby nie zmyli Mirka co do jej deklaracji, że nie jest zainteresowana bliższą znajomością.

– Bo jesteś miła. To co, mógłbym ci podrzucić? Obiecuję tylko wypić herbatę i po półgodzinie już mnie nie będzie.

„Skoro tak”... Zrobiło się jej głupio, że on jest życzliwy, a ona z takim ociąganiem na tę życzliwość reaguje. Może w innym wypadku by lawirowała, żeby nie podawać adresu i nie zaprosić do domu, ale to przecież był Mirek. Miły, samotny wdowiec Mirek, żaden psychopata czy natręt. „Chyba”, szepnął jej zdrowy rozsądek. Zignorowała go.

– Tak, jasne. Właśnie wyszłam z biblioteki, będę w domu za... pół godziny. Masz gdzie zapisać adres?

I zadowolona z siebie – z tego, że jest taka dobra, fajna i niebojaźliwa, przypomniała sobie o czymś.

– Cholera jasna – zaklęła, wcale nie pod nosem.

Dziś był piątek. Dobry, przedweekendowy piątek, i co z tego, że zwykle samotny, skoro był dniem odpoczynku po tygodniu pracy, dniem tylko dla niej, wolnym i niezależnym.

Taki był prawie zawsze, ale nie dziś. Bo dziś u niej w mieszkaniu była mama. To znaczy w założeniu była w piwnicy, gdzie szukała maszynki do mięsa, bo jej własna odmówiła współpracy, a mama świetnie pamiętała, że babcia, do której należało i mieszkanie, i przynależna mu piwnica, miała maszynkę. Przedpotopową, przykręcaną do blatu, na korbkę, ale solidną. „Na pewno jeszcze działa”, stwierdziła. I koniecznie chciała ją na weekend, żeby coś mieć, zdaje się, że mięso, i też na pasztet.

„Pasztet to będzie, jak Mirek przyjdzie”, pomyślała. Matka była zaborcza, na pewno chciała spędzić z Martą część wieczoru, a tu obcy facet w domu. Kiedy tylko Mirek zamknie za sobą drzwi, matka na pewno ją wypyta, kto to, skąd i w ogóle po co. A kto wie, jak się

zachowa wcześniej? Może jego też będzie wypytywała? Nie szkodzi, że Marta nie ma co do Mirka poważnych planów – nikt, absolutnie nikt nie zasługiwał na to, by być maglowanym przez mamę.

W sumie nie tylko o siebie się Marta bała; Mirka także było jej żal. Człowiek był smutny, wciąż, pokiereszowany przez los i delikatny, mimo że inżynier. A mama akurat była dopasowana do swojego zawodu – twarda jak skała.

„Rany”, westchnęła Marta, tym razem w duchu.



– Strasznie masz tam brudno. – Mama stała w przedpokoju i otrzepywała spódnicę. Na podłodze pod lustrem leżała torba foliowa. Rzeczywiście zakurzona, bo widać było na niej ślady palców odcisniętych w szarawym nalocie.

– To jest piwnica, mamó – sapnęła Marta.

Dotarła do mieszkania w ekspresowym tempie dziewięciu minut. Owszem, biblioteka była blisko, to znaczy na tym samym osiedlu, ale zwykle spacer zajmował jej właśnie kwadrans. Dla bezpieczeństwa i oddechu dodała, rozmawiając z Mirkiem, kolejne piętnaście minut, normalnie jakby coś przeczuwała. Dziś dotruchtała do domu. „Im szybciej będę, tym szybciej pogadam z mamą, wypiję herbatę i może uda się ją pożegnać przed przyjściem Mirka”, myślała, czując, jak wali jej serce. Druga myśl była taka, że nienachalny sport daje jednak nienachalne wyniki kondycyjne.

Niezbyt wierzyła w pomyślny obrót spraw, ale przecież nie mogła nie spróbować.

– No i co z tego? Jest zakaz sprzątanía piwnic? – Mama obróciła się w jej stronę od lustra. – A ty znowu taka czerwona. Może jednak sprawdź te hormony, co?

– Nic mi nie jest. Szybko szłam. – Marta odwiesiła płaszcz na wieszak. – Chcesz herbaty?

Mama przyglądała się jej badawczo.

– A dlaczego szłaś szybko?

– Nie cieszysz się? – Jednak czegoś się Marta nauczyła od mamy przez te wszystkie lata. Na przykład odpowiadania pytaniem na pytanie.

– No oczywiście, że się cieszę, co za nedorzeczne pytanie. Po prostu wydajesz się trochę nieswoja. – Mama przyglądała się jej badawczo.

– E, nie. No to chodźmy, chętnie się rozgrzeję.

Marcie było gorąco, właściwie to się gotowała w środku. Wedle zegara w kuchni Mirek – jeśli był punktualny, a pewnie był, inżynier, to się jakoś wiąże – przyjdzie za dwadzieścia minut. Dziewiętnaście właściwie.

Wstawiła wodę, sięgnęła po puszkę z herbatą. Mama coś opowiadała, ale słuchała nieuważnie, wyłapując pojedyncze słowa. Nie potrafiła się skupić.

– W torbie mam paszteciki. – Mama tymczasem włożyła maszynkę do zlewu i szorowała ją gąbką z płynem do mycia naczyń.

„Paszteciki”. Marta nie była przesądna, nie wypatrywała znaków, ale te paszteciki...

– Nie krzyw się. – Mama, niby pochylona nad zlewem, a rejestrowała wszystko, jak kamera z obrotowym okiem. – Dla ciebie mam wegetariańskie. Z soczewicą. Albo z soją. A wiesz, że soja jest dobra na menopa... – Mama nie dokończyła, bo odezwał się dzwonek domofonu. – Kogo tam niesie?... Pewnie znowu ci roznosiciele ulotek z pizzerii albo ktoś w ten deseń. Nie lubię, ale to w końcu praca. Czekał – rzuciła do Marty, wycierając dłonie w ściereczkę. – Ja już wstępnie umyłam maszynkę, to zapytam, a ty czyń honory i rozpakuj paszteciki.

Marta mogła już tylko westchnąć.

– Halo? – Usłyszała, podchodząc bliżej drzwi do kuchni. Mama stała tyłem do niej, nie mogła jej widzieć. – Do Marty? – Po tym pytaniu było bardzo prawdopodobne, że się obróci, więc Marta się cofnęła w głąb pomieszczenia. – No tak, oczywiście.

A potem przycisk zabrzęczał.

Mama wróciła do kuchni.

– Ktoś do ciebie – powiedziała takim tonem, jakby obwieszczała Marcie, że pod blokiem wylądowało UFO. – Jakiś Mirostław.

– A, Mirek, no tak – odparła Marta lekko. – To znajomy.

– Ten, co wtedy się wybierałaś? Przecież mówiłaś, że jednak cię rzucił. – Mama świdrowała ją wzrokiem.

– Nie ten. Zresztą tamten mnie nie rzucił, to ja... Zresztą też nieważne. A Mirek nie jest moim znajomym. To znaczy jest, ale nie takim, jak myślisz. – Zupełnie się zaplątała. Zdenerwowana zmieniała się w małą, nieporadną Martusię.

– No ale to mogłaś mnie uprzedzić, że ktoś przyjdzie. Nie zawracałabym ci głowy...

„Akurat”, pomyślała Marta.

– ...i ubrała się stosowniej. A przede wszystkim bym się tak nie ubrudziła. – Mama znowu spojrzała na swoją spódnicę. – Ty zresztą też nie wyglądasz najlepiej.

Marta spojrzała w dół. Nie była brudna, skąd. Była za to niewystarczająco porządna. Mama obrała dobrze im obu znany kurs: musztrowania i krytykowania. Biedny Mirek.

Tym razem dzwonek rozległ się bliżej, przy drzwiach.

Marta poszła otworzyć.

Mirek stał na wycieraczce. W wyciągniętych rękach trzymał dwie torby, położone jedna na drugiej.

– Cześć. Na górze szarlotka, na dole pasztet.

– Cześć. – Delikatnie przejęła od niego prezent. – Wejdz, proszę.

Mirek zdjął kurtkę, zsunął buty i poszedł za nią do kuchni.

– Jabłka mam od znajomego sadownika spod Grójca. Są niewyględne, bardzo szara szara reneta, ale smakują... Dzień dobry.

– Zatrzymał się, kiedy zobaczył Teresę Miłkowską.

– Dzień dobry.

Marta nie potrafiła rozszyfrować tego tonu ani miny matki. Oba te elementy były zaskakująco... pozytywne.

– Mamo, pozwól, że ci przedstawię – to Mirek. Mój znajomy. – Gdyby ktoś kiedyś robił nagrania dokumentujące stopień

zaangażowania rozmówcy w wypowiedane słowo, to ów „znajomy” byłby wzorem neutralności. Marta chciała, żeby było absolutnie jasne, że nic głębszego jej z Mirkiem nie łączy, co im obojgu miało zapewnić spokój i brak indagowania przez mamę.

– Znajomy. – Mama zaprezentowała uśmiech pod tytułem „nie ze mną te numery”. – Miło mi poznać, Teresa Miłkowska.

– Mirek Kowalczyk. – Inżynier podszedł do mamy i najpierw uścisnął jej dłoń, a potem pocałował ją w policzek.

Marta pomyślała, że Mirek jest mistrzem w zmniejszaniu dystansu. Jak na kogoś, kto tyle lat spędził w emocjonalnej izolacji, było to trochę dziwne, choć może było i tak, jak Mirek to podsumował – teraz „odrabiał stracony czas”.

Mama przez chwilę milczała, a potem miło zapytała:

– A skąd się państwo znacie? Martusia z głową w książkach, mało mówi o sobie...

„O nie, na pewno nie”, Marta poczuła, że znowu się robi czerwona. Mama nie puszczała steru.

– W Łazienkach się poznaliśmy, przypadkiem.

Wszystko to było prawdą. Prawie całą.

– Mirek to przemiły rozmówca, a do tego świetny kucharz. To znaczy tego drugiego jeszcze nie sprawdziłam, ale jak to wszystko pachnie! – Marta nachyliła się nad obiema brytfannami, które już zdążyła wyjąć z toreb. Chętnie by tak została, byle tylko nie musieć uczestniczyć w dalszej rozmowie. Nie potrafiła dokładnie przewidzieć, jak się teraz matka zachowa, ale znała ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest nieobliczalna.

– Paszтет? A jak pan robi, panie Mirku? – Mama zabrzmiała całkiem miło.

– Mirku. – On też. To znaczy w ogóle był miły, ale teraz jakby bardziej. – Cała tajemnica tkwi w rodzajach użytych mięs. No i w doprawieniu, bo...

– Woda się zagotowała, przygotuję herbatę. – Marta jednak się wyprostowała.

Jeśli oboje mają pójść po wypiciu herbaty, to trzeba im ją podać.

– Fantastycznie. Trochę zmarzłem. Trudno było zaparkować, a potem musiałem iść wolno, żeby nie przynieść Marcie, to znaczy wam, rozciapanych dań.

– Nie lubię, gdy jest zimno. I ta ponurość za oknem. Człowiekowi się ckni do lata, do słońca, zapachu łąki, beztroski – zaszcebiotała mama.

Marta miała wrażenie, że się przesłyszała. Mamie się ckni? I to do beztroski? Nie do wiary.

– To ja ukroję szarlotki, bo zapachowi trudno się oprzeć. – Mama sięgnęła do szafki po talerzyki deserowe. – Poza tym dobre wychowanie nakazuje spróbować. O, już, proszę. – Wyciągnęła rękę z solidną porcją ciasta w kierunku Mirka. Sobie nałożyła podobną. – To może zaproszę do salonu? Martusia zaraz do nas dołączy, z herbatą.

Mirek się uśmiechnął i kiwnął głową.

Marta odprowadziła ich osłupiałym wzrokiem.

Uprzejma, miła i – co najważniejsze, a zarazem najdziwniejsze – nienarzekająca mama.

„Albo to podstęp, żeby teraz, sam na sam, Mirka wypytać o naszą znajomość, albo cud”, pomyślała, zalewając wrzątkiem herbatę w dzbanku.

A potem zobaczyła, że jej talerzyk wciąż był pusty.

Westchnęła, ukroiła sobie kawałek ciasta, dołożyła talerzyk na tacę i poszła do pokoju.

ROZDZIAŁ 14



– No to *high life* – gwizdnął Kuba.

– Na to wygląda – przytaknął Krzysiek.

Siedzieli w kawiarni Biblioteki Uniwersyteckiej. Kuba przyjechał tu po Magdę, która zbierała materiały do jakiegoś artykułu. Potem mieli pójść na kolację, wykorzystując fakt, że rodzice Magdy obiecali się zająć dziećmi. Magda wysłała mężowi SMS-a, że trochę się jej przeciągnie, więc Kuba zapytał Krzyśka, czy by nie wpadł tu na szybką kawę, skoro nadarzyła się okazja, a on blisko mieszka.

Krzysiek wpadł, oczywiście. Przyjechał do domu przed siódmą, dzisiejszego wieczoru nie spędzał z Igą, bo miała jakieś sprawy rodzinne. Właśnie, rodzinne...

– Ale to chyba nie jest powód do zmartwienia, co, stary? – Kuba poklepał go po ramieniu. – Chyba że tak się krygujesz, ale to nie ty, nie? – Przyglądał mu się.

– Nie ja – zaprzeczył Krzysztof. – Znasz mnie przecież.

– No znam. To już ponad dwadzieścia lat. – Poznali się na studiach, a dokładniej w klubie studenckim. Farmacja i medycyna bawiły się razem. – No to serio: o co chodzi?

Krzysztof westchnął. O co chodzi? W sumie to trudno mu to było nazwać.

– Pamiętasz moje początki w Warszawie? – zapytał.

– Pamiętam. Akademik, słoiki z żurkiem i klopsami od mamy, a pod koniec miesiąca kajzerka i kefir, bo kasy brakowało.

– Tak było. – Kiwnął głową Krzysiek. – Ale ty robiłeś to dla towarzystwa, nie z musu.

Kuba, okulista, był synem chirurga. Chłopakiem z dobrego, dostatniego warszawskiego domu.

Przyjaciel przez chwilę milczał, a potem powiedział:

– Ale chyba nie dałem ci nigdy odczuć...

Nie dokończył, bo Krzysiek mu przerwał:

– No skąd, ja nie z wyrzutem to mówię, to takie wprowadzenie. Bo wiesz, jak było – podlaska bieda, w domu różnie... pod różnymi względami. – Kuba wiedział o ojcu, choć, mimo ich przyjaźni, Krzysiek potraktował temat dość skrótowo; rozmawiali o tym ze dwa razy, i już. – Chciałem mieć inne życie.

– I masz.

– I mam. – Pokiwał głową. – Nie chodziło mi o nie wiadomo jakie bogactwa, tylko o to, żeby mieć dobrą codzienność – mieszkanie w fajnym miejscu, niezły samochód, pieniądze na wakacje...

– Rzadko jeździsz – zauważył Kuba.

– Bo się nie składało w robocie, a poza tym się nie składało, jeśli chodzi o towarzystwo.

– Drugi motyw, zdaje się, nieaktualny?...

– Już nie. – Krzysiek się uśmiechnął, trochę do Kuby, a trochę do wspomnień ostatnich weekendowych nocy. – Dobra, ale do brzegu: chciałem mieć komfort finansowy i mam. Wydaje mi się nawet czasem, że zbyt ni.

– To znaczy? – Kuba przesunął kubek z kawą w stronę przyjaciela – Pij, bo to nie mrożona.

– To znaczy, że ostatnio miałem taką myśl, że jest granica dostatku, za którą zaczyna się – tylko się nie śmieć – zbytek.

– Nie śmieję się. Magda powiedziała, żebyśmy nie kupowali dzieciakom prezentu na mikołajki, bo raz, że mają ich masę, dwa, że dostaną kolejne od dziadków, a trzy – że to właśnie zbytek czy coś w ten deseń. Wiesz, że Magda miała trochę inne dzieciństwo.

No jasne, że wiedział. Magda pochodziła spod Lublina. Rodziców miała dobrych, wspierających, ale oprócz tego czworo rodzeństwa

i jeszcze mniej pieniędzy niż on.

– I co wymyśliła? – zapytał.

– Żeby dzieci adoptowały zwierzaka w zoo. Wybrały jeżozwierza i co miesiąc przelewam kasę na jego utrzymanie, a raz w miesiącu chodzimy patrzeć, jak się ma.

– Fajne. Nie wpadłbym na coś takiego. – Krzysiek się zdziwił.

– Fajne. Nie wpadłbyś, bo nie chodzisz do zoo, co?

– Nie chodzę. Nie pamiętam, kiedy byłem ostatni raz.

– Bo nie masz dzieci. Będziesz miał, to się zmieni. A może się zmieni, skoro... – Popatrzył na niego znacząco. – I może się wreszcie dowiem, co poszło nie tak na kolacji z przyszłymi teściami?

– Dowiesz się. – Krzysiek wziął pierwszy łyk kawy. Faktycznie, była już zimnawa. – Te dygresje były potrzebne jako wstęp do wyjaśnień.

– Nie wiem, czy się udało. Dalej mam nierozjaśniony mętlik. – Kuba wgrzył się teraz w drożdżówkę. – Smaki młodości. Lurowata kawa i słodka buła. Czuję się znowu jak na studiach.

– Widzisz, u rodziców Igi byś się tak nie poczuł. To już nie jest dostatek, to jest bogactwo. Wielki dom w Wilanowie, wielka działka, na podjeździe wypasione auta, oni oboje jak chodząca reklama najlepszych marek, a do tego, na tej prozanej kolacji, była obsługa, to znaczy jedzenie przyjechało z jakiejś knajpy, a w domu jest na stałe gosposia, ogrodnik, jakiś złota rączka, pani do sprzątania oddzielnie. Nawet dla niebiednego to jednak kosmos.

– A czym oni się zajmują tak w ogóle?

– Ojciec ma firmę budowlaną, która stawia połowę warszawskich osiedli. Matka natomiast sieć salonów kosmetycznych, ale nie takich, że fryzjer gdzieś w galerii handlowej czy stoisko z manikiurem, tylko ekskluzywne salony, gdzie masz wszystko, łącznie z chirurgią plastyczną. Zresztą sama jest świetną reklamą tych salonów.

– Kosmetyki czy chirurgii?

– Nie wiem, nie znam się, ty byś mógł raczej powiedzieć. W każdym razie wygląda rewelacyjnie.

– Iga podobno też, to może takie geny?...

– Może... Choć jest jakaś granica oszukiwania natury. Jeśli masz sześćdziesiąt lat i wyglądasz jak Cher, kiedy miała trzydzieści...

– Ona to się akurat przyznała do różnych zabiegów, na przykład do usuwania żeber.

– Żeber? – Krzysztof nie doniósł swojej drożdżówki do ust; zatrzymał rękę w połowie drogi.

– No. Mama kiedyś opowiadała nam przy obiedzie, a wiesz, że mama jest na bieżąco z wydarzeniami, wszelkimi. Ojciec stwierdził, kiedy mu podetknęła zdjęcia pod nos, że tak to wygląda, jakby sobie żebra usunęła. No ale to znowu dygresja, a Magda właśnie napisała, że zaraz kończy i za dziesięć minut będzie. – Spojrzał na wyświetlacz telefonu.

– Dobra. Więc chodzi o to, że oni, znaczy rodzice Igi, żyją w zbytku.

– Okej, ale to, samo w sobie, nie jest przestępstwem, o ile oczywiście pieniądze są uczciwie zarobione.

– Chyba są. Tylko że tam wszystkiego jest w nadmiarze, rozumiesz? Wszystko absolutnie tip-top. A ja ostatnio... – Zamyślił się. Przypomniało mu się przeglądanie historii i próśb na Siepomaga. I akcje charytatywne robione w firmie, na przykład ten szpital onkologiczny. I schronisko dla psów, i...

– Cholera! – syknął.

– Co? – Kuba aż się wzdrygnął.

– Nic, właśnie sobie przypomniałem o czymś, co mi znowu wypadło z głowy. Taka akcja charytatywna, firma robi. Znacząca firma robi duże, a małe to mój dział. Wybrałem bibliotekę i ciągle mi umyka, żeby to sfinalizować. Właśnie w tym rzecz – oni, rodzice Igi, nie wyglądają na filantropów.

– Nie muszą się chwalić.

– Nie muszą. Ale jej ojciec mnie wypytywał o firmę, potem generalnie o przemysł farmaceutyczny, później powiedział, że lepsze pieniądze są w sektorze *beauty*, a na koniec jej mama stwierdziła, że może też rozważyć podobną akcję, co LabMed, a ojciec skomentował, że to dobre wizerunkowo.

Kuba zamieszał łyżką cukier na dnie swojej kawy.

– No, może nie brzmi super, ale biznesy są prowadzone w różny sposób i ludzie mają różną wrażliwość. A jaka jest Iga?

Piękna, pociągająca, bystra, kobieta sukcesu – tyle to Kuba już wiedział. A więcej?...

– Cześć, chłopaki! – Magda machała do nich z daleka.

Podeszła do stolika, nachyliła się nad Krzyśkiem, pocałowała go w policzek, potem cmoknęła Kubę w usta i opadła na wolne krzesło.

– Jestem wykończona. I głodna. Umieram wprost z głodu. – Sięgnęła po niedojedzoną drożdżówkę męża. – Chociaż głupio tak mówić, bo zbierałam materiały o wielkim głodzie galicyjskim. Boże, naprawdę żyjemy w najlepszych z możliwych czasów.

– W sumie podobnie sobie z Krzychem rozmawialiśmy. – Kuba spojrzała na przyjaciela. – Zbieramy się, dobra? Bo nasza rezerwacja ma swój czas przydatności, a żona mi osłabła. No i nie wiadomo, ile dziadkowie wytrzymają z dziećmi. Dokończymy tę rozmowę następnym razem, okej?

Krzyśiek kiwnął głową.

Pożegnali się, a on patrzył, jak Kuba i Magda wychodzą z kawiarni, a potem idą szerokim korytarzem do windy.

Dokończył swoją bułkę; rzeczywiście, była słodka. I rzeczywiście przypominała studenckie czasy. Jaki on był wtedy zagubiony i niepewny, nie to co dziś.

Choć dziś też taki był.

ROZDZIAŁ 15



– O, grupa nam mężnieje – zauważyła Iwona. Szeptem, bo nowy klubowicz był już w sali, przeglądał książki na półce, ale jednak dość głośnym, skoro Marta usłyszała.

– „Mężnieje” to trochę na wyrost powiedziane. – Kamila przyglądała się młodemu mężczyźnie z zainteresowaniem, ale bez widocznego zachwytu. Była bardziej dyskretna, ale i jej wypowiedź doleciała do uszu założycielki Nibylandii.

Marta podeszła bliżej do obu dziewczyn.

– To Jacek, ten, o którym wam wspominałam. Że go poznałam... przypadkiem i zaprosiłam. – Też szepnęła, bo to jednak głupio tak o kimś za jego plecami mówić. Po cichu również głupio, ale przynajmniej dyskretnie.

– Przepadkiem zaprosiłaś? – Chyba jednak było zbyt dyskretnie, bo Iwona nie dosłyszała.

– Przepadkiem poznałam. Zaprosiłam nieprzypadkowo.

– Takie ruszenie przed świętami... I to sami mężczyźni. Ciekawe. – Kamila, wbrew temu, co powiedziała, nie wyglądała jednak na zainteresowaną osobami, które dołączyły do klubu czytelniczego. Wyciągnęła z torebki pilnik i zaczęła wygładzać nim paznokcie.

– Mają czas, jak to faceci – westchnęła Iwona. – Wiadomo, że trud przygotowań do świąt spada na kobiety.

– Właśnie. – Kamila schowała pilnik, ale wyjęła tablet. Zaczęła stukać paznokciami w ekran. – Salon firan napisał, że dadzą radę

przyjechać i upiąć zasłony dopiero dwudziestego drugiego grudnia. Dwa dni przed Wigilią! A jak nabrudzą?

– E, chyba nie. – Iwona przestała oglądać swoje paznokcie, z których najwyraźniej nie była zadowolona, bo splotła ręce na brzuchu. – No bo czym tu brudzić? Tyle to się ogarnie w try miga.

– Pani Janeczka ma napięty harmonogram w grudniu. Ściągać ją dodatkowo to nie kaszka z mleczkiem. – Kamila pokręciła głową.

– Pani Janeczka?... – Iwona początkowo nie zrozumiała, ale szybko się ogarnęła. – A, pani do sprzątaniania! Ale... – Znowu urwała.

„No”, pomyślała Marta, „też nie rozumiem”.

Lubiła Kamilę, ale żyły w różnych galaktykach, to znaczy Kamila w jednej, a oni, szaraczki, w drugiej. „Ciekawe, na jakiej żyje Jacek?”, przyszło jej do głowy. Spojrzała w głąb sali. Dorota i Sławek byli, nowy Eryk, który przestawał być nowy, skoro zjawił się Jacek i go zdetronizował, też był. I nawet była Justyna; jak tak dalej pójdzie, to pseudonim „Spóźnialska” stanie się nieaktualny. Komplet, mogą zaczynać.

– Dzień dobry, moi mili. – Marta stanęła na środku sali.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę.

– Dziś jesteśmy w większym składzie, bo dołączył do nas Jacek.

Teraz wszyscy spojrzeli na nowo przybyłego.

– Bardzo nam miło, że przyszedłeś, Jacku. – Marta przywitała go w imieniu grupy.

Przez salę przetoczył się zbiorowy pomruk indywidualnych powitań.

– Dzień dobry. – Jacek miał szare oczy, dobrze je zapamiętała ze Szczęśliwej Krowy, ale dziś w ogóle był spowity w szarości – miał szare spodnie i szarą koszulę.

„Mimo wszystko można nie mieć nic, szarą nitką łączyć szare dni”, przypomniało się Marcie. Bardzo to pasowało do tego chłopaka.

– No to siądźmy, Jacek się nam krótko przedstawi i możemy zacząć omawiać naszą dzisiejszą lekturę.

Iwona zwyczajowo zajęła miejsce obok Kamili, Sławek wybrał drugą stronę okrągłego stolika, już zajętego przez Dorotę, też

typowo, Eryk, nietypowo, bo przecież był nowy, usiadł w fotelu obok Justyny, a Jackowi zostało krzesło obok Marty.

– Mam na imię Jacek i bardzo lubię książki – powiedział i usiadł. – A! – Poderwał się. – Pracuję w urzędzie miasta, w referacie komunikacji. – I znowu usiadł.

– No i już trochę o tobie wiemy. Mnie zdążyłeś poznać, a pozostali klubowicze to Iwona, nauczycielka w przedszkolu, Kamila, na straży domowego ogniska, Justyna, ekonomistka, Eryk – informatyk, pani Dorota jest emerytowaną polonistką, a pan Sławek, też na emeryturze, prowadził szkółkę roślin.

– Po SGGW jestem. Wydział leśny, ale wolałem jednak miejskie klimaty. – Sławek się uśmiechnął.

– Znakomicie. A zatem – Marta rozejrzała się po sali – jak wrażenia po dzisiejszej lekturze? – Postukała palcem w egzemplarz *Maszyn takich jak ja* Iana McEwana.

– No, ja się naszykowałem na coś bardziej technicznego. – Sławek odezwał się pierwszy. – To znaczy okładka od razu sugerowała, że to będzie coś innego niż podręcznik do mechaniki...

– Okładkami to się nie należy sugerować, bywają zwodnicze – wtrąciła Justyna. – Myślisz, że dostajesz jedno, a w środku...

– To jak z push-upami. – Pokiwała głową Kamila.

– Z puszapami? – Nie zrozumiał Sławek.

– Z bielizną. Taką... uwydatniającą walory – wyjaśniła Kamila, jednak lekko zdziwiona indolencją kolegi.

– Walory, których nie ma. – Roześmiała się Iwona.

– Które nie są oczywiste – poprawiła ją Kamila.

– No dobrze, to branżę graficzną i gorseciarską już przerobiliśmy, a teraz wracamy do tematu. – Marta miała dziś dobry humor. Żadne przełomy w jej życiu nie zaszły, ale cieszył ją wzrost liczby członków ich klubu. I miłe zachowanie mamy w poprzedni piątek, kiedy nie narobiła jej wstydu przed Mirkiem. Już wcześniej, w weekend, kiedy to Marta u niej była, w mamie pojawiła się jakaś rysa dopuszczająca dobro, empatię i łagodność i, najwyraźniej, ta szczelina się powiększała. Skąd się wzięła? Tego Marta nie wiedziała, ale z całych

sił trzymała kciuki, by nie zniknęła. Mirek też się zachował super, niepotrzebnie się obawiała, że będzie natrętny. To znaczy w tym tygodniu wysłał jej kilka SMS-ów, ale one były przejawem przyjacielskiej troski, żadnego emablowania. To było naprawdę przyjemne, takie trochę... ojcowskie. Głupio jej się zrobiło, jak sobie o tym pomyślała po raz pierwszy, bo przecież ojciec był naprawdę okej, ale potem doszła do wniosku, że to taka tęsknota za tym, żeby rodzic, nawet gdy jest się dorosłym, wykazywał troskliwe zainteresowanie. Jej ojciec jednak musiał się na bieżąco troszczyć o Polę i Olka, więc siłą rzeczy dla trzydziestoletniej pierworodnej czasu było mniej. No nic, odbije sobie w święta; może w tym roku mama nie będzie jej wpędzała w tak ogromne poczucie winy, że jest u ojca, i Marta naprawdę się zrelaksuje u swojej drugiej rodziny?... Otrząsnęła się, gdy zobaczyła, że wszyscy się w nią wpatrują. – Do tematu – powtórzyła. – Jak wam się czytało McEwana?

– Dobrze, nawet bardzo dobrze. – Kamila założyła nogę na nogę. Marta pomyślała, że to nie fair, żeby mieć wszystko: takie nogi, takie włosy, taka figurę i taką kasę. – Dopóki akcja się nie skomplikowała.

Choć w sumie co, prócz pozorów, wiedziała o jej życiu prywatnym? Może w nim też się wszystko komplikuje, i gdy Kamila przekroczy próg swojego bajeranckiego mieszkania, sprawy nie wyglądają tak cudownie?...

– A masz na myśli które komplikacje? – zapytała Iwona. – Te z Adamem czy te z dziewczyną Charliego, kiedy się okazało, że ona jest oszustką?

– „Oszustką” to nie jest adekwatne słowo. – Dorota poprawiła swoją nienaganną fryzurę.

– No, Miranda skłamała. – Iwona próbowała się bronić.

– Tak już lepiej, choć bez kontekstu, który to „kłamstwo” – Dorota tak wypowiedziała ten wyraz, że słyhać było cudzysłów, w który został ujęty – wyjaśnia, to i tak nie oddaje w pełni prawdy.

– To w ogóle było dziwne. Dlaczego nie mogła od razu powiedzieć, jak było? Znaczący nie ona, tylko jej przyjaciółka? – Kamila włączyła się do dyskusji.

– Bo się wstydziła. Gwałt to okropna sprawa – powiedziała cicho Justyna. – Nie potrafiła tego wyjawic, nie potrafiła z tym żyć. Miranda ją pomściła. Psychologicznie to jest zrozumiałe.

– Ale prawnie, formalnie, to nie – stwierdziła Iwona.

– Nie wszystko da się formalnie przeprowadzić. – Te słowa w ustach Doroty jednak trochę Martę zdziwiły. – Kiedy włączą się emocje, a przecież się włączają, w końcu jesteśmy tylko ludźmi, to reguły przestają obowiązywać. Zresztą o tym właśnie jest ta powieść.

– Tak! – Ożywił się Sławek. – Ja miałem taką samą myśl. Już po lekturze, kiedy próbowałem sobie to poukładać w głowie, to naszała mnie taka refleksja, że to jest.. poczekajcie, przepraszam. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej karteczkę. – Zapisałem sobie, żeby mi nie umknęło, i dobrze, bo bym zapomniał. – Uśmiechnął się. – O tym, ile jest człowieczeństwa w maszynach i mechanizmów w ludziach.

– Bardzo trafne. – Dorota była pod wrażeniem.

Sławek puchł z dumy. Słowo uznania u surowej zazwyczaj polonistki to było coś.

– Ja też tak sobie pomyślałem, ale nie potrafiłem tak zgrabnie tego uchwycić. – Eryk wreszcie się odezwał. – Nie jestem humanistą.

– Ja także nie – odparł Sławek.

– Ale lubi pan rośliny, a to człowieka uwrażliwia – stwierdziła Iwona. – Widać to zresztą po panu, znaczy tę wrażliwość.

Sławek się zmieszał.

– Czy ja wiem?...

– Mnie ta książka się bardzo podobała – ciągnął Eryk. – Nie czytam bardzo dużo, to znaczy czytam – poprawił się – ale... Chodzi mi o to, że nie mam przygotowania, by fachowo rozmawiać o literaturze. Tę książkę jednak rozumiałem, tak dosłownie, ze wszystkimi fajnymi rozważaniami o tym, jakby wyglądała alternatywna rzeczywistość, a dodatkowo to ją czułem, te emocje zwłaszcza.

– Mnie bardzo poruszył wątek w sumie poboczny, to znaczy tego małego chłopca, którego rodzice nie chcą, a Miranda by chciała

adoptować. I który się w jej towarzystwie zmienia nie do poznania, a potem się okazuje, że z powodu kłamstwa ona jednak nie może go zabrać na zawsze i... To straszne, kiedy dzieci cierpią.

Marta pomyślała, że Iwona świetnie wybrała zawód.

– Mnie też to poruszyło – powiedział Eryk.

Marta zauważyła, że przez twarz Sławka przebiegł jakiś skurcz wzruszenia.

– No ale główny wątek to jednak ludzie i maszyny – stwierdziła Kamila. – I wydaje mi się, że autor chciał nam pokazać, że w Adamie, maszynie, jest więcej dobra i prawości niż w ludziach. On, twardy i doskonały technicznie, nie daje rady żyć z ludźmi.

– To nie jest takie jednoznaczne, bo autor... – zaczęła Dorota.

– McEwan jest mistrzem doprowadzania czytelnika do takiego stanu, że aż dygocze, tyle mu się myśli w głowie kłębi. – Jacek wreszcie się odezwał.

Dorota się wzdrygnęła. Nie przywykła do tego, żeby ktoś jej przerywał, ani do tego, by ktoś miał odmienne zdanie. Spojrzała karcąco na Jacka, ale on nie zauważył tego wzroku.

– To jest niesamowity autor – ciągnął podekscytowany. – W jego powieściach nie dzieje się nic spektakularnego, nic brutalnego czy nagle dramatycznego, ale emocje sięgają zenitu. On gra na każdej czulej strunie, wywołuje w czytelniku, we mnie, takie... takie... – Jacek się rozpędził i nagle zatrzymał. Spojrzał na nich, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to, co mówi, wypowiada na głos.

Wszyscy milczeli. Do tej pory ich rozmowy nie osiągały takiej temperatury.

Jacek też zdał sobie z tego sprawę.

– Przepraszam – powiedział. – Poniosło mnie.

– Nie, no to przecież nic złego. – Marta szybko zaprzeczyła. Miała wrażenie, że Jacek zrobił się teraz całkowicie szary. W tym chłopaku było coś naprawdę smutnego. Zresztą w Szczęśliwej Krowie też czytał McEwana, i to jego najokrutniejszą książkę. No i jeszcze dziewczyna go wystawiła, naprawdę niefajnie. – Literatura ma poruszać.

– To świadczy o wrażliwości – zgodziła się Dorota. Wyraz znieśmaczenia zniknął z jej twarzy.

– Mnie wszystko porusza. Literatura też – powiedział powoli Jacek.

– Ale bardziej życie. I dlatego uciekam od niego w czytanie, ale wybieram takie książki, że...

– Będziemy mieć i pogodniejsze, takie świąteczne, prawda, Marta?

– Widać było, że Iwone jest przykro i chciałyby przepchnąć rozmowę na inny tor.

– Tak. – Marta kiwnęła głową, ale bez przekonania. Smutek Jacka nie wydawał się łatwy do przegnania. Co go gryzło, bo przecież chyba nie ta niedoszła randka? W końcu ją również to spotkało i jakoś...

– Martę poznałem, kiedy czekałem na kogoś w małej, przytulnej knajpce – oznajmił Jacek.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na nią.

Marta poprawiła się na krześle. Też była szczera, ale chyba nie aż tak, jak Jacek czy McEwan. Wolałyby, żeby więcej szczegółów ze Szczęśliwej Krowy nie zostało ujawnionych na tej sali.

– To w ogóle była niezwykła sytuacja – ciągnął Jacek – dlatego o niej powiem. My się nie znamy dobrze, prawie wcale się nie znamy, ale w klubie czytelniczym chyba można liczyć na sympatię i zrozumienie?...

Nastąpiło zbiorowe kiwanie głowami.

Widać było, że słowa Jacka każdemu – poza Martą – sprawiły pewną przyjemność, a jednocześnie były zobowiązaniem do jeszcze pilniejszego słuchania: jeśli ktoś mi powierza swoje sekrety, to muszę w skupieniu go wysłuchać. Słuchali zatem. Marta nerwowo przełknęła ślinę.

– Trafiłem do tej knajpki przypadkiem.

– To tak jak Marta. – Iwona ucieszyła się, że już zna kawałek tej układanki.

Marta poczuła, że jej policzki robią się coraz cieplejsze. Jacek spojrzał na nią i lekko się uśmiechnął.

– Chyba nie tak samo, bo ja tam trafiłem z ogłoszenia – powiedział.

– Ale jak to? – zdumiał się Sławek.

Jacek westchnął.

– Bywam w okolicy biblioteki, bo z przystanku obok bazaru jeżdżę do domu, po pracy. I kiedyś, na tym przystanku, zobaczyłem kogoś...

„Jezus”, pomyślała Marta. „Nie, to nie może tak być. Chyba nie powie zaraz, że...”

– ...kto mi się bardzo spodobał. Ale nie zdążyłem nic zrobić, zabrakło mi odwagi.

Marcie zaczynało brakować tchu.

– Kilka dni potem na tym samym przystanku zobaczyłem ogłoszenie.

„Jezusss! Oddychaj, oddychaj”.

– I tam była opisana moja sytuacja, to znaczy nie moja, tylko ja byłem szukany, przez tę drugą osobę.

– Ale jak to, nie rozumiem? – Iwona wyraźnie się wciągnęła w opowieść, reszta grupy też wyczekująco patrzyła na Jacka.

„Na pewno nie ty”, pomyślała Marta. Jacek nie miał nic z Hugh Granta. Czują, że jej serce wali jak szalone. O co w tym wszystkim chodziło?

– W tym ogłoszeniu na tablicy było napisane, że ja też zostałem zauważony, tylko zabrakło nam odwagi, żeby coś zrobić, jakoś zareagować. Po prostu wsiadłem do autobusu i odjechałem.

– Ale to romantyczne. – Iwona się wzruszyła. – I co było dalej?

Wszyscy patrzyli na Jacka.

– Był podany telefon, więc wysłałem SMS, żebyśmy się spotkali. I przyszła odpowiedź, że tak, chętnie, oczywiście. „Będę, cieszę się, czekam”, tak było napisane.

– No to świetnie. Chyba? – Justyna poprawiła się na krześle.

Marta poczuła, że zaraz się udusi. To było jakieś szaleństwo, zupełnie nieprawdopodobna historia. To ona odpisała Jackowi, ale on nie czekał na nią, zresztą ona też nie do niego się tak spieszyła.

Jak mogło dojść do takiej pomyłki? Może jednak było inne ogłoszenie?...

– Prawie świetnie, bo jednak nie okazałem się przedświątecznym cudem, jak było w tym ogłoszeniu.

Już nie miała wątpliwości. Chodziło właśnie o to ogłoszenie, jej ogłoszenie, ona przecież tak napisała. Ale jak to możliwe, że...

– Ona nie przysłała? – Dorota spojrzała na niego ciepło. Iwona znowu miała ręce splecione na brzuchu, Justyna i Eryk siedzieli wychyleni, jakby nie chcieli uronić żadnego słowa, Sławek przybrał zatroskany wyraz twarzy, Kamila machinalnie obracała pierścionek na palcu. Marta miała w głowie galopadę myśli. Nie dość, że nie rozumiała, jak mogło dojść do takiej pomyłki, to jeszcze się bała, że po nitce dojdą do kłębka, czyli do niej, i dowiedzą się, że to ona w taki sposób szuka swojego Hugh.

Jacek podniósł głowę. Potem przejechał wzrokiem po ich twarzach, powoli, nie opuszczając żadnej pary oczu. I powiedział:

– On nie przyszedł. To było ogłoszenie napisane przez chłopaka.



...południowy piątek, właściwie już prawie wieczorny. Zresztą w listopadzie wszystkie popołudnia błyskawicznie się zmieniają w zbyt wczesne wieczory. Zatem: zbyt szybki, zbyt szary i zbyt zimny listopadowy piątek... i TY.

Chwila, mgnienie, błysk. A potem drzwi się zamknęły i autobus od...ał.

Moment, który znikn... A może moment, który odmieni nasze życia.

Jeśli wiesz, że TY to właśnie Ty, jeśli czuj... to samo i wierzysz w przedświąteczne cuda, zadzwoń: 475 1...0 13...

Marta stała przed tablicą ogłoszeń, którą skrętnie omijała od momentu, kiedy czterema srebrnymi pinezkami przyczepiła do niej

swoje ogłoszenie. Zrobiła to ukradkiem, oglądając się przez ramię, w późny, niedzielny wieczór.

Przez cały weekend, po tym piątku, kiedy zobaczyła tego faceta, tak intrygującego, ciekawego, przystojnego i podobnego do Hugh Granta, i który, jak się jej wydawało, odwzajemnił spojrzenie, chyba nawet się do niej uśmiechnął, choć im dłużej o tym myślała, tym mniej miała pewności, który szczegół wydarzył się naprawdę, a co sobie wymyśliła, zastanawiała się, co z tym zrobić. Początkowo wydawało jej się, że nic, no bo co by to miało być? Chodzenie na przystanek zawsze w piątki o tej samej porze? Wtedy była tam przypadkiem, poszła na zakupy, do domu wracała przecież na piechotę. Może on też tak miał? Mimo to kilka razy obserwowała wiatę przystankową z drugiej strony ulicy, chodząc wte i wewte wąskim chodnikiem. Nie było go, nie zjawił się. A jeśli nie był z Warszawy i nigdy więcej już się tu nie pojawi, i nie przeczyta jej ogłoszenia? Nie miała pojęcia, ale chciała wierzyć, że los (jeżeli nie rutyna czy obowiązki) go tu przygna, zwłaszcza jeśli on też o niej myślał.

Wzięła dużą kartkę, niebieski flamaster i, niesiona natchnieniem, napisała to, co właśnie przeczytała. A potem, także pospiesznie, jakby się bała, że może się rozmyślić, przyszła na ten przystanek i powiesiła swój apel-prośbę wśród tych wszystkich prozaicznych ogłoszeń. I szybko wróciła do domu, zaciskając kciuki w nadziei na spełnienie.

I co?

Nic, jak zawsze.

Spotkanie z facetem z siłowni, SMS z błędami, pewnie od jakiegoś rozbawionego nastolatka, głuchoe telefony, kilka sprośności, uroczy Mirek i tyle.

A teraz jeszcze to.

Znowu spojrzała na ogłoszenie.

Przeczytała je jeszcze raz.

Teraz to zobaczyła – było napisane w ten sposób, że każdy mógł się poczuć adresatem: i dziewczyna, i chłopak. I każdy mógł być

autorem: ona lub on. Jak mogła tego nie zauważyć?! I jeszcze ten rozmazany flamaster, listopad, wilgoć, tablica niby ma daszek i ranty z boku, ale przecież podmuchy wiatru docierają tu wraz z kropami deszczu. Początek rozmazany, autobus, który „od..dał”. To jeszcze pół biedy. Najgorsze były rozmycia przy numerze telefonu. Zero w środkowym numerze sphywało niebieską łezką, końcowa siódemka była jedynką.

„Co za porażka!”, pomyślała Marta.

Patrzyła na zawilgocony plakat. Szarpnęła za jeden róg, ale pinezka mocno go trzymała. Spróbowała podważyć ją paznokciem. Syknęła, gdy metal zbyt mocno wcisnął się w opuszek palca. Zauważyła, że coraz więcej osób z zainteresowaniem się jej przygląda. Pinezka przez chwilę jeszcze tkwiła w płycie pilśniowej, po czym spadła.

Ogłoszenie wciąż wisiało na tablicy.

„I tyle z tej gwiazdki z nieba”, pomyślała Marta, patrząc na toczącą się chodnikiem pinezkę, która po chwili zniknęła w kratce ściekowej.

ROZDZIAŁ 16



– Uhm – jęknął z rozkoszy.

Odchylił głowę, rękami oparł się o kafelki. Woda spływała mu między łopatkami, rozbryzgując się o dno brodzika. Kabina była zaparowana, otaczała go mleczna, gęsta i wilgotna ciepłość.

Lubił gorący prysznic po przyjściu z pracy. Czuł wtedy, że wszystko z siebie zmywa: zmęczenie, stres, kłopoty, napięcia.

Potem wkładał szlafrok i, zgodnie z potrzebą i nastrojem chwili, odpoczywał, czytając, oglądając czy słuchając muzyki, albo siadał do biurka, przed laptopem.

Dziś ten wachlarz możliwości poszerzył się o dodatkową, jakże ponętną propozycję, którą bez wahania wybrał – seks z Iga.

Znowu westchnął. Oczarowanie tą kobietą było niezmywalne, wręcz przeciwnie – posiadało go coraz intensywniej.

Wytarł się, wierzchem dłoni zebrał parę wodną z powierzchni lustra. Uśmiechnął się do swojego odbicia, a potem do swoich myśli. Wyglądał naprawdę nieźle, a to, co będą robili z Iga, wyglądało... uhm.

Sięgnął po szlafrok. Był gotowy na to, co miał przynieść ten wieczór.

– Małe bzykanko w weekend – gorące i niezobowiązujące?

Zdębiał. Nie miał nic przeciwko bzykanku z Iga, ale do tej pory używała innych określeń. Gorące, przez cały weekend – och, tak, no kto by odmówił, on na pewno nie. Ale bez zobowiązań?...

– Słucham? – zapytał więc, delikatnie przechylając głowę, by wypłukać resztkę wody z ucha. Może się przesłyszał?

– Małe bzykanko w weekend – gorące i niezobowiązujące? – powtórzyła Iga, wstając z kanapy. Wtedy zauważył, że trzyma w ręku telefon i wpatruje się w jego ekran.

– Ale co ty czy... – Nie dokończył, ponieważ, gdy był już całkiem blisko, zorientował się, że to jego telefon. Służbowy.

– „Co” też jest ciekawe, ale zdecydowanie bardziej interesujące jest to, w czyim telefonie takie gorące wiadomości.

Zdębiał. Właściwie nie potrafił powiedzieć, co go bardziej zdziwiło: czy to, że ktoś tak do niego napisał, a chyba napisał, przecież by go nie oszukiwała, czy to, że Iga wzięła bez pytania jego telefon.

Chyba jednak to drugie.

Wyciągnął rękę.

– Daj, proszę – powiedział spokojnie, choć czuł, że tętno mu wzrosło.

– Proszę – odparła, podając mu aparat tak, jakby ją poprosił o kromkę chleba przy stole. Żadnego słowa wyjaśnienia, dlaczego naruszyła jego prywatność. Jej mina świadczyła o tym, że to ona domaga się wyjaśnień.

– Iga – zaczął spokojnie – to mój telefon. Nawet nie tyle mój, ile służbowy. Dużo ważnych i poufnych informacji w nim mam.

– Twój – zgodziła się. – I ta wiadomość też jest do ciebie. Ciekawa, nie? I poufna.

Przejechał palcem po ekranie. Odczytał tekst SMS-a. Rzeczywiście, słowo w słowo, wszystko się zgadzało. Spojrzał na numer, nie znał go, jego telefon też nie identyfikował nadawcy. Zresztą która ze znajomych z firm farmaceutycznych, badawczych czy innych mogłaby tak do niego napisać? Żadna.

– Ciekawa, w pewien sposób. Nie mam pojęcia, od kogo to, na pewno pomyłka. Chciałem natomiast zapytać, dlaczego wzięłaś mój telefon. – Wrócił do tej kwestii.

Sam słyszał, jak zimno i obco, nie swoim głosem, zadał to pytanie.

Iga patrzyła na niego bez słowa. Stała przed nim w obcisłej spódnicy i zachęcająco rozpiętej koszuli. Nie widział w jej oczach zmieszania, raczej złość.

– Zostawiłeś telefon na kanapie. Służbowy, a leżał pod poduszką. Coś zawibrowało, podniosłam tę poduszkę, zobaczyłam aparat. Przyszedł SMS, wyświetlił się początek wiadomości. Jeśli ktoś pisze o bzykanku do twojego chłopaka, to chyba masz prawo wiedzieć, o co chodzi, prawda? – zapytała z przekąsem.

– Już ci powiedziałem, że nie wiem, kto to napisał. Gdybyś mnie zapytała, bez myszkowania w moim telefonie, powiedziałbym ci to samo.

– Bez myszkowania! – Iga parsknęła. – Może nie jestem doskonała, ale okoliczności mnie usprawiedliwiają. Słuchaj. – Stała teraz bardzo blisko niego. – To jednak ty powiesiłeś to ogłoszenie, co?

Teraz już zupełnie zgłupiał. Bzykanko, ogłoszenie, o co tu chodziło?

– Nie mam pojęcia, o jakim ogłoszeniu mówisz. – Bezradnie rozłożył ręce. Pytała serio czy chciała odwrócić jego uwagę od niewygodnego tematu naruszenia prywatności?

– A dlaczego przyszedłeś wtedy do Popularnej? – zapytała, świdrując go wzrokiem.

Zaczerwienił się. Nawet jeśli ten rumieniec zmieszał się z rozgrzaniem po kąpieli, to i tak go czuł. Wcześniej nie poruszali tego tematu. On – z oczywistego powodu, ona... Trochę go interesowało, z kim była wtedy umówiona, ale jakie znaczenie miała przeszłość, jeśli Iga wybrała jego?

– Po prostu. Wiesz, że lubię tę knajpę. Kuba odwołał spotkanie, miałem wolne popołudnie, to poszedłem w miejsce, które znam i w którym dobrze karmią.

– I przypadkiem trafiłeś na mnie? – Uśmiechała się do niego niewinnie, ale było jasne, że go przejrzała.

– No dobrze. – Wyprostował się. – Nie byłem tam przypadkiem. Nie fair było udawanie, że przysiadam się do ciebie, nic o tobie nie

wiedząc. Ale zaiskrzyło, zresztą nie tylko mnie to spotkanie zważyło z nóg, przecież potem pojechaliśmy do ciebie i to ty odesłałaś taksówkę, więc...

– A! – Zaśmiała się. – I teraz wychodzi na to, że ja jestem rozwiązła, puszczańska, wrywam facetów na pęczki, manipuluję. Ale – stuknęła go twardym, ostrym paznokciem w tors, tak że poczuł to ukłucie przez miękki materiał szlafroka – to nie ja rozwiesiłam ogłoszenia. I to nie do mnie piszą kobiety spragnione gorącego bzykanka. Dużo masz takich ofert? Korzystasz?

– Co? – Krzysiek już całkiem zgłupiał. – O czym ty mówisz?

I w tym samym momencie przypomniał sobie te dziwne SMS-y, które do niego przychodziły, a które brał za pomyłkę lub nietrafioną ofertę pornobiznesu albo jakąś oślizgłą próbę wyłudzenia kasy.

– Słuchaj, Iga. – Patrzył jej w oczy. – Nie wiem nic o żadnym ogłoszeniu, naprawdę. Natomiast faktycznie, dostałem kilka dziwnych SMS-ów, takich jak ten, to znaczy podobnych. Oferta seksu, mniej lub bardziej zakamuflowana. Skasowałem i tyle, po sprawie, zapomniałem. Ale ogłoszenie? Naprawdę nie mam nic wspólnego z jakimkolwiek ogłoszeniem.

– Nie? – Iga podeszła do stołu, gdzie leżała jej torebka. – Ale ode mnie też dostałeś SMS, prawda? – zapytała, odwrócona do niego plecami.

– Od ciebie? – zdziwił się.

– Pytam o ten, po którym przyszedłeś do Popularnej. – Teraz stanęła przodem do niego.

Krzysiek kiwnął głową.

– Dostałem twój SMS, że ty tam będziesz. Zaintrygował mnie, przyznaję. Odpisałem, mimo że to nie było do mnie. I to było nie fair.

– Wysłałam go w odpowiedzi na to ogłoszenie. – Kciukiem i placem wskazującym przejechała po ekranie swojego telefonu, po czym podsunęła mu pod nos powiększony obraz. Zobaczył białą kartkę z jakimś tekstem. Zaczął czytać. „...Popołudniowy piątek, właściwie już prawie wieczorny. Zresztą w listopadzie wszystkie popołudnia błyskawicznie się zmieniają w zbyt wczesne wieczory.

Zatem: zbyt szybki, zbyt szary i zbyt zimny listopadowy piątek... i TY”.

– Ale co to ma wspólnego ze mną? – zapytał. Ogłoszenie było nawet fajne. Tak, fajne i... wzruszające.

– A bywasz czasem w tym centrum handlowym na Sadybie, gdzie obok są budy?

– Bazar?

– Bazar, budy, wszystko jedno. Tak, o tym miejscu mówię.

– Rzadko. Kiedyś, u szewca, właśnie na targowisku.

– Na targowisku u szewca? – zdziwiła się. – Zresztą nieważne. No, czyli mogłeś powiesić to ogłoszenie. Tam obok stoi taka duża, brzydka tablica, obwieszona równie brzydkimi ulotkami i jakimiś nagryzmołonymi odręcznie ogłoszeniami.

– Teoretycznie mogłem, ale nie powiesiłem. Zresztą skąd pomysł, że to ja?

– Bo na dole jest twój numer telefonu – odparła.

Znowu spojrzał na zdjęcie.

– Nie widać, jest ucięty.

– A, no tak, za szybko pstryknęłam. Ale musiał być twój, bo go wpisałam do komórki, wysłałam SMS, a ty się zjawiłeś. Bardzo mnie to potem frapowało, ale wiadomości się nie przeniosły do nowego smartfona, a ja nie mam pamięci do numerków. Nie do takich. – Uśmiechnęła się znowu, tym razem zalotnie.

– Iga, ja nic z tego nie rozumiem, naprawdę. To nie moje ogłoszenie. Numer musiał być mój, ale to jakaś pomyłka. Zresztą to jest telefon służbowy, przecież wiesz. Czy obwieszałbym miasto plakatami ze służbowym numerem, żeby się z kimś umówić?... – Rozłożył bezradnie ręce. – A ty – nagle zbystrzał – dlaczego napisałaś?

– Och. – Roześmiała się perliście. – Czysty przypadek. Mama prosiła, żeby jej odebrać płaszcz z pralni. Miała usługę z dowozem, ale teraz wszystko schodzi na psy... No nic, więc nie odwieźli, ja pojechałam. Parking był zapchany, sobota, popołudnie, wszyscy idą wydać te uciutane pieniądze, napchać się fastfoodowym żarciem

itede, itepe. Wkurzyłam się, zaparkowałam na chodniku, przy tym bazarku. Idę, patrzę, jak szaro, brudno, brzydko i nagle coś takiego. Trochę infantylne, trochę wzruszające. Wbiłam numer w komórkę, pstryknęłam zdjęcie, a potem napisałam SMS. W sumie dla zabawy, może z nudów, a może z ciekawości. Szłam bez większych nadziei do Popularnej, i tak nie miałam planów na wieczór. Stolik był pusty, nikt się nie zjawiał. Ale byłeś ty, przy barze. Patrzyłeś na mnie, widziałam to. Ludziom się wydaje, że nie widać, kiedy się komuś ukradkowo przyglądają. Otóż widać. Przysiadłeś się, zaczęliśmy rozmawiać, super się wieczór potoczył. Ty nic nie powiedziałeś o SMS-ie, ja też. Nie wiedziałam, czy ty to ty, czy nie, zresztą – kogo to obchodzi? A potem mi dałeś swój numer prywatny, zupełnie inny, więc już całkiem zapomniałam o sprawie.

Krzysiek poczuł, że rozbolała go głowa. Mniej więcej ułożył sobie w głowie tę dziwną historię: ktoś wiesza ogłoszenie na tablicy, może dla zabawy, a może na serio. Jeśli dla zabawy, w końcu ludzie są różni, to podaje zmyślony numer telefonu, i pada akurat na niego. A może to miał być żart właśnie z niego? Nagle oblał go zimny pot. Czy zrobił kiedyś komuś coś tak nefajnego, żeby chcieć z niego w ten sposób żartować? Nie, chyba nie. Miał, jak każdy, jakieś brzydkie zachowania na sumieniu, na przykład to z Jolą, kiedy się ociągał, żeby jej powiedzieć, że nic z tego, czyli z nich, nie będzie, a już się spotykał z Olą, ale to było kilka lat temu, przecież by tyle nie zwlekała z zemstą. Zresztą widział jej zdjęcia na Facebooku, wyszła za męża. Nie, to nie ten trop. Jeżeli jednak było na serio, to dlaczego ktoś podał numer jego służbowego telefonu? Pomylił się? No nie, mało prawdopodobne. Iga się pomyliła? Też mało prawdopodobne. Musi po prostu iść i zobaczyć to ogłoszenie, inaczej to mu nie da spokoju.

– Co za historia – westchnęła teatralnie Iga. – No nic, mam nadzieję, że tamten Kopciuszek też znajdzie sobie swojego księcia. I ułoży im się równie dobrze jak nam.

Podeszła do niego i delikatnie chwyciła za sznurek szlafroka. Pociągnęła go, poły się rozchyliły. Wsunęła dłoń pod materiał,

przejechała delikatnie opuszkami palców wzdłuż jego boku, na wysokości ostatnich żeber robiąc skręt do środka, a potem prosto w dół.

– Uhm – westchnął po raz kolejny tego popołudnia.

ROZDZIAŁ 17



„Na spacer”, tak powiedział Aśce, kiedy wychodził z biura.

No bo co miał powiedzieć? Że idzie szukać ogłoszenia na tablicy przy bazarku, które dla jego dziewczyny było żartem, dla niego przypadkowym prezentem, bo dzięki niemu poznał Igę, a dla kogoś, kto je pisał – chyba – szansą na „przedświąteczny cud”?

Zresztą może Aśka wcale by nie zwróciła uwagi na to, co do niej mówi, tak była teraz zabiegana. Zaraz ich impreza świąteczna, chwilę potem będzie się spotykał menadżment, a przed kilkoma dniami dzieci miały swoje święto; wszystko na głowie i barkach Aśki. Do tego, jak zawsze, huk codziennej roboty i, jak to pod koniec roku, zamykanie projektów i badań.

Szedł żwawym krokiem.

To była jego trzecia wycieczka tą trasą w ciągu ostatnich tygodni.

Ciekawe; w LabMedzie pracował od jedenastu lat, od dziewięciu mieli biurowiec w tym miejscu. Przez osiem i pół roku poznawał okolicę tylko z okna swojego samochodu. Nigdy nie wszedł w żadną z osiedlowych uliczek. Gdyby go ktoś tu wywiózł z zasłoniętymi oczami i wystawił na chodnik, nie wiedziałby, gdzie się znajduje.

Pierwszy raz zapuścił się w tę okolicę, gdy szukał szewca. Wpisał w Google’a adres zakładu szewskiego i wyskoczyło mu to miejsce. Komentarze były fantastyczne, więc się zdecydował. Jego samochód pojechał rano do serwisu, miał być podstawiony pod firmę dopiero późnym popołudniem. Chciał zamówić taksówkę, ale kiedy aplikacja pokazała mu, że odległość wynosi tysiąc sto metrów,

a przejazd, ze względu na korki, zajmie dwadzieścia osiem minut, zrobiło mu się głupio i poszedł na piechotę.

Wtedy się spieszył, nie rozglądał się specjalnie.

Drugi raz był odmienny – szedł powoli, bo szukał..

„Kurwa”. Co się z nim działo? Zawsze miał pamięć jak żyleta, kalendarze firmowe wyrzucał pod koniec roku prawie niezapisane, bo wszystko zapamiętywał, a teraz co?... Dobra, pójdzie pod tę tablicę, obejrzy ogłoszenie, sprawdzi numer telefonu, a potem wstąpi do tej biblioteki i załatwi sprawę raz a dobrze. Miał pokusę, by scedować to na Aśkę, ale widział przecież, że goni w piętę.

Był już przy skrzyżowaniu. Rzeczywiście, nic dziwnego, że Iga zostawiła auto na chodniku; to znaczy on by tak nie zrobił, bo miał wdrukowany szacunek dla przepisów i prawa, ale fakt był właśnie taki, że przy starym osiedlu dramatycznie brakowało miejsc do parkowania. Kiedyś pewnie był jeden samochód na cały blok, teraz każde mieszkanie równało się przynajmniej jedno auto. No i jeszcze ten bazarek po drugiej stronie i centrum handlowe, przed którym znajdował się, co prawda, parking, ale niewielki, a nie każdemu się chciało wjeżdżać do garażu podziemnego.

Razem z tłumem przeszedł przez ulicę.

Nie zdawał sobie sprawy, że o tej porze miasto może tak tętnić życiem. Jasne, dużo osób starszych, już nieczynnych zawodowo, sporo mam z wózkami, ale także ludzie w sile wieku. On kompletnie wypadł z takiego obiegu, dziesięć godzin każdego dnia spędzając w klimatyzowanych, sterylnych pomieszczeniach LabMedu.

W pewien sposób to dzisiejsze doświadczenie było fascynujące.

Minął ogrodzenie bazarku, przy którym ustawili się sprzedawcy bombek, lampek choinkowych i sztucznych ogni. „Fajerwerki i petardy dołączą później”, pomyślał.

Minął wejście, którym w końcu trafił do szewca. Co za fachura w takiej budce! Opinie w Internecie wydały mu się naciągane, gdy zobaczył wnętrze zakładu, ale efekt!...

Przeszedł obok przystanku, szczelnie obstawionego ludźmi, i doszedł do kasztanowca, pod którym stała tablica z ogłoszeniami.

Ile tu było karteczek, plakatów, ulotek! „Im bliżej świąt, tym większe ożywienie”, pomyślał.

Pobieżny ogląd utwierdził go w przekonaniu, że tego plakatu, który go interesował, nie ma.

Podszedł bliżej. Kolorowe kartki, jedna obok drugiej, niektóre ponaklejane na siebie. Może to ogłoszenie też zniknęło pod innym ofertami? Próbował podejrzeć, co się kryje pod zaproszeniem na prezentację cudownych garnków i krzykliwą ofertą chwilówek, ale oba plakaty były mocno przyczepione.

A jednak! Zobaczył wystający kawałek papieru z niebieskim tekstem. „...jeśli czujesz to samo i wierzysz w przedsięwzięte cuda, zadzwoń”. Numer był mocno zamazany, trzeba by zgadywać, jakie cyfry tam pierwotnie napisano.

Westchnął. Trudno, nic więcej z tego nie wyciśnie. Zresztą to był w sumie głupi pomysł. Co go podkusiło? Co mu to miało dać?

Spojrzał na zegarek – osiemnaście minut temu wyszedł z pracy. Może sobie pozwolić na dłuższą przerwę. Pójdzie coś zjeść w tym centrum handlowym. „Napchać się fastfoodowym żarciem”, przypomniały mu się słowa Igi. Aśka mówiła, że chodzi tam czasem z mężem albo dziećmi po seansie i że są dwa stoiska z naprawdę dobrymi posiłkami. Będzie miał okazję sprawdzić. A potem wreszcie załatwi tę bibliotekę.

W centrum handlowym było dość tłoczno, choć największy tłum kłębił się na parterze, gdzie znajdował się supermarket spożywczy. Wyżej było już mniej osób, a na piętrze, gdzie mieściła się „strefa restauracji”, wręcz panował spokój.

„«Restauracje» to chyba na wyrost”, pomyślał, ale punkty z jedzeniem wyglądały całkiem okej. Pomiął oczywiście sieciówki uwielbiane przez młodzież; nie tylko dlatego, że jego forma tak nagle podupadła i nie chciał jej dobijać nadprogramowymi kaloriami, ale przede wszystkim dlatego, że nie nęciły go te dania. Człowiek lubi jeść to, czego smak pozna w dzieciństwie, do tych nut wraca. On wracał do ziemniaków z koperkiem, szczawiowej, pomidorowej,

jajecznicy, kołdunów. Cheesburgery nie pobudzały pracy jego ślinianek.

Wybrał kopytka z sosem pieczarkowym i surówkę z kiszonej kapusty.

Nie była to kuchnia mamy, ale całkiem, całkiem.

Mama. W najbliższy weekend do niej jadą. Chyba wziął za duży kawałek kopytka, bo ciasto uwięzło mu w gardle. Przepił je kompotem.

Bał się tego wyjazdu. Nie, „bał” to złe słowo – obawiał się. Po tej imprezie u rodziców Igi wyobrażał sobie szok poznawczy, jakiego dozna jego dziewczyna, kiedy zobaczy ich dom nad Bugiem. No i mama nie jest w żaden sposób podobna do Kingi, czyli mamy Igi. Tak, kazała mu mówić do siebie po imieniu, żeby jej „nie postarzał”. Jego mama na pewno nie wystąpi z taką propozycją.

Wychodziło na to, że wstydził się mamy.

Zrobiło mu się głupio. Mama była superosobą. Inną niż rodzice jego znajomych z Warszawy, ale przecież to nie był jedyny wyznacznik fajności. W sumie – może wcale nie był?...

„Tu się po prostu żyje inaczej”, pomyślał. Rozejrzał się.

Nie zauważył, kiedy przy stoliku obok usiadła młoda kobieta.

Bardzo ładna kobieta i bardzo ładnie ubrana. Modnie, odważnie. Miniówka, rajstopy, kozaki, rozpuszczone blond włosy, chyba prosto od fryzjera, mocna czerwień na paznokciach.

„Kwintesencja tutejszego życia”, pomyślał.

Choć może nie do końca. Dziewczyna, co prawda, położyła na stoliku telefon, ale czytała książkę, co nie było takie oczywiste ani w tym miejscu, ani z jej wyglądem.

Może myślał stereotypowo, ale tak właśnie mu się skojarzyło – blondynka, paznokcie, kozaki, brak intelektualnych zainteresowań.

Z drugiej strony Iga była w podobnym typie. Ciekawe, czy ona coś czyta?... Zresztą on sam był ostatnio do tyłu. Ściągnie coś na czytnik, skoro ma kupiony abonament na e-booki. Wypadł z obiegu kultury, trochę wstyd.

Krażek na stoliku sąsiadki zamigotał na czerwono i się rozdzwonił. Podniosła się i poszła odebrać zamówienie.

Krzysztof śledził ją wzrokiem. Była niezwykle atrakcyjna.

Wrócił do swoich kopytek, gdy nagle usłyszał głuchoe plaśnięcie.

Rozejrzał się i zauważył, że na ziemię spadła książka, którą jego piękna sąsiadka czytała. Schylił się i ją podniósł. *Jej wszystkie życia*. „Chyba romans”, pomyślał. „I to świąteczny”. Chociaż, gdy lepiej się przyjrzał, doszedł do wniosku, że okładka nie wyglądała na specjalnie romansową: gwiazdki były, ale zamiast kobiety – dziewczynka, i do tego w jakimś staromodnym płaszczku. Ustawiona w bramie z czerwonej cegły, na której były narysowane rzymskie liczby, jak na cyferblacie, a w tle...

Poczuł, że ktoś nad nim stanął. To była ona, sąsiadka. Kątem oka zauważył dymiącą zupę na położonej na stoliku tacy i poczuł zapach tajskich przypraw.

– Spadła, więc podniosłem – powiedział, wręczając jej książkę.

– Dziękuję – odparła.

– Intrygująca okładka – dodał. Nie chciał podrywać tej dziewczyny, ta okładka naprawdę go zainteresowała.

– Książka bardziej. Bardzo ciekawa. Każdy rozdział zaczyna się tak samo, historią małej dziewczynki, a potem, w zależności od jakiegoś, nieistotnego, wydarzenia, historia płynie zupełnie inaczej.

Chciał coś dodać, ale telefon w torbie kobiety się rozdzwonił. Uśmiechnął się więc tylko i usiadł przy swoim stoliku.

– Tak, dopiero zamówiłam. Jasne, tak. Super jest. Skończę wieczorem i jutro, kiedy Zuzia będzie na zajęciach. Czekam na was.

Nie podsłuchiwał, po prostu siedzieli blisko.

Zamyślił się. Wyobraził sobie Igę, jak, mimo wszystko, je coś przy którymś z tutejszych stolików, a on odbiera ze szkoły córkę albo syna i przyjeżdżają tu do niej, razem.

Uśmiechnął się do tych wyobrażeń. To był bardzo ładny obrazek.

Dopił kompot, odłożył talerz, sztucce i szklankę na tacę i poszedł ją odstawić. Gdy opuszczał „strefę restauracyjną”, minął go elegancki

facet w garniturze, który pchał wózek z córką. To nie był zwykły wózek, tylko inwalidzki, a kilkuletnia dziewczynka miała porażenie mózgowe. Dziwne zestawienie – ten facet, jakiś menadżer, to widać, i to dziecko. Takie dziecko. On coś mówił do dziewczynki, ona chyba się uśmiechała, po swojemu. Rzadko się widywało takie obrazki. Obrócił się za nimi. Zobaczył, że jego piękna sąsiadka wstaje od stolika, podchodzi do faceta, całuje go, a potem kuca przy wózku.

Nie potrafił określić tego, co poczuł. *Jej wszystkie życia*. Życie tej kobiety nie było takie, na jakie wyglądało.

A jego?



– Niestety, Marty, to znaczy pani Marty, nie ma. Jest na szkoleniu dla bibliotekarzy. – Facet był bardzo miły i starał się pomóc. – Pani kierownik wciąż na zwolnieniu, paskudna grypa. Nie zaszczepiła się, nawet o tym rozmawialiśmy, ale jakoś nie wyszło. Ja to zaraz potem, jak się okazało, że tak choruje, to poszedłem. Bibliotekarz niby bezpieczny zawód, ale mamy kontakt z taką liczbą osób... Oczywiście lubimy czytelników, nie chcę, żeby mnie pan opacznie zrozumiał.

– Jasne, wcale tak nie pomyślałem. – Krzyśkowi wreszcie się udało wtrącić słowo; facet był sympatyczny, ale i bardzo gadatliwy. – A szczepić na grypę się warto, polecam to panu jako farmaceuta.

– Tak? – Bibliotekarz szczerze się ucieszył. – A konkretnie jakąś szczepionkę by pan zasugerował?

– Konkretnie to nie. Jestem z wykształcenia farmaceutą, ale pracuję w firmie badawczej.

Po minie bibliotekarza widać było, że jest trochę rozczarowany.

– Warto zaufać lekarzowi rodzinnemu – powiedział Krzysiek. – Oni się znają na tej robocie. – Uśmiechnął się.

Chłopak odwzajemnił uśmiech.

– No tak, jasne, a co do...

Krzysiek przeczuwał, że teraz nastąpi seria pytań okołomedycznych, a on już musiał wracać do pracy.

– A co do mojej prośby: właśnie moja firma, czyli LabMed, wystąpiła z propozycją świątecznej pomocy. Jedną z jej odmian jest, jak ją nazywamy, mała charytatywność. Wybraliśmy między innymi tę bibliotekę, żeby ją jakoś wspomóc. Forma pomocy zależy od państwa. Myśleliśmy, to znaczy ja o tym myślałem, żeby kupić książki, jakieś nowości, ale może coś jeszcze lub coś innego? – Krzysiek się rozejrzył. Nie spodziewał się tu Bóg wie czego, ale paździerzowatość miejsca była jednak trochę przygnębiająca.

– O, no sam pan widzi. – Bibliotekarz rozłożył ręce. – Nie mamy tu luksusów. Miało być inaczej, ale ten cholerny wirus... Tak, trzeba się szczepić, jeśli można – rzucił do siebie. – Więc nie wyszło. Nowości przycięte, remont przełożony, bieda. Ja oczywiście mówię, jak jest, ale decyzje to teraz Marta, a ona...

– Na szkoleniu – odpowiedział Krzysiek.

– Właśnie. To może... – zaczął chłopak. – Przepraszam, czytelniczka przyszła.

Podszedł do stanowiska z komputerem. Krzysiek przyglądał się jemu i kobiecie, która się zjawiała w bibliotece. Towarzyszyło jej dwoje dzieci w wieku przedszkolnym.

– A, dzień dobry! – Bibliotekarz najwyraźniej ją znał, bo uśmiechnął się bardzo serdecznie. – Dla siebie coś czy dla małych czytelników? – zapytał.

– Mali czytelnicy dostali właśnie paczki w przedszkolu. – Spojrzała na dzieci, które trzymały w rękach kolorowe torby papierowe z mikołajami.

Krzysiek z przyjemnością się im przyglądał. Kobieta nie była żadną piękną, na pewno nie miała figury miss, ale biło od niej jakieś ciepło, zwłaszcza gdy omiatała wzrokiem dzieci.

– Już był u was Mikołaj? – Bibliotekarz zwrócił się do parki.

– Był – odparł chłopiec.

– Bo on ma dużo dzieci do odwiedzenia, a mało czasu – dodała dziewczynka.

- Przyniósł nam książki. – To znowu chłopiec.
- Mama nam przeczyta, bo my nie umiemy – uzupełniła siostra.
- Przeczyta. – Kiwnęła głową kobieta. – Ale mamusia potrzebuje swojej książki, którą też musi przeczytać. Na Nibylandię – zwróciła się do bibliotekarza.
- A, no tak. A co to ma być?
- *Jej wszystkie życia*. Kate Atkinson – wyrecytowała kobieta.
- O, no to nie będzie. – Bibliotekarz się zasmucił. – Dwa dni temu Marta pożyczała swój egzemplarz komuś z klubu, bo też chciał wypożyczyć, a nasze dwa były w czytaniu. Przykro mi. Mogę sprawdzić, czy siódemka, to znaczy filia numer siedem, ma.
- Dziękuję. Nie zdążę już zamówić w księgarni, poza tym tyle wydatków przed świętami... – Kobieta westchnęła.
- Na słodycze – powiedziała dziewczynka.
- I na bigos – dodał jej brat.
- Dobrze, że prezenty Mikołaj kupuje. – Dziewczynka przytuliła się do mamy.
- No! – Brat bawił się zakładkami włożonymi do kubka. – Bobyście poszli z torbami, tak tata mówi.
- Tata by pewnie nie kupił niczego, bo był zły, że pomazałeś ścianę flamastrem. – Dziewczynka spojrzała na brata oskarżycielsko.
- To było niechcący. – Chłopiec próbował się bronić.
- Wcale że chcący. – Siostra była w natarciu.
- Ej, przestańcie, nie można w bibliotece, to miejsce, gdzie musi być cicho. – Mama starała się ich uspokoić.
- W aptece też musi być cicho. Wszędzie musi być cicho – stwierdził chłopiec. Najwyraźniej mu się to nie podobało. – I u lekarza. I nawet w przedszkolu. I...
- Jest, siódemka ma. Odłożyli. To po drugiej stronie skrzyżowania, trzeba przejść za ten okrągły sklep bio, uliczką prosto, minąć domki i w pierwszym bloku po prawej. Brzmi daleko, ale jest blisko. – Bibliotekarz się uśmiechnął.
- Nogi mnie bolą – jęknęła dziewczynka.
- Mnie też – dodał brat.

Znowu trzymali wspólny front.

– A to by wam dodało sił? – Bibliotekarz sięgnął ręką na półkę, skąd zdjął duży słój. – Pierniki. Ręczna robota naszej pani bibliotekarki... Mogę? – Nagle się zreflektował, że nie zapytał mamy o zdanie.

Kiwnęła głową.

– Marta piekła? – zapytała.

– Tak.

Nawet Krzysiek poczuł aromat ciastek. Korzenno-miodowy, cudowny.

– Proszę, niech pan się też poczęstuje. – Bibliotekarz zachęcił go, żeby podszedł do biurka.

Krzysztof wziął jeden pierniczek. Zapach aż zakręcił mu w nosie, a myśli powędrowały do mamy. Tak pachniała ich kuchnia już od początku grudnia.

– Dobrze, to teraz wracam do pana. – Bibliotekarz wyrwał go z zamyślenia. – To jak mogę pomóc w tej sytuacji, którą mamy? Może po prostu zapiszę telefon do biblioteki i pan zadzwoni do Marty? Tylko nie w piątki po południu, bo mają kace.

– Kace? – Krzysiek nie zrozumiał.

– A, nie że kac – kace, tylko kace, czyli klub czytelniczy. – Chłopak się uśmiechnął.

– Pomyślałem raczej o komitecie centralnym.

– W sumie to jest i komitet. Marta szefuje. Ostatnio nam się powiększył, i to o dwie osoby.

– Dwie osoby to dużo? – zdziwił się Krzysiek.

– Było pięć, więc tak. A może... – popatrzył na niego – ...pan by chciał? Fajne spotkania, fajni ludzie, fajne książki...

– Właśnie – a te wszystkie życia, to znaczy *Jej wszystkie życia*, to dobra książka? Bo nawet dziś podczas obiadu widziałem, jak pewna kobieta to czytała. Okładka intrygująca.

– Tak? – Ucieszył się bibliotekarz. – To może też ktoś od nas, znaczy z Nibylandii, bo to tytuł sprzed kilku lat. Super jest, Marta

właśnie mi poleciła. Zostaje w pamięci – świetny pomysł, doskonale napisane. Niestety, my teraz nie mamy żadnego egzemplarza.

– Nie, ja pytam tak ogólnie. Mam abonament, ściągnę sobie na czytnik.

– O, to fajnie. A tu, proszę – podał mu zieloną karteczkę – telefon do biblioteki. Jutro może pan dzwonić. I z góry dziękujemy.

ROZDZIAŁ 18



– Ależ oni urosli! To znaczy Olek, bo Pola wciąż taka drobna. – Marta usiadła na kanapie.

Zdażyła się zdawkowo przywitać z przyrodnim rodzeństwem i macochą, gdy mijali się w drzwiach. Z tempa tych przywitań mogła wywnioskować, że bardzo się dokądś spieszyli, ale wśród wzajemnych przekrzykiwań i uścisków wyłapała tylko słowa „sztuka”, „gramy”, „czad”.

– Wyrównają się. Taki skok rozwojowy. Jedni idą do liceum, już wyżsi od większości nauczycieli, inni wciąż wyglądają, jakby byli w podstawówce.

– Właśnie – a już wiedzą, do którego liceum chcą iść? – Marta sięgnęła po kubek z kawą, którą zrobił jej ojciec. Była pyszna. „Ania mnie nauczyła”, powiedział. Wszystko, co wychodziło spod jej rąk, było dziełem sztuki: i kawa doprawiona kardamonem i mlekiem migdałowym, i kolczyki z miedzi i kamieni księżycowych, które Marta dostała od niej w zeszłym roku pod choinkę, i wystrój ich domu – trochę jak u hobbitów, a trochę jak na angielskiej wsi, i ogród – absolutnie tajemniczy. Nawet ojciec i bliźniaki wyglądali świetnie, na pewno dzięki jej inspiracjom. Marta spróbowała sobie wyobrazić ojca, gdyby się jednak nie rozwiódł z matką. Pewnie byłby „porządnie” ubrany, starannie uczesany i absolutnie poważny. „Cóż”, westchnęła w duchu, „w obecnym wydaniu jest fajniejszy i na pewno szczęśliwszy. Żeby się mamie udało taka metamorfoza, choćby w minimalnym stopniu...”.

– ...no i napytaliśmy sobie biedy.

– Tak? Przepraszam, zamyśliłam się. – Marta sięgnęła po kawę. Chyba potrzebowała więcej kofeiny.

– A o czym tak myślałaś, jeśli można? – Ojciec usiadł naprzeciwko niej. Uśmiechnięty, w koszuli dżinsowej, która podbijała błękit jego oczu, czerwonych oprawkach okularów i szarych sztruksach. Marta – znowu w wyobraźni – posadziła obok niego matkę. „No nie. Mama wyglądałaby przy nim jak sroga dyrektorka. A tymczasem to on jest dyrektorem”.

– O mamie – westchnęła. – Że jest taka... porządna. Za porządna.

– Za porządna – powtórzył za nią. – No, coś w tym jest. Teresa zawsze była za porządna. Nie to, żebym miał coś przeciw porządności, ale w życiu potrzeba też luzu, oddechu... Choć właśnie chyba tym napytaliśmy sobie biedy, jeśli chodzi o bliźniaki. Wybierają liceum, więc kilka odwiedzili. Byli tam z Anią i wracali... no, niezbyt zadowoleni. Że brak ducha wolności, że jak w PRL-u, choć pojęcia nie mają, jak wtedy było, że musztra już od wejścia, że pani dyrektor niesympatyczna, że dryl wojskowy... No po prostu nie. Oni by chcieli takiej atmosfery, jak teraz mają w szkole. I w domu. Przedawkowaliśmy im tę wolność.

– Ale oni są fajni. Grzeczni. I chyba się uczą.

Ojciec pokiwał głową.

– Są, fakt. W ogóle są zaangażowani, jeśli chodzi o życie. Teraz, na przykład, co wiesz, pojechali z Anią na próbę spektaklu, który przygotowują z okazji świąt. Ania pomaga im przy strojach.

– Robi kostium Rudolfa? – Marta się uśmiechnęła.

– A gdzie tam! Wiesz, co oni wystawiają w ramach jasełkowego występu? – Ojciec spojrzał na nią pytająco.

– No?...

– *Hamleta*.

– *Hamleta*? – Marta usłyszała, ale i tak wolą się upewnić.

– I owszem. A dlaczego? Bo to jest, uważaj, „o facecie, który wystąpił przeciw złu”.

– W sumie to racja. – Marta pokiwała głową. – Może inaczej bym to podsumowała, ale sens się zgadza. A dlaczego właśnie teraz, to znaczy przed Bożym Narodzeniem? Choć tematycznie to pasuje.

– Twoje rodzeństwo myśli podobnie. I jeszcze powiedzieli: „To są istotne kwestie. Podstawowe. Ludzie by woleli aniołki i żółbek, a potem konsumpcja. Trzeba ich wyrwać z tego błogostanu, niech poczują, pomyślą, przeżyją”. – Ojciec uśmiechnął się i rozłożył ręce.

– W sumie... – Marta po raz drugi się zgodziła. – To szkolne przedstawienie?

– Szkolne. Ale wiesz, jaka to szkoła...

Marta wiedziała. Dobra, właściwie chyba najlepsza warszawska szkoła społeczna. Olek i Pola poszli do niej, bo ojciec i Anka byli zachwyceni indywidualnym podejściem, otwartością, poziomem nauczania. Po tylu latach starania się o dziecko narodziny bliźniaków były dla nich jak cud. Wciąż tak o nich chyba myśleli, bo bliźniaki miały to, co najlepsze. Nie w sensie finansów, to znaczy rzeczy, bo ani ojciec, ani matka nie byli materialistami, choć czasem te dwa porządki się przeplatały, jak choćby w przypadku szkoły, która z nazwy była społeczna, ale z ceny chesnego – elitarna.

– Wiem. A pamiętasz moją, osiedlową? I dyrektorkę, która uczyła nas matematyki, waląc linijką w stół?

Ojciec spojrzał na nią i przez chwilę milczał.

– To były inne czasy – powiedział w końcu.

– Ale wtedy były już szkoły społeczne.

– Były, chyba były. – Kiwnął głową. – Masz do mnie żal? Że nie miałaś takiego dzieciństwa?

Marta nawet samej sobie nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego to powiedziała. Czy to było konfrontacyjne, miało sprawić, że tata poczuje się gorzej? Zawsze broniła ojca, zwłaszcza przed matką, pamiętała jego starania o to, by wspólnie z Martą spędzać czas, ale prawda była taka, że bliźniaki miały lepsze życie niż ona. Czasem ją to uwierało. Im gorzej jej było w życiu, tym mocniej. Czyżby szła drogą matki, obarczającej innych za swoje życiowe niepowodzenia?... Brrr.

– Przepraszam, tato. Nie to miałam na myśli, to znaczy nie to, że ty jesteś złym ojcem. Rzecz w tym, że bliźniaki mają wszystko. Mają ciebie, Ankę, fajny dom. Komplet. Całość. W jednym miejscu. Ja miałam to wszystko porozrywane. Wiesz, że cię kocham, bliźniaki też, nawet chyba Ankę kocham. Tylko czasem, kiedy jest mi gorzej...

– Urwała.

– A jest ci gorzej? – Ojciec usiadł obok niej na kanapie, tak że ich ramiona się stykały.

Marta westchnęła.

– Jest. Nie, nic się nie stało, jeśli o to pytasz, nic nagłego i wyraźnego. Tylko tak... Sama nie wiem. Po prostu czuję, że życie mi się rozłazi, nic nie jest takie, jakie bym chciała, żeby było.

– Nic?

– Praca jest. Uwielbiam książki, czytanie, bibliotekę, czytelników. To jest i pożyteczne, i przyjemne. Ale reszta, życie prywatne... Tu bym chciała zmiany.

– To super.

– Super? – Marta obróciła się w stronę ojca. – Nie wydaje mi się, żeby było super.

– Zależy, jak na to patrzeć. To, że nie czujesz się dobrze w swoim życiu, to niefajna sprawa. Ale to, że chcesz to zmienić – to jest właśnie super. Uwierz staremu ojcu – przegrywasz wtedy, kiedy się godzisz na to, co jest. Albo kiedy nie potrafisz dojść, co w tobie siedzi – z czym ci po drodze, co ci odpowiada, a co nie.

– Tak czułeś, gdy postanowiłeś odejść od mamy?

Właściwie to nigdy o tym nie rozmawiali dogłębnie. Jasne, Marta знаła fakty, ojciec powiedział, że „nie pasują do siebie”, że to nic w stosunku do Marty nie zmieni, ale co tam się kotłowało pod powierzchnią – tego nie przerabiali. Wtedy – słusznie, dziecko nie powinno być wplątywane w sprawy dorosłych, bo po pierwsze ono dorosłe nie jest, po drugie dla niego rodzice to mama i tata, a nie mąż, żona i ich najintymniejsze sprawy. W dorosłym życiu Marta miała jednak pokusę, żeby się dowiedzieć więcej; żeby zrozumieć, dlaczego ojcu się udało mieć dobre życie, a mamie nie.

Tata usiadł bokiem i wziął Martę za rękę.

– Tak czułem. Słuchaj, Martuś, ja nigdy nie chciałem wchodzić głębiej w te tematy, rozmawiając z tobą. Z różnych powodów. Przede wszystkim dlatego, żebyś nie musiała się miotać, zastanawiać, którego z rodziców bardziej kochasz, albo, co najgorsze, bić się z myślami, czy my na pewno jesteśmy fajni i dobrzy, skoro mama mówi o tacie to, a tata o mamie co innego.

– Z mamą to wiesz, jak jest. Różne rzeczy mówiła i mówi. – Marta spojrzała na ojca. Oszczędnie dawkowała mu ten domowy przekaz, ale przecież tata przeżył z mamą kilkanaście lat, więc musiał wiedzieć.

– Wiem. Ale ja nie mam do niej o to żalu. Kiedyś – może. Ale potem, gdy zrozumiałem... Kiedy poczułem właściwie. Bo widzisz, u mnie to się stało w sumie nagle. Psuło się, nadpsuwało, powoli. Gdzieś z tyłu głowy cichy głos szeptał: „Jest ci dobrze? Jesteś zadowolony?”. Właśnie tak. Nie że dramat, jest strasznie źle, tylko wciąż płynąca strużka niepokoju. I przyszedł taki dzień, kiedy wyobraziłem sobie siebie u kresu życia. I kiedy bardzo jasno zrozumiałem, że to jest przegrane życie, bo całe było zaniechaniem. Rozumiesz?

Rozumiała. Wcześniej przeczuwała, jej głos też coś szeptał, ale niewyraźnie. Teraz to mocno poczuła.

– Mama patrzyła na to inaczej. Chyba nie czuła, tylko myślała. Teresa jest bardzo zadaniowa – w życiu ma być poukładane i zorganizowane. To pomaga w pracy, choć też nie zawsze, jeśli ona się opiera na kreatywności. Ale w sprawach ducha – no nie. Takie mocne trzymanie się porządku nie dopuści czucia. Trzeba, należy, tak jest, nie wolno – może się wydawać, że to jest życiowa kotwica. Ale, tak czuję, tego moje życie dowiodło – częściej to betonowe buty.

– Mama się nie pozbierała po rozwodzie. Dawniej było mi jej żal...

– Mnie też było jej żal, uwierz. Bolał mnie jej ból, który był całkiem naturalny, bo tak jest, gdy życie traci dotychczasowy kształt. Tyle że ja wiedziałem, że ten kształt był koślawy. Jeśli mnie nie było dobrze

w tym życiu, a nie było, to czy mamie mogło być dobrze z niezadowolonym mną? Czy nieszczęśliwy może uszczęśliwić?

Marta pokręciła głową.

– Próbowałem jej to wytłumaczyć. Nie wtedy, bo nie była w stanie słuchać. Potem, po kilku latach, wydawało mi się, że to już ten czas. Bez efektu.

– Mama wciąż cię wini za swoje życie.

– Ale to nie prawda, Martuś.

– Wiem, tato. I wiem, że to jej życie, ale chciałabym jej pomóc. Przecież ją kocham. I... i obawiam się, że podzielę jej los.

– A wciąż jest tak źle? Pytam pro forma. Dzwoniłem dwa tygodnie temu, oczywiście odrzuciła zaproszenie na święta. „Dziękuję, nie potrzebuję jałmużny”.

– Wciąż. Myśl o świętach przyprawia mnie o ból brzucha. Czytałam ostatnio taki tekst, w którym było napisane, że mamy takie święta, jak żyjemy. Mnie ściska w dołku, a radość jest bardziej zwyczajowa, więc... Nawet kiedy piekłam pierniki, to czułam się tak, jakbym chleb żytni robiła – kwaskowaty i ciężkawy.

– E, coś ty. Twoje pierniki są przepyszne. – Ojciec sięgnął do tekturowego pudełka, w które Marta zapakowała część piernikowego urobku.

– Mama powiedziała to samo. No dobrze, powiedziała, że są smaczne. W jej ustach to już superhiperkomplement. Zdobyła się na niego w obecności gościa, więc...

– Gościa? Czyjego – twojego czy jej? – zainteresował się ojciec.

– Mojego.

– A, już miałem nadzieję, że to jej gość. I że ta pochwała to wynik tego, że mama mięknie, pozwala sobie na delikatność. Ale czekaj, jeśli to był twój gość, i mama była z wami, to chyba ktoś ważny, co?... – Ojciec się zainteresował. – No, ale powiedziałaś, że jednak źle, więc to chyba nic ważnego?...

– To przede wszystkim coś dziwnego. Ten znajomy to bardzo fajny Mirek. Inżynier, buduje drogi i mosty, jest wdowcem, piecze pasztety i szarlotki, słucha muzyki poważnej, lubi komedie i żagłówki.

- Uśmiechasz się, kiedy o nim mówisz. – Ojciec się jej przyglądał.
- Jak się uśmiecham?
- Z sympatią.
- Właśnie. Mam do niego dużo sympatii. Samej sympatii.
- A! – Tata zrozumiał. – Jasne. Pasuje, bo z opisu tobym powiedział, że ten Mirek to raczej dla twojej mamy by się nadał. Inżynier, wdowiec – zapewne w wieku zbliżonym do matki.
- To mój znajomy. Mama go poznała przypadkiem. Ale była miła i jestem jej za to wdzięczna. To był taki fajny gest w moją stronę, że powstrzymała swoją zgryźliwość i nawet była uprzejma. Doceniam, ale nic z tego nie będzie. Znaczący będzie dobra, fajna znajomość.
- Mama poznała go przypadkiem, a ty?...
- Ja też.

Marta siedziała z kubkiem kawy w jednej ręce, drugą wciąż ścisłał jej tata. Jeśli był jakiś dobry moment, żeby się zwierzyć, to właśnie teraz. Głęboko odetchnęła.

- Zrobiłeś kiedyś coś szalonego? – zapytała.
- Wciąż się staram. – Roześmiał się.
- Ale takiego, że byś siebie o to nie posądził. Że to był impuls i poszedłeś za tym głosem?
- Ania była impulsem. Wciąż na mnie działa.
- A jak się poznaliście? Twierdziłeś, że w pracy. Szczerze mówiąc, to średnio w to wierzyłam, bo przecież ty pracowałeś w firmie chemicznej, co Anka by tam robiła? Jest tak daleko od techniki...
- Ale tak było. Ania przyszła, bo chciała odnowić warstwę złota na swoim zegarku. Pamiątkowy, po babci, z wypukłą szybką i skórzanym paskiem przeciąganym przez okrągłe uszka. Znalazła nas w Internecie, nie sprawdziła, że robimy to, czyli galwanizujemy, na inną skalę i w celach badawczych. Ale biło z niej tak szczerze pragnienie i taka naturalność, że to się da zrobić, bo czemu nie, że się zakochałem, prawie z miejsca. Anka ma po prostu taką aurę – jasną. Jest naturalna. Dobrze się czujesz w jej towarzystwie. Nie szuka problemów, szuka rozwiązań. To też jest pociągające, nie tylko to, jak wygląda, że jest mądra.

Marta się zamyśliła. Czy Hugh tak wyglądał? To znaczy ten prawdziwy na pewno, zwłaszcza w kinie, bo w życiu prywatnym to, zdaje się, że nie było tak filmowo. A ten jej? Ten z przystanku? To był przecież moment, chwila. Może sobie to wszystko wymyśliła? Może to znękana dusza i wybujała wyobraźnia podsunęły jej ten obraz?... Im dużej o tym myślała, tym mniej była tego pewna. Zresztą teraz, kiedy to nieprzemyślane ogłoszenie na pewno zostało już przykryte innymi, równie głupimi, to nie miało znaczenia. Natomiast to, czy powie tacie, jak było, już miało znaczenie.

– Powiesiłam ogłoszenie.

– Ogłoszenie?

– No.

Nie szło łatwo, mimo tego, że mówiła do jednego z najżyczliwszych jej ludzi.

– Ogłoszenie. Widzisz, było tak, że kilka tygodni temu, kiedy wracałam z biblioteki, zobaczyłam kogoś na przystanku. Mężczyznę. Było w nim coś takiego, że... Nawet nie umiem ci tego wytłumaczyć. Coś, co mnie przyciągnęło. Był przystojny, w taki sposób, jak mi się podoba. I miał w sobie... teraz, jak powiedziałaś o Ani, to wiem, że to nie była jasność, bo było w nim coś zagubionego, zamyślonego? Ale na pewno szczerego i naturalnego. Nie wiem już zresztą, ale po prostu nie mogłam przestać o nim myśleć. I jeszcze mi się wydawało, że on też na mnie spojrzał. Tylko że ja wtedy się przestraszyłam, zrobiło mi się głupio, no i się odwróciłam, a kiedy znowu spojrzałam, to on właśnie wsiadał do autobusu. I odjechał. A ja napisałam to ogłoszenie, które powiesiłam na tablicy.

– To fantastyczna historia! – Ojciec ją uścisnął, a potem wstał z kanapy. Widać było, że jest podekscytowany.

– Bez happy endu. – Marta wzruszyła ramionami.

– Nie zadzwonił?

– Nie. Inni dzwonili, pisali, ale to same pomyłki. Z wyjątkiem Mirka. W tym podstawowym sensie to on też jest pomyłką, ale poza tym – fajnie. Więc nie wyszło, a teraz jeszcze mi wstyd.

– Wstyd?

– Jak sobie pomyślę, ile osób widziało to ogłoszenie. Chciałam je zerwać, ale w końcu tego nie zrobiłam, bo też mi było wstyd, że ktoś mnie zobaczy i... sama nie wiem. Zresztą to i tak bez znaczenia, bo się flamaster rozmazał i...

– Martuś, to jest fantastyczne! Zrobiłaś coś... szczerego! Dałaś dojść do głosu swojej intuicji!

– Ale nic z tego...

– Nieprawda. „Choć to szaleństwo, lecz jest w nim metoda”.

– Też masz rolę w *Hamlecie*?

– Chyba jako ranny łoś. – Ojciec się zaśmiał. – Posłuchaj, Martuś, to, że coś takiego zrobiłaś, to jest świetne. Myśleć, że on by się odezwał, bo on to właśnie on, że by wrócił i przeczytał to ogłoszenie, to może zbyt optywizm. Ale to, że się odważyłaś i otworzyłaś furtkę... To znak, że jesteś gotowa na przeżywanie emocji. Na radość, ale i na to, że nie zawsze wszystko się ułoży według twojej myśli, mimo starań. Jesteś gotowa na życie. Naprawdę, uwierz ojcu.

– Tak? – Marta chciała wierzyć ojcu. Właściwie to już uwierzyła. Jakaś część dawnej jej jednak jeszcze marudziła. – To na pewno nie jest nonsens?...

– „Ten nonsens więcej wart niż sensowność”. – Pola z impetem klapnęła na kanapie, w miejscu zwolnionym przez ojca. – Marti, przyjdiesz na naszego *Hamleta*? Będzie super!

Bliźniaki nagle pojawiły się w pokoju.

– Szybko się uwinęliście. – Marta poczochrąła Poli włosy. – Myślałam, że sztuka zajmuje więcej czasu.

– To jest finisz. Dziś oglądaliśmy z mamą scenografię, próby nie było – powiedziała Pola.

– To będzie kulturalne wydarzenie tej zimy. – Olek klapnął z drugiej strony. – Ty na pewno to docenisz. – Spojrzał na Martę.

– A, tu jesteście. – Do dzieci dołączyła ich matka.

Rzeczywiście, biła od niej jasność. Może ojciec miał rację?

– A co tu tak pięknie pachnie? No tak, pierniki Marty. – Anka podeszła do stołu i wzięła jedno ciastko do ręki. – Znak, że odliczanie do świąt się rozpoczęło.

I choć nie stało się nic, Marta pomyślała, że coś się jednak zmieniło. Może na końcu tego odliczania nie będzie niewypału, jak zwykle?...

ROZDZIAŁ 19



Szare pola, bezlistne lasy, gdzieniegdzie tylko urozmaicone zielonymi świerkami, miasteczka pozbawione koloru, który latem dawały im kwiaty.

Gdyby choć spadł śnieg... Kiedyś w grudniu była tu wszechogarniająca biel. To wiele załatwiało – gruby puch przykrywał wszystkie mankamenty, stwarzając pozory ideału i sielanki. Robił to, co teraz chciał uczynić Krzysztof – zaczarować rzeczywistość.

„Bez sensu”, pomyślał.

Sensu może w tym nie było, ale czuł się źle, wyobrażając sobie, co Iga pomyśli, gdy zobaczy jego dom rodzinny.

„Stary, każdy ma jakiś dom rodzinny. I zwykle ten dom jest gorszy od tego, jaki ma teraz, tak się to toczy”, powiedział mu Kuba, gdy udało im się dokończyć tę rozmowę z Biblioteki Uniwersyteckiej. „Ty masz dobry”, odparł wtedy Krzysiek. „Ale moi dziadkowie mieszkali tak, jak twoi rodzice. Po prostu u nas jedno pokolenie wcześniej zamieniło wieś na miasto. O Idze nic nie wiesz. Z tego, co mówisz, to ich bogactwo jest świeże”.

Może było świeże, ale jednocześnie imponujące.

Krzysztof pod tym względem nie mógł jej zaimponować. Oczywiście opowiedział o swoim dzieciństwie pod Drohiczyńnem, ale zrobił to w taki sposób, jakby pisał jakąś cholerną sielankę: łąki umajone, lipy pachnące, wstęga Bugu. Podkolorował, co się dało. Ojca właściwie przemilczał, skrótowo tylko powiedział, że pracował szpitalu („nie, nie lekarz, pracownik cywilny”; a był po prostu

intendentem), nic o jego podłym charakterze podkreślanym zamięłowaniem do alkoholu. O mamie w sumie powiedział prawdę – że skupiała się na domu, jest bardzo ciepła i serdeczna, od kilku lat na emeryturze, a wcześniej pracowała w urzędzie gminy. O samym domu zaś, że jest „klimatyczny”.

Był. Teraz w klimacie ponurego, grudniowego przedpołudnia.

– Zaraz będziemy. – Odchrząknął, gdy zjechali z głównej drogi w poboczną asfaltówkę. Zrobiono ją kilka lat temu. Wcześniej był tu stary, szary i spękany asfalt, który przechodził w kocie łby, by na końcu zmienić się w drogę gruntową. „Dobrze, że Unia daje pieniądze”, pomyślał, gładko sunąc po równej nawierzchni. Gdyby nie to wsparcie, infrastruktura byłaby w opłakanym stanie. Myśli Igi musiały biec tym samym tropem.

– Niby taka dzicz, a droga jak na Ursynowie. – Uśmiechnęła się do niego. – Czasem to aż dziwne, że w takie miejsca dociera cywilizacja. Tu przecież chyba nic nie ma?... – Zawiesiła głos.

Nie wiedział, jak to skomentować. Czy obrócić wszystko w żart, czy poczekać, aż ona dokończy wypowiedź. Wybrał to drugie.

– Gdybym cię nie znała dobrze, tobym pomyślała, że mnie wywozisz w odludne miejsce w jakimś niecnym celu. W sensie morderstwa, nie seksu. – Zaśmiała się.

Cieszył się, że Iga jest w dobrym humorze. Dobrze nastawienie jak znalazł. A może źle ją oceniał? Może niepotrzebnie się stresował?

– To miejsce naprawdę wygląda jak opustoszałe. Jak z horrorów. – Iga rozglądała się po okolicy.

– Wiesz, jak jest. Młodzi wyjeżdżają. Kiedyś wystarczały Sokołów czy Siedlce, teraz Warszawa albo zagranica. Zostają starsi, którzy się starzeją i...

Aż go zakłuło w piersi. To był los jego mamy. Siedziała tu, na końcu świata, z roku na rok starsza. Aż w końcu...

– Ale co tu ludzi trzyma? Niby się mówi, że Podlasie ładne, no może, co kto lubi, ale jednak odludzie. Nie można się przeprowadzić?

– To nie jest takie proste... – zaczął.

– Najprostsze może nie, ale wszystko da się załatwić. Sprzedajesz dom, ziemia teraz drożeje, kupujesz coś mniejszego, ale w mieście, wśród ludzi, w cywilizacji.

Jakby słyszał siebie sprzed kilku lat. Też tak tłumaczył mamie. Wtedy jednak był wciąż zachłyśnięty swoim nowym życiem. Początkowo Warszawa nie była dla niego zbyt przyjazna; gdyby nie Kuba, byłoby zdecydowanie gorzej. Młodzi z prowincji, bez doświadczenia, bez pieniędzy, w akademiku, często dorabiając, nie mają lekko. Ale potem skończył studia, po jakimś czasie dostał pracę w LabMedzie i postanowił dać z siebie jeszcze więcej, co zostało szybko zauważone i docenione. Jego życie przyspieszyło, konto w banku wreszcie zapełniło się pieniędzmi. Był jak na haju. To wtedy najmocniej przekonywał mamę do wyjazdu. Potem już mniej, bo jej opór się nie zmieniał, natomiast do niego zaczęło docierać, że on właściwie też nie mieszka w raju. Bez względu na to, co mu się udało osiągnąć, czuł niedosyt. Początkowo taki ogólnie egzystencjalny; kładł to na karb przepracowania, może wieku – tyle się pisze o czterdziestych urodzinach i w sumie biologicznie ma to swoje uzasadnienie, choć raczej u kobiet, bo u facetów ta granica jest dalej przesunięta, dopiero później zrozumiał, że chodzi o brak większego sensu, czyli dzielenia z kimś życia. I wtedy pojawiła się Iga. A on dalej wybiegł myślami: dom, dziecko...

– Kurde, przejechałem! – prawie krzyknął. – Przepraszam, zamyśliłem się.

– Co przejechałeś? – Iga obejrzała się przez ramię.

– Dom – mruknął.

– Na pewno? – zdziwiła się.

– Na pewno, urodziłem się tu.

– Ej, nie ma powodu do nerwów. – Spojrzała na niego.

Rzeczywiście, był zdenerwowany.

– Przepraszam, nie wiem, co mnie ugryzło.

– Denerwujesz się, bo przedstawiasz mamie dziewczynę, to naturalne. – Poklepała go po udzie.

– Chyba tak. – Zdobył się na uśmiech.

Wjechał w wąską drogę skręcającą w pole, żeby zawrócić. Wycofał i ruszyli w przeciwnym kierunku.

– To tu. – Wykonał brodą ruch w stronę brązowego domu, oddalonego od drogi i przysłoniętego szpalerem drzew.

– Jak z folderów reklamujących wakacje pod gruszą – powiedziała Iga.

„Chyba jednak, jakimś cudem, jej się spodobał”, pomyślał.

– Tylko że po sezonie – dodała. – Nigdy na takich nie byłam. Pani Janeczka, gosposia rodziców, pokazywała kiedyś zdjęcia swoich wnuków na takim wyjeździe. Z pracy mieli dofinansowanie.

„No tak”.

Wjechał przez otwartą bramę. Dobrze, że było sucho, bo mama nie chciała żadnego betonu na podwórku. „Nie ma nic lepszego pod stopami niż trawa”, twierdziła. Nie przeszkadzały jej kałuże czy ziemia. Iga wolała schludniejsze podłoża.

– Bardzo to... – jego dziewczyna szukała odpowiedniego słowa – ...naturalne. To wasz oryginalny dom czy dacza?

Nim Krzysiek odpowiedział na to pytanie, zobaczył, że drzwi się otwierają i staje w nich mama.

Poczuł skurcz w okolicy serca. Nagła czułość, jakiś lęk, obawa, radość. Przedziwna mieszanka.



– To było pyszne. – Iga delikatnie odsunęła od siebie talerz. – Już dawno nie jadłam tak dobrego obiadu. Pani Janeczka chyba też by potrafiła gotować tak swojsko, ale mama ma inny gust: chude ryby, chude mięso, mleko migdałowe i sojowe.

– Pani Janeczka to pani, która pomaga rodzicom Igi prowadzić dom – wyjaśnił Krzysztof.

– Prowadzi, powiedziałabym. Rodzice nie mają czasu, żeby się tym zajmować osobiście. – Iga sięgnęła po kompot. – Pyszny. Nie piłam kompotu od... chyba od podstawówki. Wtedy ostatni raz byłam

na wakacjach z mamą w jakimś ośrodku wczasowym. Och, co to były za czasy, po prostu prehistoria. – Zaśmiała się.

– Bardzo są zapracowani? – Gospodyni spojrzała na Ięgę.

Krzysztof zauważył, że przygotowała się na ich przyjazd. Była w spódnicy i koszuli, choć zwykle wolała spodnie i sweter. Na stole leżał odświętny obrus; jedzenie – jak zawsze – było rewelacyjne, choć – również jak zawsze – proste.

– Bardzo. Pracują po dziesięć–dwanaście godzin dziennie.

Mama się uśmiechnęła. Krzysztof nie potrafił jej wyczuć; zawsze była uprzejma, trudno było ocenić, co naprawdę myśli.

– To wyczerpujące, rzeczywiście. Trudno godzić tak intensywne życie zawodowe z pracą w domu.

Iga westchnęła, ale raczej teatralnie niż naprawdę.

– Oni to uwielbiają. Ja w sumie też. Zresztą Krzys też jest pracoholikiem. – Poklepała go po udzie. – Dobraliśmy się.

Mama znowu się uśmiechnęła. I znowu nie potrafił odczytać prawdziwej emocji.

– A, bo nie wspominałam, ale Krzys pewnie mówił – tata działa na rynku budowlanym. Ma wielu wykonawców, naprawdę superfachowców. Może by się tu przydali? – Powiodła wzrokiem po pokoju. Krzysiek powędrował za jej spojrzeniem.

Dom mamy wyglądał jak wszystkie na tym terenie: drewniany, z sienią, pokojami po obu jej stronach, część z nich była przechodnia. Duży pokój, w którym siedzieli, miał na ścianach boazerię, reszta pokoi została wytapetowana. Na podłogach leżały szerokie deski, w kuchni stał piec, mama wciąż go używała. Niewiele się tu zmieniło, od kiedy wyjechał. Właściwie niewiele się tu zmieniło, od kiedy pamiętał.

– Tak? – zapytała mama uprzejmie. – To miłe, ale ja...

– Nie, nie, źle to zabrzmiało, przecież nie próbuję sprzedać pani usług. To taka... przyjacielska, rodzinna propozycja pomocy. Wsparcia.

„Rodzinna”. Krzysztof odczuwał dziś emocje w dziwny sposób. Już któryś raz coś było jednocześnie fajne i ciepłe oraz stawiało na

baczność. Rodzinna była mama, ten dom, to miejsce, rodzinna miała być Iga. Dwa światy.

– Chciałam powiedzieć, że nie potrzebuję pomocy. Bardzo doceniam gest, ale tu wszystko jest w porządku. Na swoim miejscu, trzyma się, czyste.

– No tak, ale teraz technika tak poszła do przodu – materiały, rozwiązania. Można by zmodernizować, unowocześnić. To jak z agroturystyką: kiedyś to były wakacje u rolnika, a teraz często jak w czterogwiazdkowym hotelu. Jeśli można mieć lepiej, to czemu mieć gorzej?

– Mam wystarczająco, pani Igo. – Mama wciąż się uśmiechała. – Pójdę do kuchni, nastawię wodę. Komu herbaty, a komu kawy?

– Chyba nie obraziłam twojej mamy, co? – Iga odchyliła się wygodniej na oparcie krzesła, drewno skrzypnęło. – O, właśnie o tym mówię. – Stuknęła paznokciem w oparcie. – Ten dom potrzebuje remontu.

– Raczej drobnych prac. Dach nie przecieka. – Krzysiek się uśmiechnął.

Wcześniej sam namawiał mamę do zmian, ale potem ustąpił. Przecież nie robi z tego miejsca kopii swojego apartamentu.

– W życiu chodzi chyba o coś więcej, niż żeby dach nie przeciekał. – Iga nie ustępowała. – Ja wszystko rozumiem, że to twoja mama, twój dom rodzinny i tak dalej, ale tu jest jak... jak w skansenie. Świat poszedł do przodu.

W progu pojawiła się mama. Na tacy niosła trzy szklanki.

– Rany, jakie śmieszne! Widziałam takie w Muzeum PRL-u.

– To podstakanniki. Rzeczywiście, zostały wyprodukowane w poprzedniej epoce.

– Ale jak dobrze wyglądają! Tyle lat i się nie zepsuły. Aż głupio wyrzucać. – Iga nachyliła się nad tacą i podniosła jeden koszycek.

– Głupio – zgodziła się mama. – Dlatego nie wyrzucam.

– Ale z drugiej strony one są takie passé. Teraz się używa czego innego.

– Jeśli coś się nie zepsuło, to chyba nie ma potrzeby zmieniać? –
Mama miło się uśmiechnęła.

– Niby nie, ale kupowanie nowych rzeczy napędza gospodarkę.
Wyrzucamy jedno, kupujemy kolejne, potem znowu i tak to się kręci.

– Iga zajmuje się reklamą – powiedział Krzysiek.

– Większość osób myśli, że to wciskanie ludziom produktów, ale
jest w tym głębszy sens gospodarczy. Pchamy świat do przodu.

– Ja wolę zostać z tyłu, to znaczy tu, gdzie jestem. – Mama
rozstawiła przed nimi talerzyki deserowe.

Też z poprzedniej epoki.

ROZDZIAŁ 20



– Nie mogę teraz rozmawiać, mamó, bo zaraz mamy spotkanie klubu, przecież wiesz. Jest piątek, dochodzi szóstka. – Marta wychyliła się zza biurka, żeby zobaczyć, czy wszyscy już są. Brakowało jeszcze Jacka.

– Wiem, nie jestem tak stara i stetryczała, żeby nie pamiętać. – Mama była sobą, ale jednak jakby mniej. Tekst był znany, ale ton – odmienny. Jakby miłszy. Może nawet żartobliwy?... Dlatego Marta nie zakończyła rozmowy od razu, tylko czekała na rozwój wypadków. – Czy ty planujesz mnie odwiedzić w weekend?

– Planuję. – Marta nie dodała już, że to też jest jasne, bo zwykle odwiedzała mamę w weekend, a przed świętami to już zawsze – po to, żeby przygotować jedzenia jak dla wojska.

– Cudownie. Wiesz – ciągnęła mama gawędziarskim tonem – chciałam zrobić pasztet.

– Wiem. – To też było jasne. Przecież po to mama przewaliła pół piwnicy w poszukiwaniu maszynki do mięsa.

– Ale nie taki zwyczajny.

Może i mama była niezwykle miła, ale tematyka rozmów nie uległa zmianie. Marta nie miała ochoty słuchać o przerobie mięsa.

– Mamó, to super, ale ja...

– No wiem, wiem, masz klub. Tylko chwilkę ci zajmę. Bo widzisz, chciałam zrobić ten pasztet z warzyw. Przecież wiem, że nie jadasz mięsa.

O. To była zdecydowana nowość. Marta spojrzała na zegar. Miała jeszcze dwie minuty, Jacka wciąż nie było.

– Więc znalazłam przepis. Paszтет z soczewicy i innych warzyw. Doprawiony curry. Bardzo ciekawa propozycja. I pomyślałam sobie, że ci upiekę. Tylko widzisz... Mam problem z tą maszynką.

– Zepsuta?

– Nie, no skąd, stare rzeczy się nie psują. Solidna niemiecka, znaczy wschodnioniemiecka robota. Tyle tylko, że ją się montuje do stołu.

– Przykręca się śrubą. – Marta pamiętała babcię podczas prac kuchennych.

– Właśnie. Kiedyś jednak stoły były grubsze, bo do mojego nie mogę jej przymocować. Blat za chudy, śruba nie dociska.

– To podłóż coś może?... Albo w pokoju masz gruby blat. – Marta była wzruszona propozycją kulinarną matki, ale musiała już kończyć. Przybył Jacek, byli w komplecie.

– W pokoju mielić soczewicę?... No nie, daj spokój. – Mama prychnęła, na chwilę wracając do dawnego stylu, zaraz jednak, znowu miłym tonem, powiedziała: – Potrzebuję rozwiązania na stałe. Przecież wiesz, jak lubię gotować. I że w budżetówce... zresztą po co się nad sobą użalać.

Zaiste, mama przechodziła niezwykłą przemianę.

– Mógłby mi pomóc ktoś, kto ma zmysł techniczny. Przerobi, wymieni śrubę na dłuższą, coś podłóży. Inżynier mi potrzebny.

Marta prawie dała się nabrać. Przez tę soczewicę i miły ton.

– Mamo, ja ci przecież mówiłam, że Mirek to znajomy. Zna-jo-my. Nie chłopak ani nawet nie kandydat na chłopaka.

– No przecież wiem. Nie mam sklerozy. – I znowu to samo – niby stare teksty, ale jednak miło powiedziane. Marta była skonsternowana. – Potrzebuję fachowej pomocy.

Marta się łamała. To w końcu matka, powinna jej ufać. Z drugiej jednak strony: to w końcu matka, zna ją bardzo dobrze. Polubiła Mirka, pierwszy raz w życiu zaakceptowała jakiegoś mężczyznę w życiu Marty i teraz nie odpuści. Na pewno chce ją swatać.

– Nie chcę cię swatać.

Marta spojrzała na zegar. Trzy po szóstej. Naprawdę musi już kończyć.

– Potrzebuję numeru telefonu, może pan Mirek mi coś doradzi. A może będzie tak miły, że nawet wprowadzi tę radę w czyn?... Tak bym ci chciała upiec ten pasztet. Bardzo zdrowy i pyszny, wegetarianie muszą sobie dostarczać białka..

Może była naiwniaczką, ale w końcu to mama. Wyjątkowo miła, a do tego święta majączyły już na horyzoncie.

– Masz długopis? Podyktuję ci numer telefonu.



– „A gdybyśmy tak mogli przeżywać nasze życie raz za razem – rozmarzył się Teddy – żeby wreszcie zrobić coś tak, jak należy? Czyż nie byłoby to wspaniałe? – Myślę, że to by było niezwykle męczące – odparła Ursula”. Podobała wam się ta powieść? – Marta odłożyła książkę na stolik.

– Niezwykle. – Iwona była rozemocjonowana. – Bardzo się cieszę, że nam ją zasugerowałaś. To znaczy teraz się cieszę, bo wcześniej miałam problem, żeby ją wypożyczyć. U nas nie było, z księgarni by długo szła, ale pan Piotr mi pomógł. I kiedy już ją miałam i zobaczyłam, że jest gruba, to się podłamałam. Tyle stron, mało czasu, w grudniu to wiadomo, jak jest, pracy więcej, i nawet miałam pokusę, żeby dziś nie przyjść, no aż mi głupio, ale taka myśl mi przeleciała przez głowę, ale potem zaczęłam czytać i po prostu wsiąkałam. W pracy zamiast myśleć o skrzydłach aniołków na jasełka, to myślałam o tej książce. Cudowna!

– Chyba naprawdę mocno przeżyła pani tę lekturę. – Dorota się uśmiechnęła. – Nie przypominam sobie, żeby coś innego zrobiło na pani takie wrażenie. Nawet ta pełna emocji powieść kobieca, którą mieliśmy na wiosnę, nie pamiętam tytułu. Autorki też. Właściwie to prawie wcale nie pamiętam, o co tam szło.

Marta próbowała wyłapać w wypowiedzi Doroty zwyczajową nutę ironii, ale tym razem jej nie usłyszała. Iwona też się spięła, gdy Dorota zaczęła mówić, ale potem odetchnęła.

– Prawda. Byłam na nie z tą książką, ale, jak to się mówi, nie należy oceniać książki po okładce. Ta była.. trochę dziwna, a okazała się absolutnie super.

– Mnie się bardzo spodobała. – Dorota miała wciąż ten sam przyjemny ton.

„No naprawdę, dzień cudów przedświątecznych”, pomyślała Marta. I zaraz się jej przypomniało to głupie ogłoszenie, ten jej romantyczny zryw.

– Hm. – Odchrząknęła, bojąc się, że ktoś zauważy jej zmieszanie. – A jak z cytatami? Pamiętacie, że prosiłam was, żebyście wybrali fragmenty, które was wyjątkowo poruszają?

Kiwnęli głowami.

– A ten, który ty przeczytałaś, to twój ulubiony? – zapytała Justyna.

– Nie wiem, mam ich sporo. A jeśli pytasz, czy się zgadzam, to.. też nie wiem. Wybrałam go, bo uważam, że jest bardzo dobry, żeby zacząć dyskusję o tej książce. Zanim jednak to się stanie, chciałabym poznać wasze wybory.

– „Zawsze jest tysiąc powodów, by ulec sobie. Największym wrogiem nie jest drugi człowiek, lecz nasz strach”. – Kamila przeczytała z tabletu.

Marta pomyślała, że nigdy by nie posądziła Kamili o taki wybór. I chyba nie była w tym odosobniona, bo Sławek zapytał:

– A dlaczego właśnie to zdanie? Ono jest..

– Prawdziwe, zgodzi się pan?

– No, zgodzę się, tylko..

– Powiedzmy, że wynika to z moich osobistych doświadczeń. Uważam, że lęk często nas hamuje, pokazując tylko złe strony jakiejś sytuacji. A kiedy się otworzymy, dopuścimy inne myślenie, okazuje się, że to wcale nie było takie straszne.

Sławek pokiwał głową, ale nic nie powiedział.

– Ja też mam cytaty – odezwał się Eryk. – „Skoro już mamy tylko jedno życie, powinniśmy je jak najlepiej wykorzystać. Nigdy nie zrobimy tego, jak należy, ale zawsze można próbować” – przeczytał i spojrzał na Justynę, a potem zwrócił się do Marty: – Też się cieszę z tej lektury. I też miałem wątpliwości, jak Iwona. Zupełnie niepotrzebnie. Generalnie wątpliwości są... przereklamowane.

Może się jej przywidziało, ale Eryk znowu spojrzał na Justynę, która, już trzeci raz, nie spóźniła się na spotkanie Nibylandii. „Ciekawe...” Nie zdążyła pomyśleć nic więcej, bo teraz odezwała się Dorota.

– „Jedna chwila szczęścia może być niekiedy nagrodą za lata gorczy”.

Gdyby Marta siedziała w innym miejscu, gdyby jej fotel nie był najniższy i gdyby nie zapadła się w nim głęboko, i gdyby Dorota i Sławek nie mieli swoich stałych miejsc przy stoliku ustawionym po przekątnej od niej, nie zauważyłaby, że jego ręka powędrowała pod blatem w kierunku spódnicy Doroty i jego dłoń przykryła jej dłoń. Marta się rozejrzała – chyba nikt poza nią nie mógł tego zauważyć.

„Jedna chwila szczęścia może być niekiedy nagrodą za lata gorczy”, powtórzyła w myślach za Dorotą. Więc to o to chodziło! Emerytowana polonistka, stara panna, zawsze taka oschła; Marta uważała, że wbrew temu, co Dorota mówiła, nie była w życiu spełniona. Może i nauczanie było jej powołaniem, ale samotność już chyba nie. „Zresztą czym powołaniem jest samotność?” Byłoby super, gdyby tu, w klubie czytelniczym, znalazła tę „chwilę szczęścia”, no pewnie, że tak. W takich miejscach spotykają się ludzie, których łączy wspólna pasja, to zawsze dobrze rokuje związkowi. Ale Sławek? Pał sześc, że nie pasowali do siebie, tak na pierwszy rzut oka, miłość w końcu chadza różnymi ścieżkami. Rzecz w tym, że Sławek miał żonę. I Dorota też przecież o tym wiedziała, bo powiedział to podczas jednego ze spotkań. Marta dobrze to zapamiętała, bo żona Sławka pracowała w Ministerstwie Telekomunikacji czy coś takiego, była po politechnice i lubiła tylko literaturę popularnonaukową. I wtedy Marta pomyślała, że w takim

razie się nie dobrali. Teraz może Sławek się dobrał, wbrew pozorom, ale romans?... I to w tym wieku?... „Wiek nie ma nic do rzeczy”, sama się upomniała. „Ale zdrada tak”. A może Dorota jednak tego nie wie? Kiedyś dopadł ją jakiś paskudny wirus, przez dwa tygodnie jej nie było. Może to właśnie wtedy Sławek powiedział o żonie?...

– „Dom to idea i, podobnie jak Arkadia, jest to idea zagubiona gdzieś w odległej przeszłości”.

„No nie!” To był Sławek. Teraz Marta się naprawdę zirytowała. „Gdzie ci się ten dom zagubił?”, pomyślała ze złością. Miała okropną pokusę, żeby rzucić coś kąśliwego, ale odpuściła. Po pierwsze dlatego, że to jednak ich prywatne sprawy, nie będzie się wtrącała. Gdyby Dorota była jej przyjaciółką, no to może wtedy by jej powiedziała. A tak... Po drugie dlatego, że nagle sobie pomyślała, i to nie była miła myśl, jak wszystkie, które przychodzą nieproszone, że jest po prostu zazdrosna. Może i lekko zniesmaczona, ale bardziej oburzona. I to wyższościowo, bo oni, tacy niemłodzi i tacy dziwni, a się spiknęli, a ona – no czego jej brak – i sama. Nagle ta jasność i otwarcie, o których mówił ojciec, zniknęły.

– Ja też to pamiętam. – Ucieszyła się Justyna. – To trafne porównanie, ale według mnie, to znaczy biorąc pod uwagę tekst, nie jest do końca pesymistyczne.

Eryk pokiwał głową. Sławek też. I nawet Dorota.

„Co tu się dzieje?”, pomyślała.

– „Jestem odmieńcem – poskarżyła się doktorowi Kelletowi. – No cóż, ktoś musi nim być – odrzekł”.

Jacek. Tym razem zaległa cisza. Zupełnie jak wtedy, kiedy Jacek opowiadał o tym, jak się poznali. Że w Szczęśliwej Krowie, gdzie on czekał na kogoś, to znaczy na chłopaka. Marta skupiła się wtedy na tym, żeby nie rozwinął wątku ogłoszenia. Wydawało jej się, że ma na twarzy wypisane, że to ona powiesiła ten plakat. I że do niej też nikt nie przyszedł. Klubowicze jednak nie pociągnęli tego wątku, zapewne speszeni wyznaniem Jacka, że umawia się z facetami.

– Panie Jacku, to zapewne... osobisty odbiór. – Dorota była szczerem delikatności.

Sławek znowu pogłaskał ją po dłoni.

– Wtedy, kiedy pana poznaliśmy, opowiedział nam pan o ogłoszeniu...

Marta zdrętwiała. Naprawdę nie chciała, żeby wracali do tego tematu.

Nagle zrobiło się ciemno.

– A co to? – zdziwiła się Dorota.

– Prąd wyłączyli. – Sławek stwierdził oczywistość.

– Może biblioteka nie zapłaciła rachunku za elektryczność? – Zaśmiała się Iwona.

– Nie, to chyba większa usterka. – Eryk włączył latarkę i podszedł do okienka. – W blokach naprzeciwko też jest ciemno.

– Hej, jesteście? – Usłyszeli głos Piotra.

– Jesteśmy. Trudno by było teraz wyjść – odpowiedziała Marta. – Co się stało?

– Nie mam pojęcia. Czekam na połączenie z energetyką, ale to grubsza sprawa. O, momencik... – i już ciszej kontynuował: – Dzień dobry, dzwonię z... – Po chwili usłyszeli: – Duża awaria. Drzewo spadło na sieć, kable zerwane. Przewidują, że naprawa potrwa dwie godziny.

– No to chyba kończymy nasze dzisiejsze spotkanie. – Marta, po chwilowym oszołomieniu, ucieszyła się z takiego obrotu sprawy. Temat odmienności Jacka i powiązanego z nim ogłoszenia właśnie się oddalił, co było wystarczającą rekompensatą za niedokończony wieczór klubowy.

Po chwili w sali rozbrły światła telefonów. Wszyscy zaczęli się zbierać.

Marta została dłużej; posprzątali z Piotrem to, co mogli, wspierając się dwiema dużymi świeczkami, które do tej pory odgrywały wyłącznie ozdobną rolę. Marta postanowiła wpaść do biblioteki w sobotę, żeby umyć talerze i kubki. Piotr wyszedł pierwszy, bo się spieszył na autobus, ona obiecała zamknąć bibliotekę.

Ktoś zdążył już ustawić na parterze klatki duży świecznik, więc bez większych problemów trafiła kluczem do dziurki, a potem pokonała

kilka schodów dzielących ją od wyjścia na zewnątrz.

Było przedziwnie. Okoliczne okna były czarne, w nielicznych błąkały się płomienie świec. Latarnie zgasły. Neon domu kultury nie świecił. Oddalone centrum handlowe było oświetlone, ale błysk był słabszy niż zwykle.

I wtedy Marta zobaczyła coś, co zdumiało ją jeszcze bardziej niż każde z dzisiejszych wydarzeń z osobna i wszystkie razem wzięte.

Było ciemno, ale nie myliła się. Tę sylwetkę, kozaki na szpilce i rozpuszczone włosy rozpoznawała nawet bez pełnego oświetlenia.

To była Kamila. Stała przy wypasionej terenówce, a obok niej znajdował się wózek inwalidzki z jakąś niedużą postacią, chyba dzieckiem. Kamila kucnęła przy nim, pocałowała je, a potem je podniosła i posadziła na tylnym siedzeniu.

„Wieczór małych cudów”, pomyślała wzruszona Marta.

ROZDZIAŁ 21



„Jak to możliwe?”, zastanawiał się Krzysiek. „W pracy superskupiona, superprofesjonalna. Jako organizatorka – świetna, poukładana, rzeczowa. W bliskich relacjach – taka... czuła”.

Stał przy oknie, opierając się o parapet. Byli na imprezie świątecznej. Do tej pory takie firmowe wigilie ograniczały się do pracowników, ale w tym roku nastąpiła zmiana. Aśka zasugerowała, żeby przyjść z kimś bliskim. W pierwszym odruchu lekko się zdziwił, ale zaraz potem pomyślał, że to fajny pomysł. Oni spędzają ze sobą po osiem godzin dziennie, czyli więcej niż z kimkolwiek, z kim mieszkają, zatem dlaczego nie stworzyć okazji do wspólnego spotkania? Bliscy poznają współpracowników, pracownicy – swoje koleżanki i kolegów z innej, prywatnej strony.

Impreza trwała ponad godzinę i zdecydowanie się rozkręcała.

Nie tylko Aśka zresztą wydawała mu się inna. Wszyscy, którzy przyszli z kimś, czyli zdecydowana większość, wyglądali na zadowolonych. Stali obok swoich połówek, obejmowali się, przytulali. Widział też, że „obcy” się integrują między sobą.

Tak, to był zdecydowanie dobry pomysł. On sam nałogowo zabierał pracę do domu, więc dlaczego nie zabrać domu do pracy?

Bez pary zjawily się trzy osoby: Robert z księgowości, który był skryty i o którym niewiele wiedział, tyle tylko, że jest zapalonym psiarzem zafiksowanym na punkcie swoich dwóch dogów („Jednak wykluczyłam czworonogi z listy gości”, zaśmiała się Aśka, choć kto wie, czy to był żart, ponieważ Robert trzymał na biurku zdjęcie

Maksa i Reksa – duże, w sporej ramce, adekwatnie do ich rozmiarów i do miejsca, jakie zajmowały w życiu swojego pana), Marzena, która niedawno się rozwiodła i deklarowała, że teraz „to sobie pożyje, żadnych skarpet na podłodze i niedokręconej tubki pasty do zębów na umywalce”, no i on.

Robert wyglądał jak zawsze – spokojny i trochę wycofany, Marzena rzeczywiście czerpała z życia garściami, a raczej haustami, chyba powinien podejść i delikatnie ją poprosić, żeby przystopowała z winem.

A on?

On chciał przyjść z Iga. Gdyby taki pomysł rozszerzenia imprezy firmowej pojawił się wcześniej, w ubiegłych latach, nie miałby kogo zaprosić. Żadna ze znajomości nie była na tyle zaangażowana czy ugruntowana. Był szefem, wiadomo, szef zawsze jest na świeczniku, więc chciał uniknąć sytuacji, że nim pracownicy przyzwyczajają się do jednej partnerki, on przychodzi z drugą.

Iga była na poważnie i przyszłościowo. Tyle tylko, że nie chciała przyjść. No, może nie powiedziała tego tak kategorycznie, ale po rozmowie na temat tej kolacji ostatecznie się nie zdecydowała. „Poniedziałek? Dziwny termin”; „A jaki właściwie będzie program?”; „Tylko twój dział?”. Miał niejasne przeczucie, że nie jest zainteresowana, bo wołałaby coś bardziej... znaczącego. Ożywiła się, gdy powiedział o spotkaniu menadżmentu, ale akurat na nie przychodzili bez osób towarzyszących.

Pomyślał wtedy, że... Zresztą nie wiedział, co pomyślał. Weekend był dziwny i pełen sprzecznych emocji. Wizyta u mamy się odbyła, to zdecydowany plus. Mama od dłuższego czasu była jego wyrzutem sumienia. Więc pojechał, i do tego z Iga. Bał się tego spotkania; to był normalny, lekki stres, w sytuacji, gdy się przedstawia sobie ludzi i chce się, żeby oni się zaakceptowali i – jeszcze lepiej – polubili. Tutaj jednak obawy nie były rozłożone po równo. Wiedział, że mama będzie oszczędna w komentarzach i że nawet jeśli Iga nie przypadnie jej do gustu, to absolutnie nie da tego po sobie poznać. Zresztą nie da tego odczuć także Krzyśkowi; zawsze była taktowna.

Albo raczej zawsze brała życie takim, jakie ono było. Natomiast co do Igi... Tak, bał się, że jego ukochana nie polubi jego mamy. Nie, to źle powiedziane – bał się, że Iga uzna, iż jego matka jest.. niewystarczająco dobra. Nieatrakcyjna. Mówiąc już najbardziej wprost, bo przecież mówił to do siebie, trochę się mamy... wstydził.

Wziął łyk wina.

Czuł się zagubiony.

Zdaje się, że to normalne – że facet jest pomiędzy matką a kobietą swojego życia. W sumie matka to też w pewnym sensie kobieta życia.

Wziął kolejny łyk.

No więc matka nic nie powiedziała na temat Igi, znaczy nic znacząco ważnego, same drobiazgi. Iga na temat mamy też nie. Padło natomiast dużo pytań i sugestii, które zmierzały do tego samego, co Krzyśkowi chodziło po głowie – żeby mama zmieniła miejsce zamieszkania, styl, potrzeby... Żeby była inna, mówiąc w skrócie. Inna, to znaczy pasująca do nich.

I znowu kieliszek powędrował do ust.

Tym razem jednak... A może to już wcześniej się stało, może przed poznaniem Igi Krzysiek miał takie prześwity w myśleniu? A może to jednak dopiero teraz, w kontrze, jakby naprzeciw? Pomyślał, że przecież akceptuje mamę taką, jaka ona jest. I że taką ją kocha, bo każda inna nie byłaby jego matką, tylko obcą osobą.

Wracał z Podlasia w dziwnym nastroju. Rozmowa się nie kleiła; nie, nikt się na nikogo nie obraził, ale czuć było, że Iga jest niezadowolona, że on tak odrzuca jej sugestie.

Gdyby mama miała takie pomysły na Igę, też by oponował. No ale ona nie miała.

A kiedy już byli w domu, czyli u niego, to wszystko to przestało mieć znaczenie.

Seks z Igą był absolutnie fantastyczny.

A jeszcze potem wróciła do siebie, no bo poniedziałek, rano do pracy itede, itepe.

– Nad czym się tak zastanawiasz?

Omal nie zalał sobie koszuli winem, a pił ciemnoburgundowe.

- Przestraszyłaś mnie – mruknął.
- To nie halloween. – Zaśmiała się Aśka. – Nie bawisz się dobrze?
- zapytała już poważniej.
- Bawię. Jestem tylko trochę zmęczony.
- Znowu cały weekend pracowałeś? – Spojrzała na niego z przyganą.
- Nie. Wręcz przeciwnie.
- Czyli balowałeś. – Uśmiechnęła się.
- Też nie.
- Ale balowanie to przeciwieństwo pracowania.
- Byłem u mamy.
- Miło.

Kiwnął głową. Aśka, mimo że była jego asystentką od czterech lat, niewiele wiedziała o jego życiu prywatnym. On się orientowała w jej układach rodzinnych, wiedział, co robi Paweł, jej mąż, jakie filmy lubią jej dzieci i czego nie lubią jeść, znał historie rodzinne. Ona nie miała takiego dostępu do jego prywatności. „Bo ty nie masz życia rodzinnego”, pomyślał.

- A teraz chodź się integrować. Taka rola szefa.
- Widzę, że świetnie się bawicie. Nawet beze mnie.
- E, no coś ty. Bez szefa dobrze? – Zaśmiała się. – Ale fakt, jest naprawdę okej. To był superpomysł, żeby przyjść z ukochanymi. Wszyscy ci, którzy są w związkach, stawili się z osobami towarzyszącymi.
- Tylko Marzena i Robert są w pojedynkę.
- Marzena odreagowuje. Może to trochę poza, a może nie. Odchorowała rozwód, ale od kilku miesięcy chodzi na terapię i chyba naprawdę ma inaczej w głowie poukładane, bo odżyła. Nie spieszy się jej do nowego związku i słusznie, bo najpierw powinna pobyć sama ze sobą. A Robert... – Zawiesiła głos.
- Co: Robert?
- Robert jest super. To fantastyczny facet. Kiedy byliśmy u niego...
- Wy się znacie, znaczy tak lepiej? – zdziwił się Krzysiek.

– Poznajemy się. Bo widzisz, w wakacje moje dzieciaki były u nas w firmie. Wiesz, przedszkole było nieczynne, moja mama się gorzej poczuła, Paweł nie mógł się nimi zająć, no to je zabrałam. Zresztą pamiętasz pewnie?

– Pamiętam. Było... ożywczo.

– No... Po kim one mają temperament?

– Pomyślmy... – Uśmiechnął się.

– W każdym razie w ramach oprowadzania ich po firmie odwiedziliśmy też Roberta. No i zobaczyły zdjęcia Reksa i Maksa. Wpadły w euforię i koniecznie chciały obejrzeć dogi na żywo. I w końcu zobaczyły, bo Robert nas zaprosił.

– I jak było?

– Cudownie. Psy są super, Robert jest super. W pracy byś nie powiedział. To znaczy powiedziałbyś, że miły, spokojny kolega. Ale prywatnie... No powiem ci, że prywatnie Robuś się bardzo rozkręca, dusza towarzystwa i kawalarz.

– Ciekawe, taka różnica...

Aśka spojrzała na niego znacząco.

– Ty nie wiesz?

– Czego nie wiem?

– Że Robek jest gejem.

Teraz on się zdziwił.

– Nie wiem. Do tej pory nie miałem pojęcia. No bo skąd?

– Skąd? No fakt, na czole nie ma wypisane. Poza tym on, tak czuję, ukrywa ten fakt. Wiesz, są ludzie odważniejsi, bardziej konfrontacyjni, którzy całymi sobą mówią: „Różnimy się”, ale do tego trzeba w tym kraju odwagi.

– Przecież ja bym nigdy...

– Wiem, Krzysiek, ale ty jesteś w bańce. Świat się nie ogranicza do naszej firmy. Zatem Robek ma taki styl i w sytuacjach publicznych jest skryty. W domu się odkrył. Poopowiadał trochę o sobie, wiem, że w zeszłym roku się rozstał, po kilkunastu latach, z partnerem, że długo do siebie dochodził, że uwielbia psy i dzieci, no ale dzieci nigdy nie będzie mieć, więc przelewa uczucia na psy. Złapał świetny

kontakt z moimi dziećmi. Widzieliśmy się potem jeszcze kilka razy. No i jeździmy wyprowadzać psy do schroniska. Taki wolontariat, rozumiesz. Robert też jeździ. Zresztą to z jego inspiracji nasza mała charytatywność...

– Kurwa – wyrwało mu się. – Sorry, Asia, ale ja znowu zapomniałem z tą biblioteką. To znaczy byłem tam, nawet dwa razy, prawie dwa, bo za pierwszym było zamknięte, ale za drugim już się załapałem, tyle że nie załapałem się na osobę, która mogłaby się tym zająć. Dostałem telefon i nie zadzwoniłem. Noż...

– Po prostu magia. – Zaśmiała się Aśka.

– Chyba czarna. Przepraszam cię, jest za dziesięć siódma, jeszcze powinni pracować, zadzwonię, żeby wreszcie mieć to z głowy.

– Jasne. A potem wracaj. Mamy świąteczną loterię. Wiesz, co można wygrać?

– No?...

– Książki właśnie. Też magiczny zbieg okoliczności, co? – Puściła do niego oko.



– Dzień dobry. Krzysztof Jonczyk z tej strony. Czy mógłbym rozmawiać z panią Martą?

– Dzień dobry. Niestety, Marta była dziś na pierwszą zmianę. Proszę zadzwonić jutro.

– To pech. Nie wiem, czy pan mnie pamięta. Byłem u was w bibliotece w sprawie akcji charytatywnej.

– Ach, to pan. Farmaceuta nie z apteki. – Bibliotekarz się ożywił. – No pewnie, że pamiętam. Cieszę się, że pan dzwoni, tylko, no właśnie, Marty nie ma. To proszę jutro, tylko nie między jedenastą a trzynastą, bo mamy wtedy dzieciaczki z przedszkola na lekcji bibliotecznej.

– No...

– Aha, a o piętnastej Marta ma krótką wizytę w domu kultury, obok, to z jakieś dwadzieścia minut jej zajmie. To może lepiej we środę? Ale zaraz, bo wtedy też coś jest, muszę zajrzeć do kalendarza. Wie pan, święta niedługo, to taki czas, że...

– A może mógłbym pana prosić o bezpośredni telefon do pani Marty? – Krzysztof wszedł mu w słowo, bo widział, że Aśka do niego macha, a poza tym czuł, że pan Piotr jest zaawansowanym gadułą.

– Bezpośredni? Znaczą komórkę? – zapytał bibliotekarz, już mniej wylewnie.

– Tak. Byłbym wdzięczny. – Krzysztof, który wyczuł nagle uszczytnienie, dodał: – Sam pan powiedział, że niedługo święta, a chcielibyśmy przecież, żeby nasza akcja się odbyła przed, a nie po. – Specjalnie użył liczby mnogiej, żeby wciągnąć pana Piotra do współpracy. – Prawda? – Dołożył na koniec to słowo, które miało ostatecznie przeważyć szalę zwycięstwa na jego stronę.

– Prawda... – odpowiedział powoli Piotr. – Ale to jednak telefon prywatny Marty. Nie wiem, czy ja mogę... rozumie pan?...

– Och, no tak, jasne, ale... – Gorączkowo myślał, czym przekonać tego faceta, żeby mu jednak dał ten numer. Do biblioteki może dzwonić w nieskończoność, zwłaszcza że tu ciągle coś, u niego też ciągle coś. No i nawali albo zwali to na Aśkę, w obu przypadkach głupio. – Ale ja również do pana dzwonię z numeru prywatnego. Do takich spraw każdy numer jest dobry, nie wszystko trzeba tak formalnie.

Bibliotekarz przez chwilę milczał.

– No dobrze – odpowiedział. Wszystko jedno, co go przekonało, grunt, że zmiękł. – To podam. Ma pan gdzie zapisać?

Krzysiek się rozejrzył. Wino, kieliszki, patery z owocami, tace z ciastami. Serwetki były, ale długopisu – żadnego.

– Cholera, nie mam. A może mi pan wyśle numer pani Marty SMS-em? Ze swojego telefonu? Jak prywatnie, to wszyscy. – Zaśmiał się, lekko nerwowo, odmachując Aśce, dającej coraz bardziej kategoryczne znaki, że na niego już czas.

– Dobrze. – Pan Piotr się wciągnął. – To proszę podać swój numer, ja akurat mam wokół mnóstwo papieru. Oczywiście miałem na myśli karteczki, nie książki, ha, ha.

– Ha, ha. No tak. To już podaję. – Krzysiek wyrecytował dziewięć cyfr. – I jeszcze służbowy, na wszelki wypadek. Bardzo dziękuję! Bardzo! – I się rozłączył.

Niedługo potem, gdy stał przy stole z równo ułożonymi książkami, poczuł piknięcie i zawibrowanie telefonu. Dyskretnie sprawdził – dostał wizytówkę. Odsunął się o dwa kroki od stołu, żeby ją zapisać.

– Szefie, niech szef wreszcie zostawi tę robotę. Kultura czeka – zawołał Maciek, ich informatyk.

– To prywatna komórka. – Aśka odróżniała aparaty.

Zgromadzeni przy stole znacząco prychnęli.

– Bardzo zabawne – mruknął, niby obrażony.

Zapisał wizytówkę bez otwierania jako Marta Bibliotekarka i wrócił do stołu.

– Jaki masz numer? – zapytała Aśka.

– Jaki numer? – zdziwił się.

– Przy wejściu, od razu, wszyscy losowali karteczki z numerami z dużego kosza wiklinowego. Ty na pewno też, bo sama tego pilnowałam.

– A, tak było. Zaraz, zaraz... – Sięgnął do kieszeni. – To będzie...

– Wysupłał pomietą już trochę karteczkę. Rozwinął ją i zaczął rozklejać brzegi.

– Jedenaście – odpowiedziała Aśka.

– Skąd wiesz? To jakiś dęty konkurs.

– Żaden dęty, po prostu tego numeru nie ma nikt inny, a wszyscy grzecznie tu stoją. – Uśmiechnęła się. – W taki razie ten tytuł wędruje do ciebie. – Schyliła się do stolika i podała mu książkę.

Rozpoznał ją. To była ta książka z galerii handlowej. I z biblioteki, gdy pytała o nią ta kobieta z dziećmi. *Jej wszystkie życia*.

„Dziwne”, pomyślał. „Ten świat bywa taki mały”.

ROZDZIAŁ 22



– Bardzo ładnie wyglądasz, mamo.

Marta była zdumiona zarówno faktem, że prawi mamie komplement, jaki i tym, że jest rzeczywisty powód, by go wypowiedzieć.

Pierwszy szok wynikał z tego, że mama od lat się nie zmieniała. Charakter to jedno, ale wygląd też nie ewoluował. A teraz...

– Pani Alinka była na jakimś szkoleniu? – zdziwiła się.

Mama nie miała na głowie zwyczajowego, natapirowanego hełmu, który zapewne mógłby jej uratować życie, gdyby spadło na nią coś ciężkiego, tak był zalakierowany.

– Ach, Alinka złamała sobie palec, kiedy myła okna. Ona zawsze jest taka porządna, na święta wszystko musi błyszczeć. – Spojrzała znacząco na okno w kuchni Marty. O dziwo jednak, dalsza wypowiedź nie objęła tym razem wykładu o powinnościach dobrej gospodyni. – Czasem jednak los nam daje znaki ostrzegawcze. I tak było z Alinką. „Coś mi szepnęło: odpocznij sobie, jutro pomyjesz”, tak mi powiedziała. No ale, niestety. I prawa dłoń w takim stabilizatorze, praca w salonie wykluczona. W najgorętszym okresie, wyobrażasz sobie?

Szczerze mówiąc, Marta sobie nie wyobrażała. Do fryzjera chodziła dwa razy w roku, podciąć końcówki. Nie czuła jednak potrzeby, by polemizować z mamą.

– Już się zamierzałam załamać, że zostanę bez fachowej fryzjerki, ale Alinka zaproponowała, żebym poszła do Eweliny. Nowa

pracownica, zaczyna dopiero, taka młodziutka, ale powiem ci, że ma talent..

Rzeczywiście. Mamie ubyło z dziesięć lat. Włosy miała ładnie ułożone, lśniące, może nawet lekko zwichrowane, jakby je wiatr delikatnie potargał.

– Alinka ostrzegła, że ona całkiem inaczej czesze i tnie, ale że klientki zadowolone, zwłaszcza te młode. A ja co, stara jestem?

Marta wołała nie psuć miłej chwili, więc nie przypomniała mamie, że do tej pory zawsze była stara, co więcej – nad grobem.

– Nie, no skąd. W pełni sił, mamo.

Mama się rozpromieniła.

– Też do niej idź. Żebyś mnie nie postarzała. Hi, hi.

Marta przetarłaby oczy ze zdumienia, gdyby nie to, że wytuszowała rzęsy. Dziś miała intensywny dzień, więc dla poprawy humoru i animuszu zrobiła sobie rano lekki makijaż.

– No, może...

W sumie?... Matka naprawdę miała super tę fryzurę. Gdyby jeszcze z ciuchami spasowała i wybrała coś innego. Mniej porządnego.

– A wiesz, że ta pani Ewelinka to mi jeszcze doradzała w sprawie ubrania? Pokazała w komórce Instagram takiej modelki, która jest starsza ode mnie. Nie dość, że nie farbuje włosów, to jeszcze się ubiera tak, że... Potem znajdę, to też ci pokażę.

– W weekend, jak będę na obiedzie – zaproponowała Marta.

– Właśnie! – Mama ożywiła się jeszcze bardziej. – Maszynka już działa, oprócz pasztetu zrobię też kluski z orzechami mielonymi. Wszystko mi mieli, świetna jest. Mi.. pan Mirek tak na glanc zamontował!

– A, czyli jednak był. – Marta się usztywniła. Żeby tylko mama dała sobie spokój z tym swataniem.

– Był. To bardzo życzliwy człowiek. A jaki rozmówca! I do tego świetny kucharz.

– Bardzo miły kolega. – Marta zaakcentowała tego kolegę.

Mama spojrzała na nią i się uśmiechnęła.

„Oj, mamó”, westchnęła Marta w duchu, „co ci tam po głowie chodzi?”.

– Prawda? I dlatego jego też zaprosiłam na ten sobotni obiad. Żeby się odwdziżyć. Poza tym on jest samotny, rozumiesz..

Rozumiała, niestety, rozumiała.

Usłyszała dzwonek telefonu.

Spojrzała na wyświetlacz. Nie знаła tego numeru, co mogło oznaczać, że...

„Cholera, trzeba było zerwać ten głupi plakat. Najwyraźniej żartownisiów nie brak. I nawet komuś się udało odczytać rozmazane cyfry”.

– Nie odbierzesz, kochanie? – Mama była uosobieniem życzliwości.

– Nie, to pomyłka – odburknęła.

Humor całkiem się jej zepsuł.



Są na tym świecie rzeczy zmienne i niezmiennie.

Zmienna jest na przykład pogoda i, niestety, klimat. Zmienne są wyniki wyborów i zmienny jest prąd.

Niezmiennie są prawa fizyki, tabliczka mnożenia, urok Hugh Granta i nawyki kulinarne matki.

Stop – to ostatnie właśnie się zmieniło.

Po pierwsze – wystrój.

Do tej pory mama przyjmowała Martę w wersji codziennej lub odświętnej. Pierwsza była kuchenna, ceratowa, druga – salonowa, wykrochmalona.

Po drugie – menu.

W obu przypadkach potrawy były mięsne, a dla Marty, wegetarianki, zostawało to, co mięsem nie było, plus nieśmiertelna propozycja: „Mogę ci jajko usmażyć, no bo co innego? Albo makaron z sosem pomidorowym”. Mama uważała, że człowiek potrzebuje

mięsa, i zawsze dawała Marcie odczuć, że zachowuje się nieracjonalnie, pozbawiając się cennego białka.

Tak było do tej pory, bo dziś z kuchni pachniało curry („kupiłam tofu, bardzo interesujący produkt i smak, zrobiłam je w sosie orientalnym, chyba lubisz, coś kiedyś mówiłaś”), a na stole Marta zobaczyła kilka misek z warzywną zawartością.

Stół też wyglądał odmiennie. Błatu nie zakrywała śnieżnobiała serweta, która zawsze deprimowała Martę, ponieważ każda, najmniejsza nawet kropla, która na nią skapnęła, była przyjmowana ciężkim westchnięciem i natychmiastowym posypywaniem solą. Zamiast tego mama położyła kraciasty, trochę piknikowy obrus. „W angielskim stylu”, pomyślała Marta. Do tego angielskiego stylu pasowałby Hugh, w chinosach i błękitnej koszuli, na którą włożyłby cienki wełniany sweter, na przykład czerwony lub granatowy. Bardzo ładnie by się to wszystko komponowało.

Niestety, zamiast Hugh przy stole siedział Mirek. Mirek był we flanelowej koszuli i zamszowej marynarce. Komponował się z mamą, która – nie do wiary – nie była w spódnicy długości do pół łydki, fason trapezowaty, trochę niedopowiedziany, tylko w dżinsach i sweterku typu nietoperz.

– O, cześć! – Marta wiedziała, że Mirek będzie na obiedzie, a mimo to była zdziwiona. Nie jego obecnością, ale tym, że zjawił się przed nią. Że wyglądał na całkiem zadomowionego.

– Cześć, dzień dobry! – Wstał i podszedł do niej. Cmoknął ją dwa razy w policzek i ścisnął za ramiona. Bardzo kumpelsko.

– Chyba się nie spóźniłam, prawda? – Marta spojrzała na zegar. Były dwie minuty po trzeciej, czyli przyszła przed wyznaczoną godziną.

– Nie, skąd, to ja się zjawiłem ciut za wcześniej. I teraz to odrobuję, bo się okazało, że Teni zabrakło oliwy, w kuchni czeka misa sałaty z suszonymi pomidorami i serem feta, a sosu za mało.

– Wiesz, gdzie ten sklep? – zapytała mama.

– Tak, za rogiem. Za prawym rogiem. – Mirek żwawo przeszedł do przedpokoju. Marta zauważyła, że jest w kapciach. Czyżby mama

przez tyle lat trzymała kapcie ojca? E, nie, zresztą Mirek był wysoki i nosił duży rozmiar buta, a ojciec był sporo niższy i miał proporcjonalnie mniejszą stopę.

Drzwi się delikatnie zamknęły.

– Zajrzę do kuchni. – Mama ją wyminęła. Marta dostrzegła stopki, bawełniane, dochodzące do kostki, w jakiś wzorek pasujący kolorystycznie do bluzki-nietoperza. W tym domu działy się dziwne rzeczy. Poszła za matką.

Teraz zapach był jeszcze wyraźniejszy i bardzo apetyczny.

– Jak w indyjskiej knajpie – powiedziała Marta.

– Och, no to się cieszę. Przepis wzięłam z Internetu, z takiego bloga kulinarnego faceta, który nałogowo jeździ do Indii. Super! Jaka to pasja i zapał. On już nie jest taki młody, po sześćdziesiątce, ale niejeden młodzik mógłby brać z niego przykład. I ma też przepisy właśnie, bardzo dużo wegetariańskich. A do tego podpowiada, gdzie co kupić, i ci powiem, że to nie są jakieś wyszukane produkty. To znaczy ja ich nie znam, ale skoro są u nas na osiedlu w supermarkecie, to znaczy, że ludzie kupują i gotują. Chodź, skosztuj, bo nie wiem, czy jeszcze dodać mleka kokosowego, czy może raczej trawy cytrynowej?...

Marta podeszła do kuchenki i nachyliła się w kierunku wyciągniętej w jej stronę łyżki z odrobiną sosu. Był boski. Talent kulinarny matki nie ograniczał się do pieczeni rzymskiej i sznycli z cebulą, Marta zawsze to przeczuwała. Problemem było to, że mama miała ograniczony repertuar i była zaimpregnowana na nowości. Zresztą ta impregnacja nie dotyczyła tylko kuchni – całe życie matki było zakonserwowane, jak wiekowa jesionka naftaliną.

– Pyszne jest – powiedziała. Absolutnie szczerze i z zachwytem.

– No to się cieszę. Wybrałam sobie kilka innych przepisów, również bezmięsnych, i będę próbować swoich sił. I w ogóle ci powiem, że powchodziłam sobie też na inne blogi kulinarne i jestem wprost oszołomiona i zachwycona.

„Zachwycona”. Kiedy mama była ostatnio „zachwycona”?

– „Śledzik z boczniaków”. Popatrz, co to można wymyślić. Też się pokuszę i spróbuję zrobić. Zjadłabyś? Mało tradycyjna potrawa świąteczna, ale co tam.

– Ale chyba już zrobiłaś tradycyjnego śledzia, prawda?

– Zrobiłam – zgodziła się mama pogodnie. – Nie zmarnują się.

Marta spojrzała na parapet, gdzie stały cztery, odwrócone denkami do góry, słoje ze śledziami w ziołach i cebuli. „Do Wielkanocy wystarczą”, pomyślała.

– I wiesz, pomyślałam sobie jeszcze, tak à propos świąt, że może w tym roku trochę byśmy zmienili... skład osobowy.

„Skład osobowy”. Co można zmienić w składzie, który się składa z dwóch osób? Że nie przyjdzie Marta czy mama?

– Święta to czas bliskości i pojednania.

Marta patrzyła na mamę, powoli przesuwając wzrok od tych krótkich skarpetek przez džinsy po fikuśny sweter.

Mama zauważyła to spojrzenie.

– A, właśnie, bo nie zapytałam, a ty nic nie powiedziałaś. Nie wygłupiłam się za bardzo z tym strojem?

Po jej minie było widać, że wcale tak nie myśli, tylko się kryguje.

– Nie, skąd. Wyglądasz tak... inaczej.

Marta bała się, że za „młodziej” mama mogłaby się obrazić, bo to by znaczyło, że wcześniej wyglądała starzej.

– Pani Ewelinka. To z jej inspiracji. Przysłała mi na mejla zdjęcia, a kiedy powiedziałam, że mi się podoba, to mi zaproponowała, że nawet pójdzie ze mną do sklepu. W czwartek miała pierwszą zmianę, to się umówiliśmy w tej galerii handlowej niedaleko biblioteki. Zwykle ją omijałam, bo taka... ja wiem – nowoczesna, głośna i nastawiona na młodych. Cóż, to był pochopny osąd.

„Pochopny”. Marta uszczypnęła się delikatnie w wierzch dłoni. Czy naprawdę usłyszała to, co usłyszała?

– Powiem ci, że ja sama bym do tych sklepów nie weszła. Wydałyby mi się nieodpowiednie dla mnie. I na pewno bym nie spojrzała w kierunku džinsów czy takiego swetra. – Wysunęła jedną nogę do przodu i podniosła rękę. Marta zauważyła, że mama jest

zgrabniejsza, niż próbowała jej to wmówić swoimi „porządnymi” ubraniami. Nogi wyglądały ładnie, ciemnoniebieski materiał dżinsów i klasyczny krój były ponadczasowe, a sweter podkreślał biust, subtelnie zakrywając talię. – A te skarpetki... Ale ci powiem, że dopiero teraz zwróciłam na to uwagę – jak ktoś siedzi i między taką wyciągniętą skarpetką a mankietem spodni jest przerwa, to nie wygląda to dobrze. I noga się wydaje krótka. – Mama zrobiła lekki wymach. – Byłyśmy też w sklepie zoologicznym. Pani Ewelinka musiała wejść, bo potrzebowała karmy dla swojego psa, ta jej suczka jest staruszką i potrzebuje czegoś specjalnego. I tam poznałyśmy, znaczy ja poznałam takiego miłego mężczyznę, który odbierał jedzenie dla psów podarowane przez klientów tego sklepu. Regularnie to robi, zjawia się co tydzień. I znowu się zdziwiłam, bo raz, że taka fajna akcja, bo to do schroniska, a dwa, że ten facet był taki miły! Obcy zupełnie, a tak sobie fajnie pogadaliśmy. Ma dwa dogi, wyobrażasz sobie? To podobno cudowne psy, bardzo je lubi, dba o nie, bo też wymagają specjalnego jedzenia. I chciałby, żeby inne psy miały choć namiastkę tego, co jego dogi. No, ale wracając do stroju, to wyglądam całkiem, całkiem, prawda? – Spojrzała na córkę.

Marta próbowała strząsnąć z siebie oszołomienie.

– Mamo, wyglądasz naprawdę super. I w ogóle jesteś taka inna... ożywiona. Coś się stało? Znaczy nie zrozum mnie źle, ale... No różnie wcześniej bywało.

– No cóż... Może? A, poczekaj, bo się zrobiła taka dygresja z tymi zakupami. Więc wracając do składu osobowego, to pomyślałam sobie, że może w tym roku trochę inaczej by wyglądała nasza wigilia, co?

Marta pomyślała, że ostatnie, przeciwko czemu by oponowała, to zostawienie wigilii w dotychczasowym kształcie. W sumie to bez przykrości by ją skasowała. Ale jaki pomysł na święta mogłaby mieć najzagorzalsza przeciwniczka świąt, czyli mama?

– Jestem już! – W progu pojawił się Mirek, triumfalnie trzymając w ręku butelkę oliwy. Postawił ją na stole. – Umyję ręce i zaraz do

was wracam. – Wycofał się do łazienki.

– Właśnie – powiedziała mama. – Pomyślałam sobie, że nie powinniśmy już obchodzić świąt tylko we dwie. Niby mamy puste nakrycie dla przypadkowego wędrowca, ale...

„Ale by nie wytrzymał tej ołowianej atmosfery”, Marcie przeleciały przed oczami migawki wspomnień ze świątecznych dni ubiegłych lat. Brrr!

– Dlatego postanowiłam zaprosić Mirka.

„No tak!” Więc po to było to wszystko, te opowieści o zakupach, spodniach, Ewelince, karmie i schronisku – żeby uspić czujność Marty. I żeby znowu wrócić do zamkniętego przecież tematu nieswatania jej z Mirkiem.

– Mamo... – zaczęła chyba zbyt energicznie, bo mama spojrzała na nią jakoś dziwnie. – Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

– Dlaczego? – Mama trochę się speszyła, ale widać było, że nie zamierza oddać pola bez walki.

– Tłumaczyłam ci. – Marta poczuła, że robi się lekko różowa. Naprawdę się zirytowała. A może rzeczywiście te hormony nie działały jak trzeba?... E tam z hormonami, to też mama próbowała jej wmówić. – To bez sensu. Nie możesz myśleć tylko o tym, co ty byś chciała, co ty uważasz, co tobie się podoba. Weź czasem pod uwagę zdanie i uczucia innych ludzi, dobrze?

Mama patrzyła na nią, jakby nic nie rozumiała. Nie udawała, nie da się zagrać takiego spojrzenia.

– Mamo. – Marta podeszła dwa kroki bliżej i spojrzała mamie głęboko w oczy. – Nie jestem zainteresowana Mirkiem. Nic z tego nie będzie, rozumiesz?

– Rozumiem – odparła. Wciąż wyglądała na szczerą i przejętą, ale jakby odprężoną. – Dlatego pomyślałam sobie, że skoro tak, to może, ja, to znaczy my, to znaczy ja i Mirek...

– Jestem. – Mirek wrócił z łazienki. – Gotowy do działań. Sałata zmieszana? – Spojrzał na drewnianą misę na stoliku.

Marta pomyślała, że zmieszana w tym towarzystwie jest tylko ona. Nawet więcej: wstrząśnięta.



Jechała do domu w dziwnym nastroju. Nie wróciły już do tego tematu. Mama skutecznie unikała jakichkolwiek nawiązań do przerwanej rozmowy, Mirek też w żaden sposób nie próbował jej powiedzieć, że się przerzucił z matki na córkę. Starła się przeanalizować całą sytuację i wyszło jej, że w sumie to od początku mama była zainteresowana Mirkiem. To znaczy, oddając sprawiedliwość, od momentu, gdy Marta wyznała, że ona nim zainteresowana nie jest. To miłe zagadywanie u Marty w domu, potem prośba o numer telefonu, pomoc przy maszynce do mięsa... A jeszcze później Marcie przyszło do głowy, że faza tej znajomości jest bardziej zaawansowana – kapcie, znajomość topografii osiedla (sklep za prawym rogiem) świadczyły o tym, że Mirek czuje się u mamy całkiem swobodnie.

Marta posunęła się nawet do tego, żeby przejrzeć szafki w łazience. Odkręciła wodę i szybko otwierała kolejne drzwiczki. I bingo! Lewa górna szafka, gdzie mama trzymała rzeczy na zapas. Była tam – nowa szczoteczka. Można by uznać, że jest dla mamy, ale ta miała ciemnogrnatowy kolor, a mama wybierała zawsze czerwienie lub róże. Jeszcze była w folii, więc...

„Cholera”, zaklęła w duchu. Przejechała swój przystanek. Musi wysiąść na następnym, przy galerii, i się cofnąć.

Przeszła przez skrzyżowanie, myślami wciąż błądząc wokół mamy i Mirka. Powinna być zadowolona, przecież to była supersprawa. Mama wyraźnie odżyła. Przez tyle lat zakonserwowała się w uczuciowej stagnacji i marudzeniu, że Marta już nie widziała światełka w tunelu, a tu – proszę. A może to nie było do końca tak, że mama nie chciała sobie ułożyć życia, tylko, jak to przebaknęła niedawno, nigdzie nie było okazji do poznania jakiegoś „porządnego” pana. Co do tego ostatniego Marta absolutnie się zgadzała. Przecież ona sama się z tym borykała. Dom-praca-dom-praca. Niby miała

zawód, w którym nie można narzekać na brak kontaktów z ludźmi, ale czytelnictwo w Polsce było zdominowane przez kobiety. A już na pewno to biblioteczne...

Znajdowała się na wysokości galerii handlowej. Przez moment się zawahała. Musiałaby przejść obok przystanku z tą tablicą, gdzie wisiało jej ogłoszenie. Z jednej strony chciałaby sprawdzić, czy ono wciąż tam wisi, a jeśli tak, to w jakim jest stanie, a z drugiej – na złodzieju czapka gore. Trochę to było absurdalne, bo nie zrobiła nic złego, może ciut szalonego czy lekkomyślnego, zresztą kto by miał o tym wiedzieć? Nie ma na czole tego wypisanego. Po prostu nie miała ochoty się w ogóle zbliżyć do tej tablicy, dlatego nie wybrała prostszej i krótszej drogi wzdłuż ogrodzenia bazarku, przy przystanku i potem od razu, na ukos, w głąb osiedla, tylko postanowiła obejść centrum handlowe od strony głównego wejścia. Nadłoży trochę drogi, nie szkodzi, nawet dobrze. Mama, widać nowa sytuacja uczuciowa jej służy, przygotowała tyle dobrych, bezmięsnych rzeczy, że Marta jadła i jadła. Może byli ludzie, którzy mieli ściśnięte żołądki, gdy się denerwowali, ale ona na pewno nie należała do tej grupy.

Chyba właśnie skończył się seans w kinie, bo z bocznego wyjścia zaczęły wychodzić grupki ludzi.

Marta była w tym kinie kilka razy. Zwyciężała bliskość, to była właściwie jedyna zaleta. Bo oprócz tego grano tu jednak przede wszystkim modną komercję, a do tego wszędzie się unosił zapach popcornu. Lubiła popcorn, robiła sobie go czasem w domu, ale z tym zapachem było jak ze zbyt intensywnymi perfumami – trzeba szanować ludzi i nie skazywać ich na przesiadywanie w oparach, które mogą być im przykre. Poza tym czy naprawdę się nie da wytrzymać półtorej godziny bez jedzenia?...

Pary, grupki. Nikogo w pojedynkę. Ten świat nie był dla samotnych ludzi. Westchnęła. Nagle zawiąło. Postawiła kołnierz płaszcz. Z tej strony była wystawiona na silne podmuchy wiatru. Przyspieszyła. I wtedy zobaczyła Eryka. Stał zaraz przy wyjściu, oświetlony mocnym światłem lampy zamontowanej nad drzwiami.

„Ciekawe”, pomyślała, zatrzymując się. Ona, w przeciwieństwie do gości galerii handlowej, znajdowała się na słabo wyposażonym w lampy chodniku; mogła sobie do woli go obserwować.

Nieśmiały Eryk w multipleksie. Ciekawe na czym? Podniosła głowę do góry. *Zakochaj się w te święta*, zobaczyła wielki baner reklamowy komedii. „On, na czymś takim w kinie”, zdziwiła się Marta. Nieśmiały, cichy, bibliofil informatyk na śmieszno-łzawej produkcji obliczonej przede wszystkim na emocje. A zaraz potem pomyślała sobie, że przecież on szuka tego samego, co ona. I że jest w tym lepszy, bo ma odwagę do różnych działań. Zapisał się do Nibylandii, chodzi do kina i nie przejmuje się, że jest (na razie) pojedynczy. Martę zdjęła nagła czułość. A może jeśli teraz podejdzie i się przywita, to jakoś się ośmieli do podobnych działań?... Może taka odwaga i szczęście, które może przynieść, są zaraźliwe? Tata coś podobnego mówił.

Zrobiła trzy kroki i zobaczyła, że drzwi się otwierają. Stała w nich... Justyna. Eryk podszedł do niej i objął ją ramieniem.

Marta osłupiała. No tego toby się... Chociaż?... Eryk zapisuje się do klubu czytelniczego, na pierwszym spotkaniu rozgląda się niepewnie, jakby mu czegoś brakowało, i faktycznie, brakuje mu Justyny, która do tej pory zawsze się spóźniała, a ostatnio – nie. Siedzą obok siebie, a teraz to...

Powinna się ucieszyć, przecież lubiła Justynę, polubiła też Eryka. Ukłucie zazdrości w sercu przeszkodziło jej jednak w tym altruistycznym kibicowaniu ich kielkującemu uczuciu.

„Daj spokój”, skarciła się w myślach. „Zazdrość jest paskudna”. Popatrzyła na nich, jak, wciąż objęci, idą w jej kierunku.

Natychmiast ruszyła do przodu, w stronę stacji benzynowej. Trudno, nadłoży jeszcze kawałek. Nie chciała ich teraz spotkać. Niech się cieszą sobą. Poza tym obawiała się, że nie będzie zbyt entuzjastyczna i jeszcze wyjdzie z niej ta nutka zazdrości.

Gdy mijała dystrybutory z paliwem, usłyszała dzwonek telefonu. O tej porze?... Wyciągnęła go z torebki. Ten sam, co poprzednim razem. Kolejny amator żarcików lub kolejne pudło.

„Durne ogłoszenie”, pomyślała ze złością, wrzucając dzwoniący telefon do torebki.

ROZDZIAŁ 23



„Spodobałoby się Idze”.

To była nieoczywista myśl. Byli w końcowej fazie spotkania świątecznego, już po deserze. Siedzieli w tej sali od blisko dwóch godzin w męskim składzie samej wierzuszki LabMedu. W tym roku Artur wybrał miejsce, które swoją elegancją i nowoczesnym wystrojem przebijało wszystko, co było do tej pory.

Takie okazje zawsze miały znakomitą oprawę, ale tym razem wszyscy byli pod wrażeniem. W samym centrum Warszawy, w pieczołowicie odnowionej kamienicy, gdzie trzy metry kwadratowe kosztowały tyle, ile kawalerka na Podlasiu, znajdowała się restauracja, w której właśnie pili smakowite wino. Materiały, dizajn, stylistyka – wszystko tu było przemyślane w najdrobniejszym szczególe. I gdyby miało doczepione metki z cenami, byłyby to ceny zwalające z nóg.

- Zamyśliłeś się? – Nachylił się do niego Artur.
- Słucham?... Trochę. – Krzysiek obrócił się w stronę szefa.
- A na jaki temat, jeśli to nie tajemnica?
- Teraz na temat tej restauracji. I tej kamienicy. Robią wrażenie.
- Prawda? – Artur się uśmiechnął. – Powiem ci, że jeśli nasze tempo rozwoju się utrzyma, to kto wie, może za dwa–trzy lata rozejrzę się za czymś podobnym. – Popatrzył na Krzyśka. – Do mieszkania – dodał, żeby był pełna jasność.
- Aż tak dobrze? – Krzysiek trochę się jednak zdziwił. Mniej więcej wiedział, jakie są wyniki finansowe firmy, mniej więcej wiedział, ile

zarabiał jego szef, i dokładnie wiedział, ile kosztują mieszkania w tej kamienicy.

Artur pokiwał głową.

– Jesteśmy na fali wznoszącej. Jeżeli nic nas nie zmiecie, to ho, ho! Ale nie myśl sobie, że profity są tylko dla wybranych. – Nachylił się do niego i puścił oko. – Miałem poczekać na sam koniec, ale... Wiesz, że firma bardzo cię ceni, damy ci to odczuć w różny sposób. Na przykład dokładając roboty, bo jak nie ty, to kto? – Roześmiał się. – Ale na poważnie – potrafimy docenić zaangażowanie, talent, wiedzę i oddanie. Dlatego w tym roku oprócz tradycyjnego bonusu, który zauważysz na wyciągu z konta, będzie coś jeszcze. Poczekaj. – Przechylił się w stronę oparcia krzesła i sięgnął po swoją marynarkę. – Otóż.. – Zanurzył rękę w wewnętrznej kieszeni; raz i znowu; trzeci raz także, zdecydowanie już nerwowo. W ten sam sposób sprawdził zawartość dwóch zewnętrznych kieszeni. – Kurwa, no! – zaklął cicho, ale wystarczająco głośno, żeby Krzysiek go usłyszał. – No nie wierzę. Nigdy mi się to nie zdarzyło. Zawsze wszystko mam pod kontrolą. Gdzie ja mogłem?... – Zmrużył oczy. Krzysiek przyglądał mu się z pewnym zainteresowaniem. Fakt, Artur był mistrzem organizacji, musiał się urodzić z terminarzem w ręku. Miał analityczny umysł, niezwykłą pamięć do szczegółów i upodobanie do porządku. – W hallu, gdy odkładałem kluczyki do auta. Poczekaj, zaraz się upewnię. – Sięgnął po telefon i wybrał numer. – Kiniu? Kochana, czy ja przypadkiem... A, no tak, jasne. Nie, nie. Zjawimy się za... – spojrzał na zegarek – ...pewnie za godzinę. Pa! – Odwrócił się w stronę Krzyśka. – Pierwszy raz mnie coś takiego spotyka, żebym zapomniał czegoś zabrać. I to czegoś tak ważnego.

– Powiesz wreszcie czego? – Krzysiek czuł się już wystarczająco zaintrygowany.

– Nie. Znaczący tak, za niecałą godzinę.



Pięćdziesiąt minut później jechali taksówką na Żoliborz, gdzie mieszkał Artur.

– Tu też się pozmieniało. – Krzysiek rozglądał się po otoczeniu. – Wydawało mi się, że to spokojna okolica, to znaczy tylko domy, ogrody, ładne kamienice, sady i spokój.

Artur kiwnął głową.

– Tak jest. Ale są i fajne knajpki, niektóre nawet bardzo. – Popatrzył na niego znacząco.

– Bardzo?...

– W sensie, że różne rzeczy się tam dzieją. Ale ta wiedza jest ci absolutnie zbyteczna, skoro masz kogoś... – Znacząco zawiesił głos.

– Czyli już wiesz. – Krzysiek udał, że wzdycha. – Aśka?...

– Będę milczał jak grób. A co do Aśki, to ci powiem, że jest niezwykle lojalna. Ale nieważne, skąd i kto. Ważne, że wiem. Więc przede wszystkim gratuluję, a teraz.. Tu, przy tej bramie, proszę – rzucił do kierowcy. – Chodź. – To było do Krzyśka. – Niech pan zaczeka, to nie zajmie długo, potem kurs na Powiśle, tak?

Krzysiek kiwnął głową.

Artur wstukał kod do furtki. Granitowymi schodkami podeszli pod wymalowane na czarny błyszczący kolor drzwi. Nad framugą powieszono warkocz z gałęzi świerkowych oplecionych białymi lampkami.

– Trudno uwierzyć, że za chwilę święta. – Krzysiek spojrzał na zielony trawnik.

– A, daj spokój. Całkowity brak atmosfery. Dlatego my wybywamy na Boże Narodzenie całą rodziną, do Austrii, wysoko w góry.

– Przyjemnie – powiedział Krzysiek.

– Mam nadzieję. I mam też nadzieję, że twój wyjazd będzie równie udany. – Otworzył drzwi do domu. Automatycznie zapaliła się lampka w korytarzu. – No jest, jasne! – Artur podniósł z małego stolika przy drzwiach błękitną kopertę. – W plany świąteczne się nie wcinam, bo wiem, jak jest – tu rodzina, tam rodzina, wigilia

u jednych, potem jazda do drugich, ale jak to szaleństwo już się przewali, to na pewno chętnie odpoczniesz. Należy ci się.

Krzysiek przejął od szefa elegancką kopertę.

– Otwórz. – Artur zachęcił go ruchem brody.

Krzysiek wyjął kartkę kredowego papieru złożoną na pół. Rozłożył ją. „Voucher na dowolnie wybraną z oferty wycieczkę dwutygodniową, wraz z osobą towarzyszącą, do zrealizowania z terminem wylotu do ostatniego dnia stycznia przyszłego roku”, przeczytał.

– Żebyś nie zwlekał z tym odpoczynkiem.

– I osoba towarzysząca też.

– Też.

– Bardzo fajnie. Dzięki, szefie, to naprawdę superprezent, nie spodziewałem się.

Artur wyciągnął rękę w jego stronę.

– Zadowolony pracownik, zadowolona firma. Dobrej nocy, Krzysiek. – Uścisnął mu dłoń.

Krzysztof zszedł po schodach, zamknął za sobą furtkę i wsiadł do taksówki.

– Na Powiśle proszę.

Kierowca odpalił auto. Ruszyli. Gdy wyjechali z małej uliczki, przy której był dom Artura, i wjechali na trochę większą, Krzysiek zauważył delikatesy, w których zawsze zamawiał ulubioną kawę. Z ostatniej przesyłki zostały pojedyncze kapsułki do ekspresu, a skoro już tu jest, a delikatesy są czynne...

– Przepraszam, czy mógłby się pan na chwilę zatrzymać? – zapytał kierowcę.

– Tu? – Facet skręcił głowę w stronę błyszczącego neonu. Przystanęli przy jakimś klubie. – Na chwilę? – dodał powątpiewająco.

– Nie, tam, przy tych delikatesach. – Krzysiek pokazał ręką. – A co to za miejsce? – zainteresował się.

– A, jak do sklepu, to jasne. A tu? No klub jest. Podobno modny. Tutaj tylko szyldzik, przechodzi się przez podwórko i w oficynie,

w piwnicach... No, różne rzeczy opowiadają. Jak tu przyjeżdżam czasem po klientów, w godzinach późnonocnych, bywa, że nad ranem, to się naoglądam i nasłucham. W każdym razie – zlustrował Krzyśka wzrokiem – pan by tu raczej nie pasował. Zatrzymam się tam, w bramie. – Krzysztof powędrował za jego wzrokiem. – Cofnę trochę i będzie gites. Nikt na razie nie wjeżdża i nie wyjeżdża.

– Zaraz będę. – Krzysiek wysiadł z auta. Szczelniej obwiązał szyję szalikiem. Śniegu nie było, ale zimno – i owszem. Nieprzyjemny, wilgotnawy podmuch wiatru owionął mu twarz.

Zobaczył, jak kierowca wrzuca wsteczny i przejeżdża kilkadziesiąt metrów.

W delikatesach, mimo pory, wcale nie było pusto, ale gęściej zaludnione rejony dotyczyły półek z alkoholami. Wziął pudełko z ulubioną kawą i poszedł do kasy.

Wyszedł ze sklepu, wypatrzył swoją taksówkę i skierował się w jej stronę. Tak, zdecydowanie było zimno. Krótki dystans, a ręce już zdążyły mu zmarznąć. Wcisnął szyję w kołnierz, swobodną dłoń wsunął do kieszeni. Drugą dociskał papierowe pudełko z kapsułkami kawy do kurtki.

I wtedy ją zobaczył.

To znaczy, najpierw zobaczył kobietę w kozakach na wysokiej szpilce, w czarnej miniówce i narzutce, pelerynie czy jak się to nazywało, obszytej puchatym, jasnym futrem.

Taką miała Iga. Mówiła mu nawet, z jakiego zwierzęcia to futro, i twierdziła, że, no niestety, żadne sztuczne futra nie grzeją tak, jak naturalne, więc dobrze zapamiętał.

Zresztą pozostałe szczegóły też się zgadzały z Igą: figura – długie nogi, krągłość pupy, bujne blond włosy spływające po tym futrze. I nawet to, że ta kobieta także nie nosiła czapki, jak Iga, „bo się fryzura psuje”.

Wszystko się zgadzało, z jednym wyjątkiem.

Ta kobieta zarzuciła ręce na szyję jakiemuś facetowi, z którym właśnie namiętnie się całowała, tuż przy tym błyszczącym neonie klubu.

A jedyny facet, z którym powinna i mogłaby to robić, czyli Krzysztof, stał teraz osłupiały na środku wąskiego chodnika.

Z nerwów zacisnął dłoń. Poczuł, że jego palce coś mną.

Wyciągnął to coś z kieszeni.

To była niebieska koperta z ofertą superurlopu dla dwojga.

Ponownie spojrzął w kierunku całującej się pary.

– Iga! – zawołał.

Obróciła się.

To była ona.

ROZDZIAŁ 24



– „Związki nigdy nie dostarczają nam wszystkiego, dostarczają niektórych rzeczy. Masz pełną listę rzeczy, których oczekujesz od drugiej osoby – zgrania seksualnego, powiedzmy, albo dobrej rozmowy, albo wsparcia finansowego, albo odpowiedniego poziomu intelektualnego, albo miłego usposobienia, albo lojalności – i wolno ci wybrać trzy z tych rzeczy. Trzy i koniec, może cztery, jeżeli masz szczęście. Tylko w kinie znajduje się partnera, który oferuje pełny zestaw. W realnym świecie musisz się zdecydować, z którymi trzema wartościami chcesz spędzić resztę życia, a potem poszukać tych wartości w drugiej osobie. Na tym polega życie. Nie widzisz, że to pułapka? Jeżeli będziesz się upierała znaleźć wszystko, skończysz z niczym”. – Marta odłożyła opasłą książkę na stolik obok.

– Jakie są wasze wrażenia po tej lekturze?

Wszyscy milczeli, co zdarzyło się na Nibylandii po raz pierwszy od dwóch lat, czyli od momentu jej powstania.

– Nie przeczytaliście? – Powiodła wzrokiem po twarzach zgromadzonych osób. – Wiem, że to gruba książka, dlatego termin ustaliliśmy dawno temu.

– Niefortunnie trochę – odezwała się w końcu Dorota. – To... trudna powieść. W sensie emocji – niesie potężny ich ładunek. I to akurat przed świętami... – próbowała zażartować, ale Marta widziała, że maskuje tą wesołością smutek. Dorota, która zawsze była powściągliwa w okazywaniu uczuć. Dorota, która zawsze na wszystko miała gotową profesjonalną odpowiedź.

– Ja faktycznie nie przeczytałem. To znaczy nie skończyłem jeszcze czytać, ale miałem mniej czasu niż inni, więc... – Eryk bezradnie rozłożył ręce.

Akurat co do niego, to Marta myślała, że jest po lekturze, bo był ewidentnie smutny. Ona też była rozbita, gdy kilka lat temu przeczytała *Małe życie*. Zwykle, kiedy proponowała swoim klubowiczom książkę, od lektury której minęło już trochę czasu, przed omawiającym spotkaniem czytała ją ponownie. Tego tytułu nie musiała.

– Jasne, jesteś usprawiedliwiony. – Kiwnęła głową.

– Ale mimo że nie skończyłem, to myślę tak, jak pani Dorota. Ten tekst przytłacza smutkiem.

– Życie nie jest jak wesołe miasteczko – stwierdziła Kamila.

– Choć chciałoby się – dodała Iwona.

– Chciałabyś całe życie kręcić się na diabelskim kole albo jeść watę cukrową? – Kamila odwróciła się w jej stronę.

– No, może niewłaściwie to ujęłam, ale nie chciałabym, żeby w życiu było tyle smutku, co w tej powieści. Nie zrozumcie mnie źle... ja... – Widać było, że walczy ze sobą; nerwowo przekręcała pierścionek zaręczynowy i obrączkę; patrzyła w czubki swoich butów. Nikt się nie odzywał. W końcu podniosła głowę. – Lubię, gdy książki dają nadzieję. Lubię książki z happy endem. Wcześniej w życiu może się dziać różnie, no takie jest życie, ale na sam koniec... Przecież to światełko w tunelu jest takie ważne... Właściwie nigdy nie mówiliśmy tutaj, po co czytamy książki. Więc ja je czytam po to, by zostawać z nadzieją. Czytam po to, żeby nawet wtedy, kiedy nie jest mi w życiu jakoś superdobrze, doznać otuchy, że są historie, które dobrze się kończą. I mimo że to nie są moje historie, choć czasem coś się w nich zaplącze i z mojego życia, to ta otucha jest moja, ona mi się udziela.

Marta patrzyła na nią zdumiona. To była chyba najdłuższa wypowiedź Iwony, jaką kiedykolwiek w tej sali usłyszeli. I na pewno najbardziej szczerą. I jeszcze jedno zdziwienie Marta odnotowała: Iwona – ciepła, wesoła przedszkolanka z dwójką urwisów –

potrzebowała otuchy, co znaczyło, że jej życie nie zawsze było tak różowe jak ulubiony przez nią kolor bluzek czy swetrów.

– Ale happy end nie jest potrzebny do tego, żeby mieć nadzieję. – Kamila miała teraz łagodny ton głosu. Patrzyła na Iwonę. – To znaczy nie taki oczywisty happy end. Często myślimy w życiu stereotypami – o tym, co jest szczęściem, a co nie jest. I na przykład szczęściem ma być rodzina, to znaczy mąż, żona, dzieci. A jak dzieci, to zdrowe. Wszystko jak z katalogu.

Marcie stanęła przed oczami scena sprzed dwóch tygodni, gdy zobaczyła Kamilę kucającą przy wózku inwalidzkim – więc to musiało być jej dziecko. Już wtedy zrobiło się jej głupio, że tak ją oceniała – cóż, jako raczej pustą i powierzchowną lalę. Nie głupią, na pewno nie, Kamila była inteligentną osobą, ale taką, która lubi proste przyjemności i nie ma zbyt wielu zmartwień w życiu.

– A kiedy dziecko rodzi się chore, chore w taki sposób, że jest inne od typowych dzieci, nie, że jest skazane na szybką śmierć, to jest dramat. Tak myślimy, prawda? – Powiodła wzrokiem po sali.

Wszyscy przytaknęli – z mniejszym lub większym przekonaniem, ale kiwnęli głowami.

– Właśnie. I ja też tak pomyślałam, kiedy urodziło mi się takie dziecko.

Cisza. Odpowiedzią było pełne niedowierzania milczenie.

– Koniec świata, nieszczęście, happy endu nie będzie. – Spojrzała na Iwonę.

– Ja nie chciałam, przecież nie wiedziałam... – Iwona była bliska rozplakania się.

– Skąd, oczywiście, że nie. – Kamila nachyliła się do niej i delikatnie poklepała ją po dłoni. – Zresztą przecież powiedziałam właśnie, że też myślałam w taki... oczywisty sposób. I może wciąż bym tak myślała, gdyby nie Zuzia? Ona zmieniła moje życie na lepsze. Ja wiem, że to niejest uniwersalna prawda, dla wszystkich, bo mnie stać na różne udogodnienia w życiu, dlatego mam czas dla swoich dzieci, bo Zuzia ma starszą siostrę, zupełnie zwyczajną. Ja mam taką sytuację, jak cała czwórka bohaterów *Małego życia* –

troski materialne nie determinują mojej codzienności. Ale nawet w tak wygodnej sytuacji finansowej akceptowanie różnych wolt losu nie jest oczywiste. – Uśmiechnęła się.

– Przepraszam cię. Ja sobie czasem myślałam, kiedy ty opowiadałaś o pani do sprzątanania czy ekipie od firanek, że jesteś wygodnica – powiedziała Iwona. – Drugi człowiek to jednak zawsze tajemnica. Niby się naczytałam tylu powieści obyczajowych, gdzie takie różne historie się wydarzały, a i tak myślę stereotypowo.

– Bo te powieści zwykle takie są. – Dorota wróciła do formy, ale, w kontrze do zwyczajowych, surowo wyrażanych opinii, teraz odezwała się łagodnym głosem. – Dają nam wciąż takie same historie z taką samą, łatwą pociechą. To może i na chwilę koi, ale potrafi też wywieść w pole. A potem, gdy człowiek przeczyta coś podobnego do *Małego życia*, czuje się zupełnie zagubiony i oszukany. I to jest moment i miejsce, by zapytać: które powieści nas bardziej zwodzą? Te pierwsze czy te drugie? W których jest, owszem, rzadko przyjemna, ale prawda? Które pomogą nam zmienić życie? – Dorota się zaróżowiła. Mówiła gładko, ładnie, mądrze, ale widać było, że ta wypowiedź poruszyła w niej jakieś czułe struny. Dziś nie była niezaangażowaną emocjonalnie nauczycielką prowadzącą wykład. Dziś była Dorotą, która, mówiąc o książce, mówiła także o sobie.

– Och rany. – Marta po raz pierwszy zagubiła się w roli moderatorki, ale też nigdy wcześniej literatura tak bardzo się nie splotła z życiem w Nibylandii. – Nie sądziłam, że ta książka tak mocno w was zarezonuje. Wybrałam ją, bo było o niej głośno, przetoczyło się wiele dyskusji, powstało dużo recenzji. Różnych, od zachwytów po krytykę. Miałam trochę wątpliwości, bo przed lekturą rzeczywiście powinno się ostrzec, że to nie jest tekst na poprawę humoru.

– Nie jest. – Jacek poruszył się na krześle. – Ja też czytałem tę książkę kilka lat temu, jak Marta. I całkowicie się w niej zatraciłem. Nie potrafiłem jej odłożyć, póki nie skończyłem. Coś jadłem, coś piłem, złapałem kilka chwil snu i znowu czytałem. Byłem wtedy

w takiej sytuacji, że mogłem sobie na to pozwolić. Pozwolić. – Zaśmiał się, a Martę przeszył dreszcz. To był cholernie smutny śmiech. – No więc mogłem sobie pozwolić na takie ciągłe czytanie, bo nie miałem pracy, właśnie mnie zwolnili. W sumie nie dziwiłem się, kto by chciał gościa, który ciągle ma jakieś problemy, doły, depresje. Nie ma takiej choroby jak depresja, jest tylko nieumiejętność wzięcia się w garść, lenistwo, zły nastrój albo ma się za mało ruchu. Prawda?

Marta i Kamila jednocześnie pokręciły głowami.

– Właśnie. Nieprawda – powiedział Jacek. – A ja miałem wtedy taki czas i nie pasowałem do działu marketingu w dużym koncernie kosmetycznym. Kiedyś, zanim poszedłem do urzędu, byłem pracownikiem korpo. Sprzedawaliśmy tam ludziom dobre życie, na pewno nie małe, a tu koleś, znaczy ja, wyjeżdża ze smętami. „Każdy jest kowalem swego losu. Nie użalaj się nad sobą, tylko się ogarnij”, tak mi powiedziała Iga, moja szefowa. I żeby pokazać, jaka jest super, dała mi pięciomiesięczną odprawę i pudło superkosmetyków. – Jacek się roześmiał i zamilkł.

– Jacku – zaczęła Marta. Dobrze go wyczuła, wtedy, w Szczęśliwej Krowie – że jest stłamszony, smutny, że coś go gryzie. I że jest bardzo wrażliwym człowiekiem.

– Poczekaj, proszę, skończę. – Jacek spojrzał na nią.

Kiwnęła głową.

– Więc elegancko mnie zwolniła, a ja zaszyłem się w domu. Pieniądze były, nie musiałem się o nic martwić przez kilka kolejnych miesięcy. Spałem, mało jadłem, było mi na różne sposoby źle. Wychodziłem rzadko, tyle co do sklepu. Odstawiłem leki, wokół zrobiło się naprawdę ciemno... Któregoś razu, podczas takiego wyjścia, zobaczyłem reklamę tej książki. Potem kolejną i jeszcze jedną. Zawsze lubiłem czytać, czytanie mi pomagało w najgorszych chwilach życia, a trochę ich było. Jakiś impuls sprawił, że kupiłem *Małe życie*. I przepadłem. To było wstrząsające przeżycie, bo miałem wrażenie, że czytam o sobie. Nie, aż tak źle nie miałem jak Jude, ale trochę punktów wspólnych było...

Jacek zamilkł, ale nikt nie zabrał głosu. Wszyscy czuli, że to tylko przerywnik, krótka przerwa w opowieści, która wybrzmi do końca. I która wcale nie będzie miła i z happy endem.

– Powiedziałem już, że jestem gejem. To znaczy tylko tyle zdążyłem, bo zawsze jakoś coś przerywało ten wątek. Kiedyś bym się z tego cieszył – wyznać, mieć to z głowy, żeby nikt już nie pytał o żonę i dzieci. A teraz nie chcę milczeć, nie chcę się chować. Nie chcę się wstydzić i tłumaczyć. – Podniósł głowę.

Wciąż milczeli, ale Marta czuła, że to milczenie jest pełne aprobaty. Ona miała ochotę usiąść obok tego szarego chłopaka i wziąć go za rękę. Coś ją drapało w gardle.

– Urodziłem się w Rzeszowie. Piękne miejsce, superdom, dobra rodzina. I ja – nie taki, jakby rodzice chcieli. Mama to może jeszcze mnie akceptowała, wiadomo – serce matki i tak dalej. Ale ojciec? No nie. Zakład, gdzie dyrektorował – miał. Dom z trawnikiem jak dywan – miał. Piękną żonę – miał. Grzeczną córkę – miał. Syna, który jest taki jak on i pójdzie w jego ślady – nie miał. To znaczy miał syna, ale nie takiego. Jego syn był chudy, delikatny, lubił czytać, nie lubił oglądać boksu i nie lubił dziewczyn. Najpierw ojciec sobie żartował, próbował „zrobić z syna mężczyznę”, potem zaczęły się awantury, krzyki, szarpanie. Aż pewnego razu, gdy syn był już na studiach w Krakowie i przyjechał do domu na święta, wykrzyczał ojcu, że jest gejem i nigdy nie spełni marzeń ojca o idealnym synu. I że nawet gdyby nie był gejem, to nie chciałby być taki jak ojciec, bo wszystko, co ojciec robi, jako ten szanowany mąż, tata i dobry katolik, to zło w czystej postaci. Wtedy ojciec go uderzył, tak że syn się przewrócił i rozciął sobie brew, i powiedział, że już nie ma syna.

Marta się roztrzęła w środku. Przeczuwać, że komuś jest źle i nie miał fajnego życia, to jedno. Usłyszeć to – coś zupełnie innego.

– Prosto z dyżuru chirurgicznego poszedłem na dworzec, wsiadłem w pociąg i wróciłem do pustego akademika. Taka to była Wigilia. I kolejne Wigilie i święta. Ojciec był nieprzejejdany, ja też. Chociaż ja bym wolał mieć ojca.

W pierwszej chwili Marta myślała, że to jej łkanie słychać, ale przecież ona płakała bezgłośnie, po prostu ciepłe groszki łez przetaczały się przez jej policzki na szyję, by wpaść w miękki golf.

Łkał Sławek. Głośno, coraz głośniej. Trzęsły mu się ramiona, trzęsły dłonie, w których schował głowę.

– Panie Sławku?... – Marta wytarła rękawem mokry policzek i wstała z fotela.

– Sławek? – Dorota siedziała najbliżej. Wstała, obeszła stolik, kucnęła przy Sławku. Położyła mu rękę na ramieniu. – Sławuś?... – szepnęła.

Marta, która już zdążyła zrobić dwa kroki, usłyszała ten szept i tę zdrobniąłą formę imienia. Przez jej głowę równocześnie przeleciały dwie myśli: „Dlaczego Sławek płacze?” i „Jednak coś ich łączy, a przecież Sławek ma żonę”.

– Ja też wygnałem swojego syna. – Sławek podniósł głowę i schrypniętym od płaczu głosem wypowiedział to zdanie.

„Przecież Sławek nie ma dzieci”, to była trzecia myśl, która się rozbiła o te dwie poprzednie.

Marta nic nie rozumiała. Miała wrażenie, że czyta jakąś książkę, gdzie skomplikowane losy bohaterów dopiero się zaplatają, a ona nie ma pojęcia, jaki to będzie ścieg.

ROZDZIAŁ 25



Pomieszczenia LabMedu dawno już opustoszały.

W pokoju Aśki zapalona była tylko mała lampka na parapecie; zostawiała ją dla Krzyśka, żeby nie musiał włączać górnego światła, gdy wychodził ze swojego gabinetu. „Jest taka nastrojowa”, uśmiechała się, „można się poczuć trochę jak w domu”.

Krzysiek myślał podobnie, gdy patrzył na ciepłe światło przełamujące ciemność za oknem i tę w pokoju.

Myślał tak wcześniej, ale nie dziś.

Ostatni raz pomyślał tak w piątek po południu, przed spotkaniem z Igą. To było krótkie, wieczorne „spotkanie”. Wpadła do niego prosto z pracy, prosto pod prysznic, prosto do łóżka. Był zachwycony, co tu się dziwić? Każdy facet byłby zachwycony, gdyby taka kobieta go pragnęła i dawał mu to odczuć tak... intensywnie.

Zresztą nie chodziło tylko o ten fantastyczny seks. Krzysiek naprawdę się w Idze zakochał. I dlatego to teraz tak bolało. Ból był tak silny, że nie odebrał od niej telefonu. Ani tej sobotnio-niedzielnej nocy, ani w niedzielne popołudnie czy poniedziałkowy ranek. Nie odpisał też na żaden z wielu SMS-ów. Nawet na ten, który przyszedł na jego służbowy numer. To w sumie było jeszcze gorsze. Przecież powiedziała mu, że zmieniła telefony, numer się nie zapisał, SMS-y nie zgrały. Na zdjęciu tego ogłoszenia z przystanku numer, podobno tak podobny do numeru jego komórki, nie zmieścił się w kadrze. Samo ogłoszenie było prawie nieczytelne. Więc skąd go teraz miała? A czy gdyby wtedy wpisała właściwy i gdyby ktoś inny się

w Popularnej zjawiał, to czy z tym innym facetem też by jej było tak upojnie i dobrze? Też by mu szeptała do ucha to, co Krzyśkowi?

Czuł się wyjątkowo, jak każdy mocno zakochany. Chyba nigdy wcześniej, z żadną kobietą, tak się nie czuł. Kto by nie chciał przeżyć czegoś takiego? On chciał i chciał również, żeby to trwało i trwało. Dla niego Iga i ta sytuacja były wyjątkowe.

A dla niej? Kim był dla niej Krzysiek? Chyba nie kimś tak wyjątkowym, jak to deklarowała słownie i okazywała w pościeli, skoro mogła się całować z obcym facetem przed klubem, o którym ten taksówkarz powiedział, że to miejsce dla tych, „co szukają przygód”.

Podparł głowę dłońmi. Rano łyknął jedną tabletkę przeciwbólową, w południe kolejną, teraz wycisnął z blistra trzecią. Pomagały tylko trochę, głowa wciąż go bolała. Rozsadzały ją kłębiące się myśli.

Nie wiedział już, co było prawdą, a co mu się wydawało. Co sobie wmówił, w co chciał wierzyć, a co wiernie oddawało rzeczywistość.

Nic już nie wiedział, niczego nie był pewny.

Cały dzień spędził jak na autopilocie. Odpisywał na mejle, przeglądał tabele i raporty, rozmawiał z Aśką. Wyczuła, że coś się stało, ale nie naciskała. Nie mogła zresztą, w końcu był jej szefem. „Dobra, fajna Aśka”, pomyślał. I znowu coś go zakłuło. Bo pomyślał sobie też, że taka dziewczyna jak ona nie zrobiłaby mu takiego świństwa jak Iga. Aśka nie była ewidentną piękną, ale przecież była ładna. I miała w sobie taki dziewczęcy urok – kiedy się uśmiechała, to robiły się jej urocze dołki w policzkach. Gdy śmiała się bardziej żywiołowo, jej koński ogon podskakiwał jak u licealistki. Kiedy opowiadała o dzieciach, to... Krzysiek poczuł ciepło rozlewające się wokół serca. Aśka była fantastyczną matką.

Właściwie to z taką kobietą – nie z samą Aśką, ją po prostu bardzo lubił – mógłby spędzić życie. Z taką kobietą mógłby założyć rodzinę. Jeździć na święta do jej ciotki, gdzieś na wieś albo w góry, albo do mamy na Podlasie, razem lepić pierogi, dokładać drewna do pieca, nie przejmować się rozchlapanym barszczem na obrusie, nie zastanawiać się, w co się ubierze, żeby dobrze wypaść.

Pomyślał sobie, że to wszystko – ta pogoda ducha, fajność, zapowiedź dobrego życia – najlepiej się odbijają w spojrzeniu Aśki. Kiedy ona na niego patrzy, on widzi to wszystko w jej niebieskoszarych oczach. Kiedy Iga na niego patrzy, wtedy... Wtedy dzieją się różne rzeczy, ale nic z tego powyższego repertuaru.

„Jakie to wszystko dziwne”, westchnął, rozmasowując skronie. Nigdy wcześniej nie nachodziły go takie refleksje. Może to jakiś efekt uboczny leków przeciwbólowych? Przekroczył zalecaną dobową dawkę, a do tego niewiele jadł i wypił dużo kawy. Jego mózg na pewno inaczej funkcjonował. Kiedy zbyt szybko wpłynęło na jego biochemię, człowiek trochę się „przesuwa” w rzeczywistości. Nie trzyma się już w ryzach, nie sunie typowymi koleinami, tylko odpływa w mniej znane rejony.

On też teraz odpłynął. Wyprostował się powoli, wyciągnął na bok zdrętwiałe ramiona i powoli docisnął plecy do oparcia fotela, a sam fotel przechylił do półleżącej pozycji. Podniósł nogi i położył je na biurku, powyżej serca.

Tak się powinno siedzieć, żeby krew się nie kumulowała w łydkach. I nie kumulowała się; miał wrażenie, że nadpłynęła gorącą falą w okolice serca.

Przymknął oczy. Znowu zobaczył Aśkę i jej spojrzenie. Lubił, gdy na niego patrzyła, a właściwie to lubił patrzeć w jej oczy. Tak, tak powinno brzmieć to zdanie.

Teraz właśnie sobie uświadomił, dlaczego tak było i co w spojrzeniu Asi go urzekało.

Przymknął powieki. „Oczy są zwierciadłem duszy”. Nie wiedział, skąd ten znany cytat.

Kuba, w końcu okulista, cytował Biblię: „Oko jest światłem ciała”. Kępiński, psychiatra i filozof, którego książki Krzysztof czytał na studiach, też pisał o oczach – że nie kłamią. Że na inne części twarzy można założyć maskę, a na oczy się nie da.

Nie da się, to prawda.

Zacisnął powieki jeszcze mocniej.

Poczuł, jak opada z niego napięcie. Tabletki zaczęły działać.

Spojrzenie. Gdzieś, kiedyś, nie tak dawno wcale, widział takie dobre, intrygujące spojrzenie. To był moment, chwila, błysk. Wtedy musiał to nieświadomie zapisać w pamięci, dopiero teraz wypłynęło to na powierzchnię świadomości.

Co to było? Gdzie? I kto tak patrzył?

W pracy? Nie, zna tu przecież wszystkich.

Na jakimś sympozjum? Nie, to nie był taki klimat. To było coś innego. Jeszcze mocniej zacisnął powieki. To spojrzenie... Na zewnątrz, bo chyba towarzyszył mu hałas. W garażu? Nie, to było gdzieś w mieście. Na Powiślu? Nie, kojarzyłby miejsce, świetnie zna okolice swojego domu. No to gdzie? Przecież mało się rusza bez auta. Ostatnio wychodził w poszukiwaniu tej małej charytatywności („Jezu!”, choć odpląnął myślami od tu i teraz, to przypomniało mu się, że ta sprawa wciąż niezłatwiona, a za chwilę święta. Czy bibliotekarz się pomylił? Czy ta bibliotekarka jest zapracowana bardziej niż jego szef? Ale nawet w przypadku Artura jego asystentka w końcu oddzwaniała, mówiąc, że łączy prezesa). To może wtedy? Nie, nic takiego nie pamiętał. No to kiedy? Co on jeszcze na piechotę załatwiał?... Dwa razy to wyjście, wcześniej?... Szewc! Szedł do szewca. Nie wziął auta, bo nie miał, taksówki też nie, bo były korki. Poszedł na piechotę, był w galerii, a potem na tym bazarku. Buty odebrała już Asia, przypomniał sobie ze wstydem, choć twierdziła, że to nie problem, skoro zje w galerii lunch. Więc szewc. Na bazarku?... Nie, przeciskał się między ludźmi, wpatrując się w witryny. Potem rozmowa w tej budce, później znowu labiryntem wąskich ścieżek między pawilonami, a potem wyszedł na ulicę. I co dalej? Wrócił do pracy. Tą samą trasą?... Nie, autobusem! Zaczęło padać, nie był przygotowany na deszcz, korki jeszcze większe, więc poszedł na...

Telefon na biurku rozdzwonił się tak gwałtownie, że Krzysiek aż podskoczył. „Recepcja II”, odczytał na wyświetlaczu. Tak mu Aśka wpisała wartownię, czyli tę budkę z ochroniarzem przy furtce na teren firmy. Dochodziła siódma, dziewczyn w recepcji I już dawno nie było.

Zdjął nogi z biurka i odebrał.

– Halo? – Usłyszał. – Pan Krzysztof...?

– Tak.

– Bo jest dla pana przesyłka.

– To proszę odebrać, będę wychodził, sprawdzę, co to jest.

– No tak... – Słysząc było, że ochroniarz jest zafrasowany. – Ale to jest dziwna przesyłka.

– W sensie?... – Krzysztof powoli się dobudzał z tego półsnu, letargu, w który zapadł.

– W sensie, że jest duża. Wielkie pudło. I do tego jest na nim napisane, żeby do rąk własnych. I jeszcze „ostrożnie, szkło”.

Krzysztof zdębiał. Nie miał pojęcia, co to mogło być. Niczego podobnego się nie spodziewał.

– Ale jak to jest wielkie, do tego kruche, to jak niby mam to sam odebrać?

– Rzecz w tym, że nie sam. Bo tu są panowie z firmy kurierskiej. I mają wózek i polecenie, żeby bezpośrednio do gabinetu panu dostarczyć. A ja sam nie wiem, bo firma już zamknięta. Pan pracuje, ale cały obiekt.. Nigdy nie mieliśmy takiej sytuacji, nie wiem, czy wpuszczać?...

– No dobra, a kto jest nadawcą? – Krzysztofowi powoli wracała jasność myślenia. Ból głowy się zmniejszył.

– Nadawca? – Pytanie padło jak zza ściany, więc Krzysztof się domyślił, że ochroniarz zadał jej kurierowi.

– Iga Biernat.

Krzysztof się wzdrygnął. „Co ona wymyśliła?” A zaraz potem pomyślał, że oddaje mu wielką monsterę, którą dostała od niego w prezencie. Zażartował kiedyś, że nie ma w domu nic zielonego i że nawet jeśli nie lubi kwiatków – innych niż karminowe róże – to jedną doniczkę mogłaby mieć. Zgodziła się, a on – zakochany – pojechał do bajeranckiego centrum ogrodniczego i kupił jej to botaniczne cudo w pięknej donicy. Wtedy też firma zajęła się dostarczeniem rośliny – do jego firmowej osobówki by się nie zmieściła.

Poczuł smutek i ulgę jednocześnie. „Skoro tak...”

– Niech ich pan wpuści – poprosił. – Wiem, co to jest, odbiorę przesyłkę.

– Dobrze – odparł ochroniarz i się rozłączył.

Krzysiek wstał od biurka, rozprostował nogi.

Przeszedł do pokoju Aśki, zapalił światło. „W tym kącie będzie jej dobrze”, pomyślał o roślinie. Aśka lubiła zielone, miała kilka doniczek w pokoju. Tak reprezentacyjnej jeszcze nie.

Usłyszał dźwięk windy. Szczęknięcie drzwi na dole, sunięcie z parteru na drugie piętro. Ponownie przesuwanie metalu, tym razem drzwi się otworzyły. „Ostrożnie”, dobiegło go z korytarza, a potem, przez chwilę, miarowo stukały koła wózka.

W otwartych drzwiach stanęło dwóch kurierów.

– Pan Krzysztof Jonczyk?

Kiwnął głową.

– Proszę pokwitować. – Jeden z nich podał mu tabletkę, na którym niezdarnie, rysikiem, wpisał swoje imię i nazwisko.

Faceci przechylili lekko wózek, i, asekurując ją, zsunęli paczkę.

– Dziękuję – powiedział Krzysztof.

– Proszę. Do widzenia. – I już ich nie było.

Krzysiek przez moment miał wrażenie, że jeden z kurierów puścił do niego oko, co mogło oznaczać tylko jedno – jest zmęczony i nie powinien brać kolejnej tabletki.

Szkoda, że nie poprosił ich, żeby podjechali wózkiem do okna. Trudno, przetoczy tę donicę. Lekka nie jest, bo zrobiona z kamienia, ale da radę.

Staął przy pudle, było prawie jego wysokości. Pasowało. Monstera była wysoka, choć bardziej rozłożysta. „Oby liście się nie połamały”, pomyślał. Trochę to było absurdalne – życie właśnie mu się rozwalało, a on się troszczył o roślinę.

Postanowił otworzyć pudło i dopiero teraz zauważył, że czerwona plama na górze to kokarda. Plastikowa plecionka, którą się przykleja taśmą dwustronną.

– Ciekawe – mruknął. – I zbyteczne.

Z jednej strony cieszył się, że Iga odpuściła, ale z drugiej – czuł pewien niedosyt. „Szybko uznała, że nie ma o co walczyć”, pomyślał.

Sam nie wiedział, czy było o co. Czy potrafiłby jej przebaczyć? Chyba jednak nie. W takim stylu wchodzić w poważny, najpoważniejszy, bo przecież myślał o przyszłości, rodzinie, związek?...

Poczuł znajome pulsowanie pod czaszką.

Westchnął. Postanowił wyswobodzić monsterę z pudła i iść do domu.

Odczepił kokardę, sięgnął na biurko Aśki i wziął z niego nożyczki. Przeciął taśmę przytrzymującą górne, poziome, zamknięcie pudła.

Otworzył i...

Oniemiał.

Po chwili, gdy pionowa tektura sama się rozsunęła, jego zdumienie sięgnęło zenitu.

W pudle, z którego został teraz spód i tył, stała Iga. Ubrana w skąpą bieliznę i przewiązana czerwoną wstążką.



Gdy Krzysztof kwadrans później mijał budkę przy furtce, ochroniarz go zagadnął:

– Panie Krzysztofie, pan się nie gniewa, ale nie mogłem się wygadać. Obiecałem chłopakom, że się nie zdradzę. Oni mi to wszystko powiedzieli, żebym ich wpuścił bez problemu... Taki prezent, akurat na mikołajki. Pan to jest w czepku urodzony. A... sam pan wychodzi? I tak szybko?...

ROZDZIAŁ 26



– Wiem, Martusiu, że masz dziś pracę. I że masz klub czytelniczy po pracy, też wiem. Uważnie słucham, co się do mnie mówi. – Mirek był więcej niż uprzejmy. Był uniżenie uprzejmy, słodki i czuły, jakby mówił do ukochanej babci, której za nic nie chciał urazić, zwłaszcza że przed chwilą zbił jej pamiątkowy wazonik, który przetrwał w tej rodzinie od trzech pokoleń i dopiero nierozwaga Mirka skazała go na los pokruszonych skorup.

– Zaczynam o jedenastej, to może zobaczymy się w galerii około dziesiątej? – Marta patrzyła na swoje odbicie w lustrze. „Jakoś mi cera zszarzała”, pomyślała. „Albo to wina oświetlenia w przedpokoju. Niekorzystne jest”. Było niekorzystne, bo pochodziło z czasów tej ręcznej maszyny do mięsa, czyli zamierzchłych. Zresztą w mieszkaniu było więcej takich reliktyw epoki, jak ścienny kinkiet, niekorzystnie oświetlający każdego, kto stanie pod lustrem z ebonitową półeczką, ale akurat lustro się jej podobało. Było vintage. Marta rozmyślała czasem o zmianach i przeróbkach, ale do braku pieniędzy i smykałki dochodził brak pomysłu, kogo do takich drobnych prac znaleźć. Nie знаła nikogo odpowiedniego, dopiero teraz nawiązała bliższą znajomość z inżynierem Mirkiem.

„Co za dziwna historia. Nie był tym, kim miał być, ale okazał się tym, którego żadna z nas się nie spodziewała”.

Podczas wspólnego obiadu u mamy żadne z nich się nie zająknęło na temat tego, że mama i Mirek mają się ku sobie. A mieli się, to

bardzo trafne określenie. Siedzieli blisko siebie, niby to przypadkiem dotykali się łokciami, jedząc, stali ramię w ramię, żegnając ją.

Mama pewnie tak ogólnie się wstydziła – po tylu latach malkontenctwa i chmurności nagle zmienia się w prawie podlotka. I to za sprawą kogo? Niedoszłego chłopaka swojej córki.

Mirek też był speszony. Może tym, że tak szybko się to wszystko potoczyło? Może myślał, że Marcie będzie przykro?

Nie było jej przykro. No, może trochę, ale nie dlatego, że mamie się wreszcie mogło życie lepiej ułożyć, a dlatego, że jej wciąż było niepokładane.

– O dziesiątej? Bardzo dobra pora – ucieszył się Mirek.

Nawet nie dopytywała, czy mu naprawdę pasuje, ewidentnie mu zależało na spotkaniu i zrobiłby wszystko, żeby do niego doprowadzić.

– A gdzie? Może w takim miłym lokalu, kawiarni na styl francuski? Bistro Paris się nazywa. Znasz?

Marta westchnęła. Druga kawa w tym samym miejscu i druga skucha. Pozostaje czekać na trzeci raz. Jak w dzieciństwie zacisnęła kciuk lewej dłoni w piąstkę, żeby się spełniło.

– Tak. Będę o dziesiątej.

Światło w przedpokoju zamrugało i zgasło.

„Ciekawe, czego to znak?”, pomyślała.

Zapewne tego, że żarówka się przepaliła albo stare kable odmówiły wreszcie współpracy, ale Marta wszędzie i zawsze wypatrywała znaków. Zwłaszcza przed świętami.



Jingle bells, jingle bells, jingle all the way. Oh, what fun it is to ride in a one horse open sleigh, zaatakowało Martę od razu przy wejściu do centrum handlowego.

„Przy skocznej muzyce klienci na pewno sprawniej wyskakują z kasy”, pomyślała. Mimo wczesnej pory i roboczego dnia w galerii

handlowej było dużo osób – na dole, w supermarkecie i jego okolicy, ale także na piętrach, gdzie były różne sklepy. Kupowanie prezentów szło pełną parą. Nic dziwnego – nie dość, że do świąt coraz bliżej, to dziś jeszcze były mikołajki.

W Bistro Paris było za to spokojnie. Zajęty był jeden stolik, przez samotnego mężczyznę, który pił kawę i czytał gazetę. Obok niego na krześle leżały dwie firmowe torby z różnych sklepów. Mógł sam dokonać tych zakupów, ale Marta obstawiała, że zrobiła to żona, a teraz wciąż buszowała po sklepach, podczas gdy on czekał na nią w ciszy i spokoju.

Mirek na jej widok wstał z tego samego krzesła co ten facet z siłki. Marta westchnęła. Same znaki.

– Cieszę się, że przyszłaś. – Przywitał ją dwoma cmoknięciami w policzki. – Czego się napijesz?

– Kawy poproszę. Z mlekiem, bez cukru.

Usiadła na tym samym, co poprzednim razem, krzeselku. „Jak odgrywać tę samą scenę, to z dbałością o szczegóły”, pomyślała. Chociaż scenka była jednak inna. Niby to Marta powiedziała Mirkowi, że nic z tego nie będzie, ale to Mirek chciał jej oznajmić, że to się świetnie składa, bo on się akurat zakochał w jej mamie. Była tego absolutnie pewna.

– Kawa zaraz będzie. – Usiadł naprzeciwko niej i się uśmiechnął. – A jak żyjesz, tak w ogóle?

Było widać, że jest trochę zmieszany i nie wie, jak zacząć tę właściwą rozmowę.

– Dobrze. W pracy spory ruch, poza tym jeszcze próbujemy wyszarpać jakieś pieniądze z tegorocznego budżetu na zakupy, ale raczej z marnym widokiem na sukces... A, dziś rano w przedpokoju zgasła mi lampa, ten kinkiet. Może to tylko żarówka, ale w sumie to zmieniałabym ją. Daje kiepskie światło. Mógłbyś mi z tym pomóc?

Mirek się rozpromienił.

– No oczywiście, że tak! Nie ma problemu, przyjdę, obejrzę i zobaczymy, co tam się stało. A jak kupisz nową, to podłączę.

– Dzięki. Nie chciałabym cię wykorzystywać, ale wiesz, samotna kobieta nie wszystko potrafi w domu ogarnąć.

Zauważyła, że zrobiło mu się przykro.

– No wiem, wiem. I deklaruję, że z czymkolwiek będziesz miała problem, to pomogę. Zawsze.

– To miło. – Uśmiechnęła się. Czekala, aż przejdą do właściwego tematu tego spotkania.

– Będę też dbał o twoje odżywianie – zaczął Mirek. – I w pewien sposób próbował zaradzić twojej samotności. – Odchrząknął.

„Zbliżamy się do clou”, pomyślała. Mogłaby mu od razu powiedzieć, że o wszystkim wie, ale była ciekawa, w jaki sposób on jej to zakomunikuje.

– Kawa dla pani. – Kelnerka postawiła przed nią parującą filiżankę. Na spodku leżało kruche ciasteczko w kształcie serca.

– Bardzo się cieszę, że cię poznałem. Że trafiłem na to ogłoszenie.

Marta się wzdrygnęła; wciąż żałowała, że je powiesiła. Co ją podkusiło?... Na chwilę człowiek przestanie się pilnować i robi głupoty. Niby ojciec, wzór optymizmu i autorytet, stwierdził, że to było fantastyczne, ale fakty temu przeczyły.

– I chociaż się okazało, że ja to nie ja, a ty to nie ty, to jednak dzięki naszemu spotkaniu poznałem kogoś jeszcze... – Zawiesił głos. – Twoją mamę.

„Mamy to”. Marta się uśmiechnęła, ale nic nie powiedziała.

– I uwierz mi, choć mnie samemu trudno w to uwierzyć, to było jak... jak grom z jasnego nieba. Nie, nie jak grom, jak gwiazdka z nieba. – Oczy Mirka świeciły. – Twoja mama zapamiętała ten moment podobnie. W życiu jednak tak się zdarza, że spotyka się dwoje ludzi i wie, no po prostu wie, że to jest to. I my też to wiemy, tylko że to spotkanie nastąpiło w tak dziwnych, nieoczywistych okolicznościach, bo ja właśnie szedłem do ciebie z szarlotką i pasztetem... Swoją drogą trzeba mi było powiedzieć, że nie jadasz mięsa... Więc te okoliczności, bo ja przecież chwilę wcześniej jechałem do Starej Kordegardy, do ciebie, teraz z twoją mamą, ale przecież w niezwykłych spotkaniach niezwykle okoliczności są

w sumie na miejscu, więc... – Mirek się zupełnie poplątał. Nabrał duży haust powietrza i zamilkł.

– Ja już u mamy zauważyłam, że się... bardzo polubiliście. – Marta w końcu się odezwała. – A wcześniej, że mama się zaczyna zmieniać. Że odżyła. Nie przypuszczałam tylko, że to za sprawą ciebie. Ale bardzo się cieszę.

– Naprawdę? – Mirek wyglądał, jakby chciał wstać i ją ucałować.

– Naprawdę. Mama... nie chcę zdradzać tajemnic, które mama mogłaby woleć zatrzymać dla siebie, ale przez wiele lat była... smutna. Pojedyncza i smutna. Bez napędu do życia. Teraz ma turbodoładowanie. – Marta w końcu się roześmiała.

– Przepraszam na chwilę. – Mirek sięgnął do kieszeni spodni, wyciągnął telefon i coś wstukał. Odłożył aparat i spojrzał na Martę. – Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło. Jak nam... – Teraz spojrzał ponad jej głową, w kierunku wejścia. Pomachał ręką. Marta się obróciła w tę stronę. – ...ulżyło – dokończył, a ona zobaczyła, że machał do mamy, która szła do nich. – Tak się umówiliśmy, że jak już ci powiem i wszystko się dobrze potoczy, to Tenia przyjdzie. Czekala obok.

Nim Marta zdążyła cokolwiek pomyśleć czy powiedzieć, mama już przy niej była i ścisnęła ją tak mocno, jakby się lata nie widziały, a ona wróciła z dalekiej podróży.

W pewnym sensie tak było.



Zastanawiała się, jak będzie wyglądało dzisiejsze spotkanie klubu czytelniczego. Ostatnie zakończyło się małym trzęsieniem ziemi. Zresztą zapowiadało się na takie, coś wisiało w powietrzu. Sama dobrana na ten dzień lektura zwiastowała napięcie, bo przecież się nie da zupełnie spokojnie rozmawiać o książkach, które poruszają tyle ważnych i trudnych tematów. No, może gdyby się miało idealnie gładkie życie, ale kto takie ma?... Dziś zresztą też nie będzie superlekko. Wspólnie zrewidowali plan czytelniczy. Dorota

zaproprowowała, żeby wreszcie wzięli na warsztat jakieś opowiadania. Może w celu uniknięcia powieści świątecznej?... Tak czy owak, grupa się zgodziła, nawet Iwona, może dlatego, że miała nadzieję, iż przygotowana przez Martę na ostatnie, przedwigilijne spotkanie literacka niespodzianka będzie jak ptasie mleczko po chlebie żytnim. Więc dziś mieli mówić o opowiadaniach Pilcha – *Moje pierwsze samobójstwo*. Na mikołajki – jak znalazł, choć Marta pomyślała sobie, że pisarzowi, lubiącemu ironię, to by się podobało.

Wyrzała z za biurka. Kamila i Iwona już były, rozmawiały o czymś. Dorota i Sławek siedzieli przy stole. Też byli pogrążeni w rozmowie. Sławek wydawał się smutny. A może speszony? A może jedno i drugie? W końcu przyznanie się przed grupą do tego, że nie jest bezdzietny, mimo że tak powiedział, że ma syna, który się okazał gejem, a Sławek tego nie zaakceptował i zerwał z nim kontakty, to nie jest prosta sprawa. Siedział potem, szlochając, a ich wszystkich wcięło, łącznie z nią. No bo jak zareagować w takiej sytuacji? Co powiedzieć? Pocieszyć, rozgrzeszyć, poradzić coś, przytulić? Przytulił – i to było tak cholernie symboliczne – Jacek. Ten, który doznał podobnego odrzucenia. A potem każde z nich coś od siebie dodało, raczej niezdarnie, i się rozeszli.

Marta myślała w tamten piątkowy wieczór, że właśnie dzieje się to, czego po cichutku oczekiwała od klubu czytelniczego – podobnie jak od czytania – że zmienia ich życia.

Ciekawe, co przyniesie im dzisiejsze spotkanie?...

Jacek i Eryk też się zjawili. Jacek przeglądał Pilcha, Eryk chodził między półkami, zupełnie jakby nie mógł sobie znaleźć miejsca. „Ciekawe, co jemu dolega?”, pomyślała. Zeszłym razem też był taki rozedrgany. I ciekawe, dlaczego nie ma Justyny, już drugi raz?... Czy to ma związek z tym, co zobaczyła przed kinem, to znaczy ich razem? Przecież wyglądali wtedy na zadowolonych...

– Dzień dobry! – przywitała klubowiczów.

Odpowiedziały jej zbiorowe kiwnięcia głową i ciche: „cześć”, „dzień dobry”, „hej”.

– Dzisiaj, wbrew tytułowi, wcale nie takie smutne opowiadania. – Próbowała zacząć na wesoło. Szczerze mówiąc, poranne spotkanie z mamą i jej chłopakiem – chłopakiem! – było dość emocjonujące i końcówkę dnia woląла przeżyć w mniejszych emocjach.

– Trochę są. Może nie użyłabym słowa smutne, ale nostalgiczne. Zwłaszcza teraz, kiedy autor nie żyje. – Dorota spojrzała na nią ciepło, z jakąś zadumą. – Mnie się wydawało, ale oczywiście to mój bardzo subiektywny odbiór, że pod koniec życia Pilch inaczej patrzył na wiele spraw. Kiedy człowiek wie, że jego czas jest policzony, że mu zdecydowanie bliżej niż dalej, to zaczyna się ze swojego życia przed sobą rozliczać. I to może rodzić różne, nie zawsze miłe refleksje. I z takim sądem czytałam te opowiadania teraz. Inaczej niż przed laty.

Marta miała podobną refleksję. Im dłużej znała Dorotę, tym bardziej zaczynała ją doceniać, a nawet – lubić. Zresztą Dorota się zmieniła. Niestety, ta zmiana miała związek ze Sławkiem – Marta znowu zauważyła, że on gładzi pod stolikiem jej dłoń. „Najpierw syn, teraz żona”, zachnęła się. „Czy ten facet się nie uczy na swoich błędach? A Dorota? Wtedy mogła nie wiedzieć o żonie, jeśli jej nie było. Ale teraz?”

– Ja nie czytałam wcześniej tych opowiadań. Ani w ogóle niczego Jerzego Pilcha. Styl jest specyficzny, ale jak się człowiek wciągnie, to one, te opowiadania, są... jest w nich jakiś magnes, znaczy tak człowieka trzymają. Bo niby są o niczym, to znaczy o błahych sprawach, ale tam głębiej... Bardzo mi się podobały. – Iwona się zaróżowiła, tradycyjnie już, gdy mówiła o czymś dłużej i bardziej zaangażowanie. I tradycyjnie także była w różowym swetrze.

– Mnie też było smutno. Smutnawo. – Eryk pokiwał głową. – I, podobnie jak pani Dorota, sądzę, że inaczej teraz czytam te teksty, bo myślę o ich autorze. I o zmarnowanych szansach.

Martę coś tknęło. „Te szanse to chyba jego dotyczą, nie autora”, pomyślała. Jej wzrok bezwiednie powędrował w stronę pustego krzesła, zajmowanego zwyczajowo przez Justynę.

– Póki człowiek żyje, to ma możliwość naprawić każdą zmarnowaną szansę, to znaczy odzyskać ją. – Jacek odbiegł od tematu lektury.

– Odzyskać? – zapytał Eryk.

– Tę szansę. Chodzi mi o to, żeby się nie zniechęcać, nawet jeśli coś poszło nie tak albo nam się wydaje, że coś nie tak zrobiliśmy. Żeby się nie zamykać na dobre zakończenie.

Eryk milczał, ale widać było, że przetrawiał te słowa.

– Ja... ja też mam nadzieję. Na różne rzeczy. Na... – spojrzał w kierunku Sławka – ...na te najważniejsze, co były, i na te, coby mogły być...

Widać było, że o ile pierwsza część jego wypowiedzi jest dla klubowiczów zrozumiała, o tyle druga już nie.

– Wtedy, kiedy mówiłem o tym ogłoszeniu...

Marta zdrętwiała. „To mnie będzie prześladowało do końca życia”. Nie przyznała się do autorstwa i wołała, żeby ta sprawa umarła śmiercią naturalną, i to szybko.

– ...to nie wspomniałem, że też próbuję coś zrobić, żeby dać sobie szansę. Bo się zastanawiałem, czy ja wtedy czegoś nie zrobiłem źle. I poszedłem jeszcze raz na ten przystanek i przyjrzałem się ogłoszeniu i zobaczyłem, że ten numer...

„Jezu, no nie”. Marta w nerwach się zastanawiała, czy dawała komuś z nich swoją komórkę. Chyba nie.

– ...to jest całkiem rozmazany. To znaczy pierwsze sześć cyfr to jeszcze jakoś widoczne, ale ostatnie trzy... Zalane, flamaster się rozpułynał. Ale ja się nie poddaję, bo coś tam może i da się odczytać. Piszę, próbując różnych kombinacji. Tylko teraz już zwyczajnie: czy jesteś może tym mężczyzną, który kupował w galerii, w sklepie zoologicznym, karmę dla zwierząt? Bo ja najpierw w tym sklepie go zobaczyłem, kiedy szukałem ziemi dla patyczaków, bo hoduję patyczaki, ale po prostu mnie wcięło, nic nie zrobiłem. I dopiero gdy go zobaczyłem na przystanku, to pomyślałem, że to znak, że teraz to już muszę zagadać, no ale on wsiadł do autobusu z tymi dużymi paczkami i odjechał.

Marta się uszczypnęła. Co za historia! Choć w sumie... zwyczajna. Jeśli zdarzyła się Jackowi, to znaczy, że ona swojej też nie wysniła. I jeżeli on próbował, to ona... Ale zaraz, zaraz... Co on powiedział o tej karmie? Że duże paczki i w galerii to było? Przecież gdzieś coś podobnego słyszała? Gdzie? Kto jej o tym mówił?... Nie mogła sobie przypomnieć.

– Super, nie poddawaj się. – Z rozmyślań wyrwał ją głos Kamili.

– Ja też tak uważam! – To była Iwona.

– Myślę podobnie. – Sławek odchrząknął i spojrzał na Dorotę. – Jak jest w życiu cel, to trzeba go realizować. I zostawić, co złe, za sobą i iść do przodu. Ja jeszcze jedną rzecz chciałem powiedzieć... Bo na początku, kiedy o sobie mówiliśmy, to ja się przedstawiłem jako bezdzietny mąż. Cóż, syna mam, już wiecie. Znaczy miałem, ale... spróbuję zmienić ten czas przeszły. Natomiast z żoną jest na odwrót – miałem, a nie mam. Nie wybaczyła mi, że tak się zachowałem, nie potrafiła tego zaakceptować. I słusznie. Głupio mi, że tak skłamałem. Przepraszam.

Pojedyncze kiwnięcia głowami.

– Zwłaszcza że los daje szansę nawet głupcom i kłamcom. – Teraz Sławek patrzył na Dorotę. – Więc nowe życie trzeba rozpocząć uczciwie.

– Ojej! – wyrwało się Iwonie. – To fantastycznie! Kto by pomyślał, jak literatura potrafi zmienić życie!



– Przepraszam, czy ja bym mógł na słowo? – Eryk czekał na nią przy biurku. Wszyscy już wyszli, zostali tylko we troje: ona, Piotr i Eryk właśnie.

– Jasne. – Zachęciła go spojrzeniem.

– Bo widzisz – zerknął z ukosa na Piotra, ale on wydawał się pochłonięty szukaniem czegoś w katalogu – nie ma Justyny. Już drugi raz.

Marta się zastanawiała, czy wspomnieć mu o tym, że ich widziała razem, kiedy byli... dość blisko. Postanowiła jednak zatrzymać to dla siebie.

– Ja się zapisałem do klubu, bo ją widywałem w tej okolicy, jak jeździłem na rowerze. – Chrząknął. – To znaczy lubię czytać i dużo czytam, ale to też miało spore znaczenie.

Marta przypomniała sobie, jak zawsze jej wypatrywał. I jak Justyna przestała się spóźniać, gdy on się pojawił.

– I wszystko szło dobrze, dawało nadzieję, że nie tylko ja tak czuję. I nawet poszliśmy do kina, a po kinie było miło, a teraz... Nie wiem, co się stało. A najgorsze jest to, że nie mam jak sprawdzić, bo nie mam numeru Justyny. Ona mojego też nie. Umówiliśmy się po naszym klubie, a potem po tym kinie też się umówiliśmy bezpośrednio, no i... I pomyślałem sobie, że może ty byś mogła mi pomóc.

– Ja? – zdziwiła się Marta. – Nie mam numeru do Justyny. Spotykamy się tylko tu, poza klubem nie.

– Ale pewnie w dokumentach Justyny, znaczy w danych, jest jej numer. – Popatrzył na nią prosząco. Błagalnie właściwie.

– Jest, prawda. Ale nie wiem, czy powinnam. To znaczy wiem, że nie powinnam.

Marta zauważyła, że Piotr drgnął. Chyba jednak słyszał, o czym rozmawiają.

„Trudno”, westchnęła w duchu. „Przepisy przepisami, ale miłość ważniejsza”. Eryk nie wyglądał na mordercę, tylko na zatroskanego, zakochanego, trochę fajtłapowatego faceta.

Pochyliła się nad monitorem i zaczęła stukać w klawisze. Nie oglądała się w bok, na Piotra. Po chwili wzięła małą kartkę z pudełka i zapisała na niej numer do Justyny.

Bez słowa podała ją Erykowi.

On bez słowa jej podziękował i prawie wybiegł z biblioteki.

Marta odwróciła się w stronę Piotra.

– Wiem, że słyszałeś i widziałeś. Wiem, że to nieprofesjonalne. Ale mam nadzieję, że to dobre.

Piotr odepchnął się nogami od linoleum i podjechał na krześle do Marty.

– Zrobiłem to samo – wyszeptał, choć byli sami. – Tyle że teraz się zastanawiam, czy dobrze. Przyszła kobieta prosić o telefon do Krzysztofa.

– Krzysztofa? Nie wiem, czy znam.

– Powinnaś. Miał do ciebie dzwonić. – Piotr się zaniepokoił.

– Do mnie?

– No to ten facet, który chciał dać nam książki. Nie dzwonił?

– A! No mówiłaś. Nie, ja nie odbierałam takiego telefonu ostatnio.

Piotr się jeszcze bardziej speszył.

– Ja mu dałem komórkę. Twoją komórkę. No bo właśnie ciągle coś, a pani Basi nie ma i on w końcu poprosił, to mu dałem. Jak ty teraz – dodał, jakby się usprawiedliwiał.

– No okej, ale... – „Ale nie odbierałaś ostatnio od żadnego nieznanego numeru telefonów”, dodała w myślach. – Może ktoś dzwonił, bo mam jedno nieodebrane połączenie – powiedziała. To było małe kłamstwo.

– No to dobrze. Więc ta kobieta chciała do niego numer. Wiedziała o książkach, o tej akcji, gdzie pracuje, mówiła, że jest z jakiejś fundacji... Sam już nie wiem. Tak mnie omotała, że też jej dałem ten numer. Właściwie dwa. Bo on mi podał do siebie numery – prywatny i służbowy, żebym ci przekazał.

– Okej. No to daj, zadzwonię. – Marta się ucieszyła.

– I ja zapisałem. Tylko ci nie przekazałem, bo... no wyleciało mi z głowy.

– Nie szkodzi. Daj teraz. – Marta się ucieszyła, że nie będzie musiała drżeć przed odebraniem rozmowy z nieznanego numeru. Niby Jacek powiedział, że numery solidnie rozmazane, ale jak ktoś akurat trafi?...

– Ale nie mam. Bo ja jej dałem tę kartkę i ona ją wzięła.

– Wzięła?

– No. Mówię ci, że tak mi zakręciła w głowie... Była bardzo ładna. I bardzo atrakcyjna – dodał tonem usprawiedliwienia. – I tak

pachniała. I miała takie... Wszystko miała.

– Och, Boże – westchnęła Marta. – Obcej kobiecie tak zaufać...

– Nie taka obca. – Piotrek się bronił resztką sił i pomysłów. – Nazywała się jak moja pierwsza dziewczyna. To było jak znak, nie sądzisz?

– A jak się nazywała twoja pierwsza dziewczyna?

– Iga.

Marcie znowu coś błysnęło w głowie, jakieś skojarzenie, ale, podobnie jak w przypadku tej karmy i sklepu zoologicznego, nie mogła sobie przypomnieć, co to było.

– Ja gdzieś sobie zapisałem jeden z tych numerów, kiedy on pierwszy raz dzwonił, na nasz stacjonarny, to jak znajdę, a znajdę, bo ja niczego nie gubię, tylko odnajdywanie mam rozłożone w czasie, to ci dam.

„Co za mikołajki”, westchnęła w duchu Marta. „Ciekawe, jakie w takim razie będą święta”.

ROZDZIAŁ 27



– Nie wiem, stary, naprawdę. – Kuba zdjął okulary i je przetarł. – Aż mi zaparowały z emocji.

Siedzieli w Popularnej, było sobotnie popołudnie. Wokół ruch i gwar. Krzysiek miał podkrążone oczy i kiepski apetyt. Jego sałatka z łososiem wyglądała tak samo jak pół godziny temu, gdy przyniósł ją kelner. Kuba w mig uporał się ze swoim penne. Tylko wino pili w jednakowym tempie.

– Nigdy nie przeżywałem czegoś takiego z Magdą. Nie jesteśmy sztywniakami, różne rzeczy się w sypialni zdarzają, ale takie hece?... A u ciebie toby miało być w pracy. Wy tam macie chyba kamery, co?
– Pokręcił głową. – No i Magda mnie nigdy nie zdradziła. Nie wyobrażam sobie, żeby mogła to zrobić. I żebyśmy potem mogli być razem.

– A ty ją? – Krzysiek spojrzał na niego.

– Nie. Nigdy. Pokusy się zdarzały. No, może bardziej okazje niż pokusy. Wiesz, konferencje, wyjazdy, samotne wieczory i noce w hotelu... Ale to tak nie działa, seks to nie jest tylko odpowiedź na zwierzęcy zew natury. Ja naprawdę Magdę kocham.

Krzysiek znowu kiwnął głową.

– A jak ona się właściwie tłumaczyła? – zapytał Kuba. – Kiedy już wyszła z tego pudła?

Krzysiek najpierw wzruszył ramionami, a potem westchnął.

– W sumie to nijak. Najpierw, że to facet ze spotkania zarządu, zupełnie jakby to miało coś wyjaśnić, potem że to była tylko impreza,

a oni na chwilę wyszli i w zasadzie to ona nie wie, jak to się stało...

– Nie wie, jak to się stało, że się uwiesiła jakiemuś facetowi na szyi i z nim całowała?

– Podobno nie była do końca trzeźwa.

– Alkohol to rzeczywiście superusprawiedliwienie – prychnął Kuba.

– Ja jej nie bronię, ja ci relacjonuję. No a później... Później było jeszcze gorzej, bo to wszystko poszło w kierunku, że była samotna, bo ja poszedłem na spotkanie i nie miałem czasu dla niej, i... – Krzysiek urwał. Teraz, kiedy to mówił, brzmiało to jeszcze żałośniej niż wtedy, gdy w ten sposób tłumaczyła się Iga.

Kuba chwilę pomilczał, patrząc z dezaprobatą, a potem powiedział, klepiąc przyjaciela po ramieniu:

– Okej, stary, okej. A wcześniej, to znaczy zaraz po tej nocy pod klubem?

– No chronologicznie to było tak, że ją zobaczyłem tydzień temu, w nocy, nie czekałem, aż jakoś zareaguje, czy coś powie, tylko wróciłem do domu taksówką. Ona pisała i dzwoniła.

– Jak na ubzdryngoloną to całkiem sprawnie.

– Może ma mocną głowę?... Chyba sporo pije. W każdym razie nie odpowiadałem, bo byłem wściekły. Potem nie odpowiadałem, bo byłem smutny. Kolejne potem – bo nie wiedziałem, co myśleć i co czuć. Aż w końcu przyszła ta paczka... I powiem ci, że normalnie byłbym zachwycony. Ale w tej sytuacji? To mi się wydało... jakieś okropne. Iga wie, jak na mnie działa i jak działa na mnie seks z nią. Gdybym się skusił, to pewnie bym teraz z nią był.

– Ale się nie skusiłeś?

– Nie. I powiem ci, że to był odruch. Po prostu coś mnie wstrzymało. Zostawiłem ją w tym negliżu i sobie poszedłem. Poprosiłem ochroniarza, żeby dziesięć minut po moim wyjściu upewnił się, że mój gabinet jest pusty, a „przesyłka” opuściła budynek.

– Zdziwił się pewnie?

– Miał oczy jak pięciozłotówki.

– Może myśli, że jesteś gejem?

– Nie. Lubi i chyba nawet trochę zna naszego jedyne go firmowego geja, Roberta. Poznał go przez jego psy, bo Robert ma dwa dogi i udziela się w jakimś schronisku... Żeż kurwa! – Krzysztof nagle walnął ręką w stół.

– Co się stało? – Kuba też podskoczył.

– Bo ten Robert pomaga w jakimś schronisku dla psów. Ma te swoje dogi, rasowe, z rodowodem, ale wspomaga kundelki. I dlatego jedną z małych charytatywności, czyli akcji pomocowej LabMedu, jest schronisko. Aśka je wybrała właśnie dzięki Robkowi, czyli Robertowi. Druga miejscówka to świetlica dla dzieci z dysfunkcyjnych rodzin. To z inspiracji koleżanki Aśki, a właściwie nauczycielki w przedszkolu, gdzie Aśka ma dzieci. Aśka to w ogóle tak działa, że ma dużo kontaktów z wieloma osobami. Po prostu lubi ludzi. Od tej przedszkolanki wzięła też pomysł na prezenty świąteczne u nas w dziale – kupiła książki. Tamta jej dała jakąś listę, którą przerabiali na spotkaniach w bibliotece. I powiem ci, że *Jej wszystkie życia*, które ja dostałem, to świetna powieść. I uważaj, bo teraz finał tej długiej dygresji.

– Nareszcie – westchnął Kuba.

Krzysztof go zignorował.

– Trzeci punkt tej charytatywności miałem załatwić ja. I tak się złożyło, że padło na bibliotekę.

– Wspominałeś. To było... jakiś czas temu.

– No było. A potem ciągle coś.

– Ciągle Iga.

– To też. Po prostu się nie składało, jak po grudzie. Normalnie jak znak, żebym się do tego nie brał..

– Albo jak znak, że to jest warte starania, skoro tyle z tym zachodu... A pomijając twoje przeczucia, to jaki był związek tej dygresji z tym, co masz zrobić i czego nie zrobiłeś?

– Zaczęło się od Roberta, co mi przypomniało o charytatywności, a potem o Aśce i tej jej koleżance, a teraz to sobie jeszcze myślę, że nie zdziwiłbym się, gdyby ta koleżanka to była z klubu czytelniczego w tej bibliotece, którą mamy wspomóc, bo oni na pewno mają tam

klub. Ten bibliotekarz, od którego w końcu wyciągnąłem komórkę do jego koleżanki, odpowiedzialnej za zakupy, mówił coś o klubie, że się spotykają i żeby wtedy nie dzwonić. Jeśli to wszystko tak wygląda, to świat jest naprawdę mały.

Kuba kiwnął głową.

– Jest mały. Wystarczy zobaczyć na Facebooku wspólnych znajomych. To jak zachodzące na siebie kółka zębate. Tak to się kręci. I nigdy nie wiadomo, co się wykręci.

Krzysztof sprawiał wrażenie zaaferowanego.

– Sorry, Kubacki, ale ja to teraz załatwię, bo to już jest po prostu wstyd.

– Zadzwonisz do niej? W sobotę przed siódmą wieczorem?

Krzysztof spojrzał na niego niepewnie.

– Myślisz, że to nietakt?...

– Na pewno nietakt. Ludzie mają swoje życie, sprawy, wolny czas.

– Ale napisać do niej to chyba wypada? Krótkiego SMS-a? Odczyta, kiedy będzie chciała, i odpisze też, kiedy będzie chciała. Jak to nie wyjdzie, to już nic nie wyjdzie. Sorka, zaraz to zrobię i wracam do rozmowy.

Krzysztof sięgnął po telefon, odszukał Martę Bibliotekarkę i wstukał: „Dzień dobry! Piszę do Pani w sprawie akcji charytatywnej – zakupu książek dla biblioteki. Próbowałem się kontaktować, ale bez efektu. Proszę o telefon, pozdrawiam Krzysztof”.

– I już. – Odetchnął z ulgą. – Teraz wszystko w jej rękach.

– Dobra, a wracając do Igi. – Kuba sięgnął widelcem do talerza przyjaciela i nabił kawałek sałaty. – To co zamierzasz?

Usłyszeli piknięcie telefonu zwiastujące SMS.

– Kamień z serca. – Uśmiechnął się Krzysiek, po raz pierwszy od tygodnia. – Wreszcie to ogarniemy. Bibliotekarze pewnie nawet w weekendy siedzą wśród książek, tyle że w domu. – Podniósł telefon ze stolika, przejechał palcem po ekranie. Przebiegł tekst wzrokiem, potem znowu. – Nic tego nie rozumiem – powiedział w końcu. – Przesunął aparat w stronę przyjaciela.

– „Przepraszam, że przeszkadzam, ale w wyniku nieporozumienia powodowanego moją dobrą wolą dałem Pana numer telefonu (właściwie oba) niejakej Idze. Z innego źródła wiem, że to może być niemiała osoba. Pozdrawiam, Piotr, bibliotekarz”. To chodzi o twoją, znaczy twoją byłą Igę?

– Nie mam pojęcia. I nie wiem, skąd ona by się u niego znalazła.

– I po co by prosiła o twój numer, przecież chyba ma...

– Prywatny! – Ożywił się Krzysiek. – Prywatny tak. Ten pierwszy to miała z ogłoszenia.

– A, chodzi o tę dziwną historię z plakatem?

– Tak. Jezu, jakie to wszystko dziwaczne. Więc tamten numer miała, ale potem zmieniła telefony i kiedy już się zaczęliśmy spotykać, to tylko na mój prywatny dzwoniła. A teraz, kiedy przychodziły SMS-y od niej, to na oba. Dziwiłem się, skąd ma służbowy, on nie wisi na stronie... Zamówmy jeszcze jedno wino – westchnął Krzysiek. – To najdziwniejszy grudzień w moim życiu.

ROZDZIAŁ 28



– Co robisz, mamó? – Marta zatrzymała się na chodniku. – Nie musisz krzyczeć. – Odsunęła telefon od ucha. – Nie chodzi o to, że nie dosłyszę, tylko nie rozumiem. Nie, nie musisz mi tłumaczyć jak pięciolatce – dodała po chwili. – Chodzi o to, że... Rany, no to jest po prostu... po prostu... Kurde, nie wiem, jak to nazwać. Nie, „kurde” to nie jest przekleństwo, zapewniam cię. Może kiedyś, dawniej, teraz to niewinne słowo. Teraz zresztą „zajebisty” nie jest przekleństwem, więc o czym my mówimy. A w ogóle to są wątki poboczne, nieistotne. Naprawdę pójdziesz do ojca w drugi dzień świąt? – Marta usiadła na ławce. Nie zwracała uwagi na to, że siedzisko jest wilgotne i zawiewa nieprzyjemny, dżdżysty wiatr. Po tym słownym wybuchu nagle poczuła się taka słaba. Zresztą co tam jej reakcja – prawdziwą bombę stanowiła informacja, która wprowadziła ją w taki stan. Trzymała telefon przy uchu i słuchała mamy, która zwyczajnym tonem, jakby to była najoczywistsza sprawa na świecie, tłumaczyła jej, że razem z Mirkiem – z Mirkiem! – spędzi drugi dzień świąt z ojcem i Anią – Anią! No i oczywiście także z Martą, jasna sprawa. A potem się pożegnała, bo do Wigilii niedużo czasu, a dużo spraw i w ogóle to Mirek już na nią czeka.

Marta zastygła jak w jakimś stuporze. Próbowwała zrozumieć wydarzenia ostatnich dni, ale one się wymykały racjonalnemu porządkowi. Mama i Mirek – to było najbardziej spektakularne i jednocześnie najbardziej nieprawdopodobne. Jakimi to ścieżkami

miłość chadza! Ta akurat miała mieć wytyczoną zupełnie inną trasę, ale los zdecydował inaczej.

„Siła przypadku”, westchnęła.

Choć akurat to był przypadek ze wsparciem. Gdyby Marta nie powiesiła ogłoszenia, nie poznałaby Mirka, a on nie poznałby mamy.

Nie poznałaby też Jacka, więc Jacek nie trafiłby do Nibylandii. Akurat w przypadku Jacka nic to nie zmienia, bo on wciąż szuka tej swojej ulotnej miłości z przystanku, i szczerze mówiąc, szanse ma niewielkie. Marta nie była asem z matematyki, ale na pierwszym roku studiów miała logikę, a na niej elementy kombinatoryki i tam były takie zadania w stylu: na ile sposobów można ustawić obok siebie malucha, poloneza, skodę i ferrari. To ferrari ją bawiło, może dlatego nie pamiętała już dobrze, czy, jeżeli się chce sprawdzić, jakie może być zakończenie numeru telefonu, jeżeli się ma trzy rozmazane cyfry, to trzeba zastosować wyliczenia z wariacji, kombinacji czy permutacji, ale jednego była pewna, bo dla każdego z tych trybów wynik zawsze był podobny, to znaczy możliwości było dużo. Jacek będzie wysyłał te SMS-y do Wielkanocy...

Ale gdyby nie było Jacka na ich spotkaniach, to Sławek by się nie rozsypał, nie wyznał im, co kiedyś zrobił, i pewnie nie próbowałby naprawiać zła, które dawno temu wyrządził swojemu synowi. Ciekawe, czy rozpocząłby związek z Dorotą?... Może tak, w końcu ich połączyła Nibylandia, choć znali się już trochę, a wcześniej nie zaskoczyło, dopiero teraz.

Tak. Tegoroczna jesień przyniosła niezwykle zmiany w klubie. Oprócz tych wywołanych jej ogłoszeniem nastąpiły też inne.

Na przykład Eryk. Uśmiechnęła się do siebie. Uroczy chłopak, tak się mitygował, kiedy prosił o telefon do Justyny. Zapisał się do Nibylandii specjalnie dla niej. Marta zażartowała, żeby trochę rozładować napięcie, że pewnie, kiedy już im się ułoży (bo taką miała nadzieję, mimo że nieco ją niepokoiła dwukrotna nieobecność zawsze zdyscyplinowanej, choć spóźniającej się – do czasu – Justyny), to nie będzie przychodził. Zaprzeczył gwałtownie, powiedział, że spotkania też go wciągnęły. Urocze było to „też”.

A Kamila i Iwona? Przez dwa lata przychodziły do Nibylandii, a Marta nie poznała ich tak dobrze, jak teraz. Iwona to zmęczona, czasem nieradząca sobie (wewnętrznie, bo życiową logistykę miała opanowaną) dziewczyna, która w literaturze szukała pociechy i wytchnienia. I zdaje się, że teraz zaczynała zmieniać swoje życie. Coś wspomniała, że w tym roku po raz pierwszy nie będzie robiła wigilii dla całej – gigantycznej – rodziny, ale zarządziła składkową imprezę. I że na sylwestra ma wyjechać tylko z mężem, zamiast spędzać go, jak co roku, z teściami. I – co uważała za największy sukces – namówiła męża na czytanie.

Dla Kamili Nibylandia była odskocznią, azylem, miejscem i czasem wyłącznie dla niej. Marcie było głupio, że tak pochopnie ją oceniła. Innym klubowiczom zresztą pewnie też.

– Cześć! – Z tych rozmyślań wyrwał ją znajomy głos.

Podniosła głowę. To była Justyna.

– Cześć! Właśnie myślałam o tobie. Znaczy o was. To znaczy myślałam o naszym klubie. – Marta z trudem wracała do rzeczywistości. Justyna chyba przyglądała się jej z lekkim zdziwieniem, bo pogoda nie zachęcała do wypoczynku na (mokrym) łonie natury. Marta się podniosła; dotknęła ręką spodni – były wilgotne.

– Tak? – zapytała uprzejmie Justyna. Wciąż patrzyła na Martę.

– Tak.. Martwiłam się o ciebie, bo nie było cię ostatnio, dwa razy. I... – Nagle Marta się zacukała. Nie było sensu ściemniać co do Eryka. Dała mu numer Justyny i on na pewno zrobił z niego użytek. Nie było to profesjonalne, nie było zgodne z prawem, ale pasowało do tego, co Marta widziała pod kinem. No i chciała pomóc. Mimo wszystko nie zamierzała sama ruszyć tego wątku.

– Wiem, przepraszam. Mogłam cię powiadomić, przecież Nibylandia to już prawie jak rodzina. To było zupełnie niespodziewane. W sumie to też mi nie pasowało, bo lubię przychodzić do klubu, nawet bardzo. – Uśmiechnęła się do Marty, jak się jej wydało – znacząco, ale o Eryku wciąż ani słowa. – I akurat w piątki. Zwróciła się do mnie przyjaciółka, z prośbą o pomoc. Ona

pracuje w fundacji dla dzieci wymagających interwencji neurologicznych – rehabilitują, konsultują, leczą. Świetne miejsce i, jak każde tego typu, borykające się z różnymi problemami. Im się wysypało biuro rachunkowe, zostawiło ich na lodzie, z dnia na dzień. A tu koniec roku, rozliczenia, zamknięcia, masa papierów. Pomagałam im to ogarniać. Wezmę wolne w czwartek, bo na ostatnim, przedświątecznym, spotkaniu Nibylandii chciałabym być. Dużo zawdzięczam temu miejscu. – Teraz uśmiechnęła się w taki sposób, że Marta nie miała już wątpliwości, że dobrze zrobiła, dając Erykowi telefon do Justyny.

Kiedy zakładała klub, miała w sobie misję, żeby jak najwięcej osób zachęcić do czytania. Chciała, by ich spotkania były okazją do długich, mądrych, swobodnych rozmów o przeczytanych książkach. Nieśmiało sobie wyobrażała, że kontakt z książkami zmieni ich życie. I zmieniał.

Justyna chyba czytała jej w myślach.

– Dziękuję, że Eryk mógł do mnie zadzwonić. Tacy jesteśmy oboje zakręceni, że nie wymieniliśmy się numerami...

Teraz to Marta się uśmiechnęła.

– Nie powinnam była, ale... Zresztą trochę się wydarzyło, kiedy cię nie było. Atmosfera zrobiła się... nieformalna. Taka, że pomyślałam sobie, że czasem warto zrobić coś poza rutyną. I regulaminem. I w ogóle to bardzo się cieszę. I jeszcze – a niech tam, powie to – widziałam was, znaczy ciebie i Eryka, pod kinem. Wraciałam wieczorem od mamy, przechodziłam obok galerii, a wy byliście po seansie i... No i dlatego dałam mu ten numer.

– Nie zauważyliśmy cię, przepraszam – powiedziała Justyna.

– Nie, nie, ja byłam dość daleko, poza tym, no wiesz, nie chciałam przeszkadzać... Fajnie, naprawdę fajnie. – Marta odchrząknęła. – Takie zmiany.

– Fajnie. – Justyna wyglądała teraz jak personifikacja szczęścia – dokoła ołowiano-zimny grudzień, a ona jak wiosenka. – A wiesz, kogo widziałam w tej fundacji? Kamilę! Z dzieckiem.

– Była o tym mowa podczas twojej nieobecności. – Marta pokiwała głową.

– A, no tak. Więc pogadałyśmy i Kamila była zupełnie inna. Taka... miękka i czuła. Super, naprawdę. Tak nam się przeciągnęła ta rozmowa, że zeszło na inne sprawy i okazało się, że w firmie jej męża szukają kogoś do działu rozliczeń. Warunki, atmosfera, pensja... marzenie! Po świętach idę na rozmowę. Kto wie, kto wie...

Marta pamiętała, że Justyna nie lubiła zbyt swojej pracy, ale na poepidemicznym rynku warunki się zmieniły i nie tak łatwo było jej znaleźć coś dobrego.

– Fajnie, co? Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Kiedy mówiłaś o tym, że literatura potrafi odmienić życie. Nie sądziłam, że aż tak! Jestem ci bardzo wdzięczna za Nibylandię. Aż bym cię ucałowała. W sumie?... – Justyna nachyliła się do Marty i cmoknęła ją w policzek. – A teraz pędzę, bo Eryk przychodzi dziś na kolację. – Spojrzała na siatkę, która stała przy jej nodze. Podniosła ją i poszła w stronę przystanku.

„Literatura potrafi odmienić życie”. Marta westchnęła.

Cud, przypadek czy los – wszyscy klubowicze przeżywali właśnie życiowe rewolucje – mniejsze lub większe.

Wszyscy poza nią.

I poza Jackiem.

Facet z karmą w sklepie zoologicznym... Teraz sobie przypomniła, gdzie słyszała tę historię! Od mamy – że była na zakupach z Eweliną, tą młodą fryzjerką, i że weszły pod coś do tego sklepu, i tam był facet, który odbierał karmę w jakiejś hurtowej ilości! Rany, to pewnie był on, ten szukany przez Jacka! „Tylko co z tego”, zafrasowała się. Niby było tak blisko, żeby dopomóc Jackowemu szczęściu, ale przecież to było przypadkowe spotkanie. Chwila, moment, jak w tym jej ogłoszeniu. Nawet nie ma o czym Jackowi wspominać.

Czasem tak niewiele brakuje, by coś się udało. Człowiek jest o krok, szczęście tuż, tuż... i już znika.

Westchnęła.

Powoli poszła w stronę domu. Nie spieszyło się jej, bo nie było specjalnie do czego. Jeśli o nią chodzi, to żadnej rewolucji, jakby świat się sprzyścił. Została swatką, może będzie świadkową, ale samotną.

Świadkowa, świadkini szczęścia innych.

Co jej przyszło do głowy, że tym razem, w tym roku, przed tymi świętami, coś się wreszcie odmieni? Powinna złożyć reklamację swojej intuicji.

Była już pod blokiem. Wstukała kod do domofonu, otworzyła drzwi, weszła po schodach, przekręciła klucz w zamku, pstryknęła kontakt. I nic. No tak, żarówka niezmienniona, nowa lampa niekupiona, więc jest ciemno. Dobrze, że choć z korytarza dociera tu światło. Nie najmocniejsze, ale zawsze.

I w tym momencie lampa na klatce schodowej się wyłączyła. Wspólnota wymyśliła sposób na oszczędzanie – ponieważ niektórzy niefrasobliwi mieszkańcy nie gasili światła na korytarzu, gdy już weszli do mieszkania, to rachunki za prąd były coraz wyższe. Prośby i stosowne plakietki na tablicy ogłoszeń na parterze: „Oszczędzaj światło, wodę i gaz”, utrzymane w stylistyce poprzedniej epoki, nie przynosiły oczekiwanych rezultatów, więc zamontowano fotokomórki, które uruchamiały oświetlenie i po stosownym – krótkim – czasie je wyłączały.

Włożyła rękę do torebki, wymacała w niej telefon. Ekran rozbłysnął, wyszukała obrazek latarki i po chwili stała się światłość – wystarczająca, by dojść do kuchni.

Tu lampa rozbłysła już bez problemu.

Znowu przejechała palcem po ekranie, żeby wyłączyć oświetlenie latarki. Niechący zahaczyła o wiadomości i na ekranie pojawił się niebieski kwadrat z tekstem: „Dzień dobry! Piszę do Pani w sprawie akcji charytatywnej – zakupu książek dla biblioteki. Próbowałem się kontaktować, ale bez efektu. Proszę o telefon, pozdrawiam Krzysztof Jonczyk”.

„Kurde, zapomniałam”, zachnęła się. „Ale kto wysyła takie wiadomości w sobotę wieczorem?”

To był ten facet od Piotrka, to znaczy ten, któremu Piotrek dał jej numer. I ten od Igi. Igę też sobie przypomniała – wszystko wskazywało na to, że to jednak była szefowa Jacka, ta, co go tak źle potraktowała.

„Mały świat”, pomyślała. „Może i mały, ale jakby się chciało znaleźć Hugh...”

Szkoda, że Piotrek jej dzisiaj nie przypomniał o tej, bardzo fajnej zresztą, akcji. A, no nie mógł jej przypomnieć, bo się poszedł szczepić na grypę, więc się tylko minęli w drzwiach. Biedna pani Basia, wciąż nie doszła do siebie po chorobie, mimo że nieśmiało zapowiadała, że wpadnie na chwilę do biblioteki.

Dobra, odpisze temu facetowi. Trudno, też nie w godzinach „urzędowania”, ale co tam. Ona się nie wyrwie z pracy, on pewnie także zapracowany, skoro to jakieś korpo, więc chyba najlepiej będzie się umówić późnym popołudniem. A gdyby go zaprosiła w piątek, po klubie? A może nawet na spotkanie Nibylandii? Skoro zaproponował taką pomoc, to pewnie sam jest zapalonym czytelnikiem. No i może zostałby nowym członkiem? Może miasto by ich bardziej wsparło, gdyby zobaczyło, jak im Filia nr 5 krzewi czytelnictwo?...

„Dobry wieczór! Dziękuję za (miłą) informację. Czy mógłby Pan przyjść do biblioteki w piątek o 18.00? Mamy spotkanie klubu czytelniczego – serdecznie zapraszam, a potem porozmawiamy o tytułach. Raz jeszcze dziękuję i pozdrawiam – Marta Miłkowska”.

ROZDZIAŁ 29



– Zaklinasz telefon, żeby ci wreszcie przysłał powiadomienie, że paczka z prezentem dla dzieci trafiła do paczkomatu? – zażartował Krzysiek.

Aśka wczoraj opowiadała mu o przejściach ze świątecznymi zakupami. Prezent dla dzieci – wymarzona luneta oraz gigantyczne pudło klocków Lego – wędrował sobie gdzieś po Warszawie, bo albo w paczkomatach brakowało miejsca, albo kurier nikogo nie zastał w domu, albo przesyłka wracała do magazynu. A teraz Asia siedziała przy biurku i wpatrywała się w ekran telefonu.

– Słucham?... – Spojrzała na niego rozkojarzona.

– Pytam, czy zaklinasz telefon, żeby ci w końcu potwierdził przybycie paczki.

– A, nie. Cholera, właśnie, zaraz będę do nich dzwonić, choć teraz to prędeż by mi się udało połączyć z królową angielską... Czytam SMS-a, bardzo dziwnego. Chcesz zobaczyć?

Krzysiek kiwnął głową.

Aśka podała mu telefon.

„Dzień dobry! Jeśli to Ty robiłeś duże zakupy w sklepie zoologicznym w centrum handlowym, a potem odjechałeś autobusem w nieznane, a w tym roku chciałbyś pod choinkę... gwiazdkę z nieba, zadzwoń: 654 786 765”.

– A co to? – Krzysiek spojrzał na nią pytająco.

Aśka wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– „Robiłeś”. To pisane do faceta.

– Też zwróciłam na to uwagę. Najpierw pomyślałam, że normalne w tym patriarchalnym świecie, ale potem, że może jednak spersonalizowane, znaczy do mężczyzny. Później pomyślałam, że to żart. Jeszcze później, że pomyłka. A na końcu, że może jakaś kampania reklamowa albo akcja społeczna... A właśnie – jak tam biblioteka?

– Wspaniale! Już wszystko prawie dopięte. – „Wszystko” było trochę na wyrost, ale po tylu wtopach Krzysztof potrzebował jakiegoś sukcesu, choćby i małego. – W piątek finalizujemy sprawę.

– Fantastycznie. A wracając do tego SMS-a... No to za jakąś akcją charytatywną przemawiałby fakt, że nie tylko do mnie trafiła taka wiadomość. Dostali ją także Jolka i Mariusz.

– Ciekawe...

– Bardzo. Bo zauważ, że to wszystko telefony służbowe. Nic nie wiesz? To nie nasza centrala coś wymyśliła?

– Nic nie wiem. Fakt, ciekawe. – Krzysztof się zdziwił.

– A może to zapowiedź podwyżki, tak figlarnie podana?... Dobra, żartuję. W takim razie wygląda na to, że to jednak coś zakrojonego na szerszą skalę – albo marketing, albo coś społecznego – że najpierw cię intryguje, a potem się wyjaśnia, o co chodzi, i w ten sposób angażuje charytatywnie. Może to właśnie coś takiego? Tylko, bez względu na to, czy to pierwszy, czy drugi wariant, interesujące jest to, skąd ten ktoś, ta firma ma nasze numery? Jeśli to akcja społeczna, to okej, ale jeżeli reklama – to słabo.

– Słabo. Sprawdzę to... A próbowałaś oddzwonić na ten podany numer?

Aśka spojrzała na niego znacząco.

– Jestem profesjonalistką. Oczywiście, że próbowałam. Nikt nie odbiera. A jak odpisałam, że to nie o mnie chodzi, bo jestem dziewczyną, to w odpowiedzi przyszła tylko uśmiechnięta buźka.

– No to może nic groźnego. Dobra, zajmę się tym, ale po piątku.

– Po piątku jest sobota, potem niedziela, a zaraz potem już święta.

– Fakt! Jakoś mi się to wszystko rozjechało, byłem przekonany, że jest jeszcze kolejny tydzień. – Krzysiek zdumiony wpatrywał się w kalendarz. Daty nie chciały się zmienić.

– Żyjesz poza czasem i przestrzenią. Zakochani tak mają – zażartowała Aśka.

Mina Krzysztofa stężała.

– Powiedziałam coś nie tak?... – Aśka spoważniała i spojrzała na niego badawczo.

– Cóż. Było, minęło. Sprawa nieaktualna.

– Rany, no tak mi przykro. Nie wiedziałam. – Aśka przez chwilę się wahała, a potem podeszła do Krzyśka i delikatnie pogłaskała go po ramieniu.

– To głupie, ale... Sam nie wiem, jak to powiedzieć... Miałem nadzieję, że to będzie właśnie to. Że Iga to ta jedyna. Nie wyszło. A potem zrozumiałem, czego szukam. Było kiedyś takie spojrzenie... Takie, jak... – Popatrzył na zdjęcia na jej biurku. Kompletnie się pogubił.

Aśka spoglądała na szefa, nic nie mówiąc.

– Jezu Chryste, co ja gadam. Pomyślisz, że mi odbiło. Zresztą sam już nie wiem... Dobra, nieważne, wracamy do pracy, jeśli chcemy mieć jakieś święta. Ty jesteś do piątku, prawda?

– Tak. Potem byśmy utknęli w gigantycznym korku. Wszyscy warszawiacy jadą do domów na święta... Zresztą na samą Wigilię zapowiadają śnieżyce.

– Śnieżyce? Na razie jest deszcz. – Krzysztof spojrzał przez okno. Szyba była mokra, a w tle – bura szarość.

– Ale ma się zmienić. Magiczny czas, to ma być śnieg. I to od razu hurtowo, znaczy zawieje i zasypie wszystko. A ty się nie wybierasz... nigdzie poza Warszawę?

Aśka wiedziała, że jego mama mieszka na Podlasiu, że jest wdową, a Krzysztof – jedynakiem. Tyle faktów. Co do reszty, domyślała się, że nie jest to gładka i prosta relacja.

Krzysztof się zawahał. Do tej pory plany były nieskrystalizowane. Iga namawiała go, żeby pojechał w Wigilię do mamy, a pierwszy

i drugi dzień świat spędził z nią i jej rodzicami. Nie powiedziała tego, ale wyczuł w tym sugestię, żeby „odbębnić” dwudziestego czwartego grudnia, a potem miał już wolne. Nie podjął jeszcze żadnej decyzji.

Teraz miał do zagospodarowania całe święta.

– Pojadę do mamy – zdecydował.

– No to pewnie wrócisz po Nowym Roku. – Uśmiechnęła się. – Na wschodzie ma być bardziej biało niż na południu.

Uśmiechnął się.

W sumie... Co go tu trzymało?



– Bardzo się cieszę – powiedziała mama i zamilkła.

Krzysiek wiedział, że jest subtelna i nie zapytał go o nic więcej, jeśli on sam nie powie. Kiedyś, gdy był młody, wydawało mu się, że to może brak zainteresowania, ale to zupełnie nie pasowało do troski i miłości, które mu okazywała. Mama po prostu nie chciała ingerować w jego życie.

– Podobno ma śnieżyć, nie wiadomo, czy drogi będą przejezdne, dlatego przyjadę wcześniej, w weekend.

– Naszą pewnie Władek przejedzie pługiem w Wigilię, żeby na pasterkę dojechać. Choć jeśli będzie tak, jak w prognozach mówią, to raczej sanie wyprowadzi ze stodoły. Z autem to nie wiem, jak będzie. Nawet z takim dobrym, jak twoje. Od dwudziestego piątego grudnia rzeczywiście mamy tu mieć prawdziwą zimę.

– To może zostaną na kolejne dni – ni to zapytał, ni obwieścił.

– To twój dom, synku. Bardzo się ucieszę.

Dwa zwyczajne, krótkie zdania, a zabrzmiały tak...

„Kocham cię, mamo”. To powiedział do siebie, kiedy już się rozłączył. Był pewien, że dwieście kilometrów stąd, w drewnianej chałupie z ciepłym piecem, rozległo się: „Kocham cię, synku”.



– A pamiętasz, stary, jak poznałem Magdę? – Kuba stał już w przedpokoju, trzymając w ręku ładowarkę do aparatu. Swojej za cholerę nie mógł znaleźć, a nie było żadnej szansy, by nowa przyjechała do niego przed świętami – kurierzy nie wyrabiali, paczkomaty pękały w szwach, poczta już się chyba poddała. Krzysztof bez żalu pożyczył mu swoją. Zdjęcia zasypanych śniegiem pól może zrobić komórką. Zresztą jeśli prognozy się sprawdzą, to pewnie nie będzie prądu, bo linie energetyczne nie wytrzymają nawału śniegu. Zamiast ładować sprzęt, będzie dorzucał do pieca i rozpałał świece. Jak w dzieciństwie. Stał wtedy w oknie, patrzył w atramentową ciemność za oknem i wypatrywał pierwszej gwiazdki. A kiedy się pojawiała, marzył o tym, by wyfrunąć gdzieś daleko, poza ich obejście, poza te pola, poza linię wijącego się Bugu. Być gdzieś, gdzie wszystko będzie fajniejsze i lepsze.

– Hej, co się tak zamyśliłeś? – Kuba patrzył na niego.

– Tak jakoś... To o co pytałeś, przepraszam? – Krzysiek otrząsnął się ze wspomnień.

– Czy pamiętasz, jak poznałem Magdę?

– Poczekaj... W święta?

– W Wigilię. Mamie zabrakło oleju do smażenia karpia, bo cały zużyła do śledzi. Wysłała mnie do sklepu, mimo że pogoda była podła, widoczność na kilkanaście centymetrów. Kłamię wtedy pod nosem, bo grałem w coś na kompie, ale poszedłem. Społem jeszcze był otwarty, chociaż już pustki na półkach. Olej był. I wtedy zobaczyłem piękną dziewczynę, która szła z puszką groszku. Ją też do sklepu wysłała mama. I też nie chciała iść, bo właśnie pomalowała sobie paznokcie i wszystko musiała zmyć, bo podobno wtedy lakiery długo schły. I tak staliśmy obok siebie w kolejce do kasy, a sześć lat później, dzień przed Wigilią, staliśmy tak w urzędzie. No ale to pamiętasz.

– Pamiętam. A dlaczego my o tym właściwie rozmawiamy? Przepraszam, Kubacki, ale chyba się nie wyspałem, jestem jakiś rozkojarzony.

– Tak sobie. Żeby nie zapomnieć, że cuda się zdarzają.

– Cuda...

– Takie zwyczajne. Zwyczajne cuda.



– Nie.

– Tak.

– Nie wkręcasz mnie? – Krzysiek na chwilę odsunął telefon od ucha, jakby się spodziewał, że gdy na niego spojrzy, to zobaczy w nim Aśkę i będzie mógł ocenić, czy ona sobie robi z niego żarty, czy też nie.

– Szefa? Ulubionego? Skąd.

– A skąd ty o tym wiesz?

– Bo tyle miałam roboty, że gdy Robek zaproponował, że weźmie dzieciaki na spacer, bo zaplanował wycieczkę ze swoimi dogami do Powsina, no to się zgodziłam. Strasznie je kocham, ale trzy godziny bez nich wydały się nęcące. Będziesz miał dzieci, to zrozumiesz tę pozorną sprzeczność. No więc zawiozłam je, wróciłam do domu, ogarnęłam zakupy i nawet przydybałam tego kuriera po drodze. Pasma sukcesów po prostu. Ani się obejrzałam, a już trzeba było wracać po dzieci. Właśnie podchodzili pod klatkę. Dzieci zachwycone, psy w sumie też, może trochę zmęczone, za to Robek... Coś się wydarzyło, widzę. Pytam go, a on mi pokazuje SMS. Ten sam, co ja dostałam. I Jolka, i Mariusz. Więc mu mówię, że to sprawdzimy, a on na to, że on był w tym sklepie zoologicznym, odbierał karmę do schroniska, któremu LabMed pomoże. I że chyba wie, od kogo ten SMS, bo był tam taki facet, który mu się przyglądał, i on też zwrócił na niego uwagę...

– No nie. – Krzysztof sądził, że wyczerpał już limit zdziwień w tym miesiącu.

– No tak!

– Ale dlaczego w takim razie do was też przyszły takie SMS-y?

– Właśnie. Dowiem się, kiedy Robek się z nim spotka. Bo też do niego dzwonił, i też bez efektu, ale kiedy napisał SMS-a, to tamten się odezwał i się umówili. Śmieszne, bo to wygląda tak, jakby ten facet nie mógł trafić w numerki.

– To znaczy?

– Bo my mamy telefony firmowe, tak?

– No tak.

– Numery różnią się tylko jedną cyfrą, na końcu.

– Ciekawe...

– No. Dobra, muszę kończyć, bo mi zaraz dom rozniosą. Do jutra, szefie.

– Do jutra.

„Olej, groszek, jedna cyfra”, pomyślał. Dlaczego innym mogły się przytrafiać takie historie, a jemu nie?...

ROZDZIAŁ 30



Na stolikach, oprócz kubków i dzbanków z wodą, Marta ustawiła miseczki z samodzielnie przez nią przygotowanymi piernikami i małe stroiki – gałązka świerku, bombka i świeczka. Pachniało i wyglądało świątecznie. To było ostatnie spotkanie Nibylandii w tym roku.

Westchnęła.

Czuła się zmęczona, ale to było inne zmęczenie niż zwyczajowo o tej porze roku. Zwykle była zestresowana i przygnębiona powtarzającym się scenariuszem – w mediach wesołe przygotowania, szczęśliwe obrazki, handel podbijał ten klimat, wyciskając, ile się da z klientów, oni spotykali się w tym pokoiku, zanurzeni w lekturach, jakby trochę obojętni na świąteczne szaleństwo za oknem, a Marta myślała o tym, co za kilka dni pójdzie nie tak.

Generalnie wiedziała, co pójdzie nie tak – wszystko. Urozmaicenie dotyczyło detali.

Czy mama, rozpakowując prezent, powie, że niczego jej nie trzeba, bo już wszystko ma – prócz miłości i zrozumienia, czy że nie warto wydawać pieniędzy, bo ona i tak niedługo umrze.

Czy tym razem na tapecie będzie dusznica czy zakrzep, a może tylko migrena.

Czy mama częściej będzie dzwoniła, czy słała SMS-y, ponaglające Martę do wyjścia od ojca i Anki.

Czy przy świątecznym stole więcej będzie milczenia, czy przytyków.

Powtarzalne, smętne, ale znajome klimaty.

W tym roku zaś święta były niewiadomą – ekscytującą i pełną obietnic niewiadomą.

Szkoda tylko, że dotyczyło to wszystkich oprócz niej. W jej życiu nic się nie zmieniło.

Znowu westchnęła.

– Hej! – W drzwiach pojawiła się Iwona. – Jestem pierwsza?

– Hej. Tak, chodź. Jeszcze kwadrans.

– No to się pospieszyłam.

„Bardzo ładnie wygląda”, zauważyła Marta, „jakoś inaczej”. Iwona nie miała na sobie nic różowego – tym razem wybrała błękity. Poza tym, i nie była to chyba kwestia wyłącznie kolorystycznej zmiany – Iwona sprawiała wrażenie bardzo pogodnej. Rzadko się tak zdarzało w zwykłym czasie, a już przed świętami – nigdy. „Chyba rzeczywiście wdraża te zmiany w życie”, pomyślała Marta.

– Co dziś przyniosłaś?

Marta uzgodniła z klubowiczami, że zamiast wspólnej, ostatniej w tym roku lektury każdy przyniesie wybraną przez siebie książkę i opowie o niej pozostałym. Trudno im było znaleźć satysfakcjonujący kompromis, więc chętnie zaakceptowali takie rozwiązanie.

– Ten tytuł, który mi kiedyś poleciłaś. Dawno temu. – Iwona wyciągnęła z torby książkę w niebieskiej okładce. – *Nieposłuszeństwo*, Naomi Alderman.

Marta pamiętała ten moment. Rzeczywiście, to było dawno temu, chyba na początku tego roku. Iwona wydała się jej wtedy jakaś zgaszona, przybita, zmęczona. Dzieci chorowały, mąż dużo pracował, ona się miotła. Marta, powodowana złością, że Iwona tak się temu poddaje, podsunęła jej ten tytuł – opowieść o Żydówce, która wyjechała do Stanów, gdzie zaczęła całkiem inne życie, a po śmierci ojca, rabina, wróciła do żydowskiej dzielnicy w Londynie, gdzie spotkała dawną przyjaciółkę, która wybrała zupełnie inny, tradycyjny los. „Skonfrontuj się”, pomyślała wtedy, mając na myśli oczywiście Iwonę. A w domu ochłonęła i, uczciwiej, powiedziała do

swojego odbicia w lustrze: „Sama się skonfrontuj”. Nie miała ojca rabina, tylko mamę, która nie chciała odciąć pępowiny i puścić Marty wolno, a Marta się na to godziła.

Potem to się zaczęło zmieniać, znaczy Marta zaczęła się zmieniać, ale sprawy nabrały rozpędu, gdy mama poznała Mirka.

Tak czy owak, wychodziło na to, że świat szedł do przodu, a Marta zostawała w tyle.

– Cześć! – Teraz dołączyła do nich Kamila.

Kamila też wyglądała inaczej. Zamiast kozaków – trapery, spódnicę zastąpiły džinsy, miejsce koszuli zajął sweter.

– Jadę prosto z zajęć, o siódmej mamy wigilię ośrodkową, z ogniskiem, więc zostawię was wcześniej. Ale książkę mam, przyniosłam. – Kamila sięgnęła do swojego przepastnego worka i wyjęła z niego niedużą publikację z czarno-białym zdjęciem na okładce. *O szczęściu*, przeczytała Marta. Wydanie wyglądało na stare i niemające nic wspólnego ze współczesnymi pop-poradnikami.

– Hej, hej. – Przywitanie było podwójne, bo w progu stanęli jednocześnie Justyna i Eryk. Marta miała wrażenie, że oboje puścili do niej oko. A już nie w sferze wrażeń, a faktów było to, że trzymali się za ręce.

Zaraz po nich przyszła kolejna para – Dorota i Sławek. Bez splecionych dłoni, ale też ewidentnie jako tandem.

Brakowało tylko Jacka.

Marta bardzo go polubiła. Był po prostu fajnym człowiekiem, a do tego dzielił z Martą podobne niespełnienie. No niestety, Marta zdawała sobie z tego sprawę, ale nic nie potrafiła na to poradzić – lubiła go także za to, że, podobnie jak ona, wciąż nie ułożył sobie życia.

– ...my też mamy jedną. – Z zamyślenia wyrwał ją głos Justyny. Stała obok Doroty i najwyraźniej rozmawiały o dzisiejszych lekturach. Marta już chciała do nich podejść i obejrzeć te podwójne wybory, gdy do sali wpadł Jacek. Był, jak zwykle, w szarościach, ale tym razem przełamanych zaróżowieniem na policzkach.

– Minuta po, no to prawie, prawie zdążyłem.

– Fantastycznie, czyli możemy zaczynać. – Marta stanęła na środku sali. – Dzisiaj zaczniemy od... pierników, gdyby ktoś miał chęć. Sama piekłam. – Jakoś trzeba było rozpocząć to spotkanie, a Marcie nagle zabrakło pomysłu na podsumowujący wstęp. Tym bardziej nie była przygotowana na zakończenie, ale miała nadzieję, że w trakcie rozmowy ono się jakoś wyklaruje. Do tej pory schemat był przejrzysty: ona zaczynała, ona moderowała, ona puentowała. Omawiane teksty także najczęściej zostały przez nią proponowane.

Dziś było inaczej, pod każdym względem. Przyszło jej do głowy, że dzisiaj to oni, każde z nich pojedynczo (w parach zresztą też) mogliby podsumować ten książkowo-życiowy rok i w sumie każda z tych historii nadawałaby się na fabułę jakiejś – pogodnej, happyendowej powieści obyczajowej. Tylko ona zostałaby bohaterką książki *Jak nic nie zmienić w swoim życiu*. Przed szóstą dołożyłaby do tej powieści Jacka, bo przyjemniej być malkontentem i marudą we dwoje, ale kiedy wpadł do biblioteki taki zdyszany i z wciąż szarymi, lecz jednak błyszczącymi oczami, to przecucie ją tknęło i szepnęło, że i on jeszcze może ją zaskoczyć.

– Pyszne są. Pan Piotr już nas częstował. – Iwona pierwsza sięgnęła po brązowe serduszko. – Chyba nie mógł się doczekać. – Uśmiechnęła się, gdy nikt z klubowiczów nie przytaknął, że też już próbował tych świątecznych wypieków.

Marta pomyślała, że Piotr często się zachowywał jak duże dziecko – był spontaniczny, szczery, bezpośredni i niefrasobliwy. Nie w pracy, jako bibliotekarz doskonale się sprawdzał, nie licząc sytuacji, gdy źle odkliknął oddawaną lub pożyczaną książkę albo przypadkiem skasował jakiś folder. Natomiast gdy szło o relacje z czytelnikami – o, tu był niezrównany. Łatwo nawiązywał kontakty, zawsze potrafił doradzić lekturę, ludzie go po prostu lubili.

No i zawsze starał się pomóc. Nie zawsze legalnie, jak z tymi numerami telefonów, choć w tym przypadku Marta także nie miała czystego sumienia. Tyle tylko, że ona robiła to w ich dużej bibliotecznej rodzinie, a Piotr się nie ograniczał.

Dziś rano wyznał jej jeszcze, że napisał do tego faceta od filantropii, bo w końcu znalazł do niego numer, żeby go ostrzec przed tą Igą. Marta nawet nie chciała wiedzieć, co mogło być w tym SMS-ie. I dlatego się nie zdziwiła, że facet nie przyszedł na spotkanie. „Tyle bibliotek potrzebuje wsparcia, nie musi pomagać akurat tej, gdzie pracują sami wariaci”, westchnęła. Było jej przykro, bo liczyła na doposażenie ich księgozbioru, ale trochę publikacji im przybyło w odezwie na ogłoszenia zachęcające do dzielenia się już przeczytanymi książkami. „Przynajmniej te plakaty na coś się przydały”, pomyślała. Mimowolnie spojrzała na Jacka. „Może tamten jednak też?...”

– ...absolutnie fantastyczna. Absolutnie.

„Absolutnie fantastyczna” w ustach Doroty brzmiało osobliwie. Gestykulacja w jej przypadku też była niecodzienna.

– Zaczyna się tak ładnie, dobra, porządna rodzina, wszystko na miejscu. No, może dzieci mają swoje problemy, to znaczy jedna córka, ale tak to już jest z dziećmi. Natomiast rodzice to ostoja i opoka. A potem to wszystko zaczyna się sypać. To znaczy jedna córka przyznaje, że jest lesbijką, drugą mąż zdradza, nastoletnia wnuczka zachodzi w ciążę, ojciec nawiązuje romans – trzęsienie ziemi. Degrengolada. A potem... – Dorota zawiesiła głos – ...potem jest tak jak po burzy na morzu – fale się uspokajają, niebo błękitnieje, wychodzi słońce. Ten sztorm okazuje się taki... taki... oczyszczający. Paradoks: z pozornego ładu, roztrzaskanego, wyłania się ład prawdziwy – dopiero teraz ci bohaterowie mają szansę być naprawdę sobą. – Dorota przejechała dłonią po okładce *Więzów rodzinnych* Deborah Moggach.

– Chciałem coś o roślinach, pamiętacie? – Sławek się uśmiechnął. – I tam było o ogrodach, bo to w końcu Anglia. Więc dostałem książkę zgodnie z zamówieniem, można powiedzieć. I dostałem też dużo więcej. – Spojrzał na Dorotę w taki sposób, że Martę aż coś ścisnęło ze wzruszenia. – Zresztą – teraz odwrócił się w stronę pozostałych klubowiczów – dostałem dużo więcej. Nie tylko od Dorotki, ale od was wszystkich. Każda książka, każde spotkanie

przybliżało mnie do tego miejsca, w którym teraz jestem. No tak, tak było. – Odchrząknął, a głos mu się lekko załamał.

– Ja sobie przygotowałam, to znaczy zapisałam różne swoje przemyślenia po lekturze. – Iwona złożyła leżące przed nią zapisane równym pismem kartki na pół i odsunęła je na brzeg stolika. – Ale w sumie to ich nie potrzebuję. Przecież to nie wykład, prawda? Więc ja bym mogła powiedzieć prawie to samo co pan Sławek i pani Dorota, bo chyba wybraliśmy podobne lektury. Znaczą różne, jeśli chodzi o fabułę, ale jakoś spójne, jeżeli chodzi o zakończenie. Żeby iść swoją drogą. Swoją, to znaczy nieutartą. Nie tak jak wszyscy, nie przeciw wszystkiemu, tylko tak, żeby w końcu poczuć, że to moja droga i mój szlak. Tak, jakoś tak bym to powiedziała. – Iwona zaczęła się wpatrywać w czubki swoich butów. Też się wzruszyła.

Marta pomyślała, że nawet gdyby przygotowała scenariusz dzisiejszego spotkania, to zapewne odłożyłaby go na bok, tak jak to Iwona zrobiła ze swoimi zapiskami. Życie toczyło się swoim nurtem – i dobrze, bo właśnie to próbowali sobie dzisiaj, na ostatnim w tym roku spotkaniu w Nibylandii, powiedzieć.

– My też mamy wspólną lekturę. I też bardzo życiową. – Justyna podniosła książkę z bajecznie kolorową okładką. *Co nowego w raju* Davida Lodge’a. To była jedna z ulubionych powieści jednego z ulubionych pisarzy Marty.

– Śmieszna, nawet bardzo, i smutna jednocześnie. O szukaniu siebie i... i miłości – dodał Eryk. – Która jest nieoczywista i zjawia się w niespodziewanych momentach.

Marta co jakiś czas wracała do tej powieści. I za każdym razem zachwycała się tym, że można napisać coś tak wciągającego, zabawnego, a jednocześnie przenikliwego i zupełnie niemoralizatorskiego. Za to ostatnie szczególnie lubiła Lodge’a – że potrafił tak czule opowiadać o życiu – czule i nieoceniająco.

– Zapisałam sobie wszystkie te tytuły. – Kamila się podniosła. – Niczego nie znam, wszystko wydało mi się ciekawe. Inspirujące. Jak życie. Uprzedzałam Martę, że muszę wcześniej wyjść, bo mam spotkanie wigilijne u naszych dzieci.

Marta kiwnęła głową.

– Ja też się przygotowałam na dziś, ale przypuszczałam, że pewnie będzie tak, że zdążę trochę was posłuchać, a samej opowiedzieć o swojej lekturze już nie. Zresztą wybrałam taką książkę, której się nie da streścić w kilku słowach. W kilku zdaniach też by było trudno. Wybrałam fragment, który jest mi bliski, który stał się moim życiowym drogowskazem. Może wam też się przyda... Nie przeczytam go, nie tylko dlatego, że naprawdę muszę już iść, ale też dlatego, że to jest tekst, z którym dobrze pobyć samemu. Wydrukowałam go dla was. – Kamila wstała, podniosła książkę i wyciągnęła zza okładki kolorowe kartki. Podeszła do każdego z nich i każdemu wręczyła jedną.

Marta dostała zieloną. „Kto nie ma do zwalczania elementarnych braków, ten odkrywa w swym życiu inne braki; gdzie nie ma cierpień elementarnych, tam rozrastają się inne. W miarę jak życie staje się wygodniejsze i przyjemniejsze, zwiększa się przywiązanie doń; wraz z przywiązaniem zwiększa się obawa o nie; a z obawą przybywają nowe cierpienia. W ten sposób cierpienia powstają z samej przyjemności życia i braku w nim powodów do cierpienia. I różnica w ilości cierpienia doznawanego w narodzie bogatym i żyjącym wygodnie a ubogim i ciężko pracującym nie jest może tak wielka, jak to sobie wyobrażają członkowie zarówno jednego, jak i drugiego; jednym różnicę wyolbrzymia wyobraźnia, drugim zaś brak wyobraźni, niezdolność wyobrażenia sobie przez ludzi życia bez tych rzeczy, które zawsze mieli i do których przywykli”.

– Dobrych świąt. – Kamila stała już blisko wyjścia. W jednym ręku trzymała piernik, w drugim kurtkę. Po chwili usłyszeli dźwięk zamykanych drzwi.

– Piękny cytat – powiedziała Dorota.

– Tak. – Kiwnęła głową Iwona. – Kamila okazał się taka... fajna. I mądra.

– Cóż... chyba taka była. Tylko nam to umknęło. – Dorota rozłożyła ręce.

Iwona pokiwała głową.

– A ja dziś powinienem zgłosić nieprzygotowanie. – Jacek wreszcie się odezwał. – Bo nie wybrałem żadnej książki. Ale... – Rozejrzał się po sali, jak ktoś, kto szykuje sporą niespodziankę i chce mieć dobre wejście, więc przygotowuje grunt. – ...też coś czytałem. Krótkie formy. Współczesne.

– Opowiadania? – próbowała zgadnąć Iwona.

– Nie, jeszcze krótsze. – Tajemniczo uśmiechnął się Jacek.

– No to wiersze – strzeliła Justyna.

– Też nie. Choć może, gdyby to zakwalifikować jako białą poezję...

– Reportaże także nie w takim razie. Poddajemy się, nie zgadniemy. Co to? – zapytał Eryk.

– SMS-y – odparł Jacek.

– SMS-y? To jakaś nowatorska książka – zdziwiła się Iwona.

– To nie książka. To samo życie. Tak samo intrygujące jak te fabuły, o których opowiadaliście. Pamiętacie, jak mówiłem o tym ogłoszeniu, o nieudanym spotkaniu, potem o tych rozmazanych cyferkach i że mimo wszystko się nie poddaję, tylko piszę? No więc pisałem. Już nie pamiętam, ile wysłałem SMS-ów, na wszelki wypadek nie odbierałem telefonów, tylko sprawdzałem wiadomości. Były różne, czego się spodziewałem. Są ludzie mili i niemili, sympatyczni i zgryźliwi. Znowu jak w życiu. Skreślałem kolejne kombinacje i wysyłałem ten sam tekst. I w końcu dwa dni temu... Bingo! Znalazłem go! Ten mój świąteczny prezent. – Jacek promieniał teraz czystym szczęściem.

– Tego faceta ze sklepu, z przystanku i z ogłoszenia? – zapytała Justyna.

– Tak i nie. Tego ze sklepu i z przystanku, ale nie z ogłoszenia.

– Jak to nie z ogłoszenia? – zdziwiła się Iwona. – No przecież ty pisałeś na ten numer z plakatu. To jeśli nie on to powiesił, to kto?

– Zagadka iście kryminalna. Zdaje się, że ktoś chciał kryminału na koniec roku, no to teraz będzie mógł powysilać szare komórki i spróbować rozwikłać tę sprawę – powiedział Sławek.

– Ja chciałam. – Zaśmiała się Justyna. – Potem mi przeszło. – Spojrzała na Eryka. – Ale to raczej jakaś *mystery story*. Tajemnicza

historia.

– Magiczna. Nawet lepsza niż powieść świąteczna, o którą ja prosiłam – stwierdziła Iwona. – I jakie będzie zakończenie?... – Odwróciła się w stronę Jacka.

– A jak się kończą takie książki? – zapytał Jacek. – Bo ja do tej pory inne czytałem. – Po jego minie widać jednak było, że zna odpowiedź na to pytanie.

– Happy endem – zapewniła go Iwona.



„Happy endem”, powtórzyła Marta w myślach, gdy umyła ostatni kubek, a w sali spotkań Nibylandii było już pusto.

Westchnęła. Zapakowała trochę pierników do pudełka. Pani Basia obiecała, że dziś wpadnie, żeby osobiście złożyć jej życzenia. Zwolnienie miała wypisane na kilka kolejnych dni, ale czuła się już na tyle dobrze, że robiła sobie krótkie spacerki. Zapowiedziała się na chwilę przed siódmą, tuż po skończeniu spotkania klubowego.

Przewiązała czerwoną wstążeczkę i odłożyła pudełko na blat.

Poszła do kanciapy, żeby zabrać posegregowane śmieci. Nie chciała niczego zostawiać na weekend.

Potem jeszcze wróci, na spokojnie pozamyka komputery, uporządkuje stoliki, złoży życzenia kierownicze i wróci do domu. Przedświąteczny piątek, taki, jak wszystkie inne.

ROZDZIAŁ 31



Co go podkusiło, żeby jechać samochodem? Piątek, dwudziesty grudnia, okolice centrum handlowego. Ile trzeba wiary lub naiwności, by uważać, że da się wtedy sprawnie przemieścić autem.

Stał w korku już siedemdziesiątą drugą minutę. Bez szans na zawrócenie, zaparkowanie po drodze, przyspieszenie.

Mógł tu tylko tkwić i się denerwować.

Mógł też się nie denerwować.

Tkwić jednak musiał.

Najgorsze było to, że jednak zawali tę sprawę. Nie zdąży do biblioteki, a jutro jedzie do mamy i wróci dopiero po świętach. Zawiedzie Aşkę. Zawiedzie także tę bibliotekarkę, bo przecież napisał, że się zjawi. Ostatecznie zawiedzie również czytelników tej placówki.

Zawodzenie i doznawanie zawodów, tak, w tym był niezły.

A do tego jeszcze zaczynał padać śnieg, wcześniej niż przewidywały prognozy.



Wyszła z biblioteki. Poczwała na policzku coś mokrego. Płatek śniegu.

Podniosła głowę. W świetle latarni zobaczyła migoczącą biel.

„Ostatni element potrzebny do magii świąt”, pomyślała.

Szczelniej owinęła szyję szalikiem, nasunęła czapkę na uszy i poszła w głąb osiedla. Wiata z koszami na śmieci była na końcu długiej alejki.



Ponownie nacisnęła dzwonek domofonu. Bez odzewu. W oknach biblioteki jednak świeciło się światło, więc Marta powinna być. Zresztą się umówiły, a Marta zawsze była solidna. Może jest w łazience? A może wyszła na chwilę do domu kultury? Dobrze, że ma swoje klucze. Wyciągnęła z torby brelok z puchatym pomponem i przekręciła klucz w zamku, a potem zeszła schodami do bibliotecznych drzwi.



Nawigacja pokazała mu, że jeśli teraz skręci w lewo, to wjedzie w jednokierunkową uliczkę, doprowadzającą go w pobliże biblioteki. Potem cztery minuty pieszo, przejście przez ulicę, dwie minuty i jest w bibliotece.

Była punkt siódma. Ta kobieta pewnie już poszła, choć był cień nadziei, że jednak na niego czeka. Zresztą zadzwoni i zapyta.



Pani Basia weszła do biblioteki.

– Martusiu? – zapytała.

Odpowiedzią była cisza.

Żaden głos się nie odezwał, zadzwonił natomiast telefon. Spojrzała na biurko Marty. Jej aparat, to znaczy, że gdziekolwiek poszła, wróci.

Pani Basia podeszła do czajnika, włączyła go. Przywita ją ciepłą herbatą.

Kto by przypuścił, że jednak spadnie śnieg? Było coraz bielej i coraz ładniej, ale i zrobiło się zimno.

„Akurat na święta”, pomyślała. „Świetnie, właśnie tak powinno być w Boże Narodzenie”.



Bibliotekarka nie odbierała.

„Kurwa”, Krzysiek walnął dłonią w kierownicę. „Jak po grudzie to wszystko idzie. Odpuszczam”.

Dlaczego innym życie mogło się tak fajnie toczyć, nie to, że zawsze gładko, ale w końcu pomyślnie, a on zaliczał porażkę za porażką? Zawodowo nie, to fakt, ale prywatnie...

„Bo zawodowo zawsze byłeś konsekwentny i nie odpuszczales”, pomyślał. „Pracowałeś i pomagałeś losowi”.

„A niech tam”, włączył kierunkowskaz i wjechał w ciasną uliczkę.



Doszła do śmietnika. Sięgnęła ręką do kieszeni. Pusta. Druga – też pusta. Przecież zabrała klucz z kanciapy, na pewno. I wsunęła go do kurtki. Był tam, kiedy wyjmowała rękawiczkę.

„Jezu. I co jeszcze się dziś zdarzy?”, westchnęła.

Rękawiczki włożyła mniej więcej w połowie drogi. Kwadrans szukania jak nic. I jeszcze nie wiadomo, czy go znajdzie. Nadzieja była, bo pani Basia kochała breloki z dużymi pomponami.

Położyła worki pod ścianą wiaty i ruszyła w drogę powrotną, uważnie patrząc pod nogi.



Pierniki były pyszne. Cóż za aromat. Z herbatą jeszcze poczeka, bo nie wiadomo, ile się Martusi zejdzie. Nigdy nie można być pewnym, co tam człowieka po drodze spotka.



Wolne miejsce. Ostatnie, na samym końcu uliczki. Nie wierzył w szczęśliwy los, ale jeśli choć raz życie postanowiło być dla niego łaskawe, to mogłoby coś znaczyć.

Zaparkował, wysiadł z auta.

Padło coraz bardziej.

Poszedł białą ścieżką w kierunku biblioteki.



„Ni cholery nie znajdę tego klucza”, Marta miała już zimne i mokre dłonie, plecy bolały ją od schylania się. „Zadzwoń do pani Basi, żeby się nie denerwowała”.

Obmacała obie kieszenie. No tak, telefon został w bibliotece.

„O wszystkim zapominasz, wszystko gubisz ostatnio. Tylko serca ci się nie udaje”.

Pomyślała o swoich klubowiczach. Każdy z nich będzie miał w tym roku inne – lepsze święta. Każdemu z nich udało się popchnąć swoje życie w dobrą stronę. Każdy z nich powie – ciesząc się nowym lub utwierdzając w obecnym: „To właśnie miłość”.

A ona...

Poszła dalej; coraz więcej płatków wirowało dokoła.



Wreszcie. I bingo! W bibliotece było jasno, znaczy pani Marta na niego czeka. Telefonu nie odbierała, ale wciąż była na posterunku.

Los jednak bywa czasem łaskawy.



Dzwonek domofonu. „O, Martusia wraca”, pomyślała pani Basia. Podeszła do drzwi i nacisnęła guzik. „Właściwie to przecież mogła wstukać kod”, pomyślała. Ona sama nie lubiła tych kombinacji, wołała otwierać drzwi kluczem, ale ci młodzi to pyk, pyk, gwiazdka, kluczyk, cyferki. „A może ma ręce zajęte?”, pomyślała. Zresztą nieważne.



Wszedł do biblioteki. Ależ ładnie pachniało. Herbatą z pomarańczą i piernikami. Pani Marta czekała, i to z poczęstunkiem.

– Dobry wieczór! – powiedział.

– Dobry wieczór.

Nie tak ją sobie wyobrażał, myślał, że jest młodsza, ale jakie to ma znaczenie? Ważne, że się udało w końcu spotkać.

– Przepraszam, że tak późno, ale wszędzie korki i jeszcze śnieg pada. No ale jestem i nie zabiorę dużo czasu, bo wiem, że już po godzinach pracy. Zatem – do konkretów. Mamy do wydania dwadzieścia tysięcy, na zakupy biblioteczne i jakieś inne potrzeby. – Rozejrzył się po wnętrzu. – LabMed z przyjemnością wesprze lokalną placówkę kultury.

„Dwadzieścia tysięcy”, pomyślała pani Basia. „Ile to książek! I można by kilka nowych regałów zamontować. I może odmalować

nawet by się dało”. Była po prostu oszołomiona. Piotruś wspominał o tym pomyśle, ale nie powiedział, że to taka kwota. Zresztą trochę już żyła na tym świecie i powoli przestawała wierzyć w cuda. Ale teraz ten cud się ziścił. Boże, jak dobrze, że właśnie dziś przyszła do biblioteki! Martusi nie ma i kto wie, czy biblioteka by się nie obeszała smakiem.

– Cudownie, że pan wpadł. Właśnie zalałam herbatę. Pierniczki też mamy. Siądźmy i zaraz wszystko sobie ustalimy.



„Ten śnieg mnie zasypie, a cholernego klucza nie znajdę”. Marta była bliska rozplakania się.

Postanowiła raz jeszcze przejść tę samą trasę. Jeśli się nie uda, trudno. W końcu to nie pierwsza porażka w życiu.

Ale tym razem mogłoby się jej jednak udać.

Taki mały, zwyczajny happy end.

Aż tak dużo chciała od życia?



– Bardzo panu dziękuję. W imieniu biblioteki i czytelników. Wspaniała hojność. Oczywiście przygotujemy oficjalne podziękowania, jakiś dyplom, coś do powieszenia na ścianie. Dobrocią warto się pochwalić. Piotruś lub Martusia, nasi bibliotekarze, się odezwą, bo ja jeszcze na zwolnieniu, wie pan, grypa, dziś specjalnie wpadłam.

„Pewnie dlatego nie było tej młodej”, pomyślał. „Wszędzie jednak jest hierarchia i sprawy na najwyższym szczeblu załatwia kierownik. Bez różnicy, dobrze, że się udało”.

Postanowił, że gdy dojdzie do auta, wyśle Aśce SMS-a.

Pożegnał się i wyszedł.



„Nie, ma, nie ma, nie ma. W cholere!”

Ze złości Marta kopnęła w metalowe drzwi śmietnika.

Trudno. Poprosi wspólnotę o klucz, dorobi drugi. Pójdzie do centrum, wysłucha kolęd, piosenek, oslepią ją lampki, będą potraćać ludzie na ostatnią chwilę zostawiający świąteczne sprawunki, a ona będzie patrzyła, jak facet w punkcie usługowym szlifuje nowy klucz. Potem powie jej „wesołych świąt”, a ona będzie mu życzyła tego samego.

Czysta magia, nie ma co.



Było jeszcze bielej, niż gdy wchodził do biblioteki. Płatki śniegu gęsto spadały na trawnik i chodniki, przykrywały ławki, lampy, dachy samochodów, plecy i czapki przechodniów.

Postawił kołnierz i ruszył w kierunku auta.



Było jej zimno i mokro. Gdyby nie to i gdyby nie wpadka z kluczem, to pomyślałaby, że jest pięknie.

A może jednak było pięknie, mimo wszystko?

Spojrzała w niebo.

Przez chwilę, mgnienie, nim płatki zmieniły się w kropelki wody na jej twarzy, miała wrażenie, że dotyka jej najprawdziwszy puch.

Śnieg był i tym, i tym – i migoczącym piórkiem, i kroplą marznącej wody, zależy, jak patrzeć.



Szedł i szedł. Widoczność była coraz gorsza, ale mimo wszystko coś widział i nie było to to, co obserwował poprzednim razem, co mogło oznaczać tylko jedno – pomylił strony i zamiast iść w kierunku ulicy, szedł w głąb osiedla.

„Zawsze miałem niezłą orientację w terenie”, pomyślał.

Tym razem jednak intuicja go zawiodła.

Już miał się odwrócić i zmienić kierunek, gdy zauważył na ziemi jakąś kulkę. Schylił się, podniósł przedmiot, otrzepał go ze śniegu. Śmieszny kolorowy brelok, taki jak pompon od czapki, z kluczem na metalowym kółku.

„Co z nim zrobić?”, zastanowił się.



„Jeszcze kawałek i będę”, pomyślała.

Ciekawe, jak się wszystko zmienia, gdy spadnie tyle śniegu. Niby ta sama uliczka, te same bloki i latarnie, a wszystko wygląda inaczej.

Na przykład ten mężczyzna.

Kiedy szukała klucza, to go nie było. A teraz stał na środku chodnika i wpatrywał się w swoje dłonie.

Gdy była już blisko, zobaczyła, że ten przedmiot, który tak go interesował, to był puchaty, biblioteczny brelok z kluczem.

„Cuda jednak się zdarzają”, pomyślała.

W tym momencie mężczyzna podniósł głowę i Marcie zabrakło tchu.

To był Hugh. Ten z przystanku, plakatu, przypadkowo spotkany i bezpowrotnie utracony, jak się jej wydawało.

Nieemożliwe, ale to jednak był on.

Stała, jakby jej stopy przymarzły do chodnika.

Śnieg wpadał jej za kołnierz, osiadał na czapce, przyprószał ramiona.

Krzysztof patrzył na tę kobietę. Podniósł głowę, bo wyczuł na sobie czyjś wzrok.

I kiedy ona spojrzała, poczuł coś dziwnego. Bo on znał to spojrzenie – spojrzenie, o którym myślał po historii z Igą i kiedy patrzył na zdjęcia Asi. Spojrzenie, które kiedyś przecięło się z jego spojrzeniem, ale było chwilą, mgnieniem i już sam nie wiedział, czy naprawdę się wydarzyło.

A jednak.

„Przypadek. Chwila. Mgnienie. Otwarcie się na los, gotowość na zmiany”, pomyślała Marta.

„Olej, groszek, jedna cyfra”, pomyślał Krzysztof.

„Dlaczego innym mogą się przytrafiać takie historie, a mnie nie?”, pomyśleli oboje jednocześnie.

„Ile w tym magii, a ile zwyczajnego życia?”, Marta zrobiła krok do przodu.

„Życie bywa zwyczajne, ale bywa też cudowne”, Krzysztof też postąpił o krok.

Stali teraz blisko siebie, na wyciągnięcie dłoni.

– Czy to pani zguba? – zapytał.

– Moja. – Marta wyciągnęła rękę.

Położyła zmarznięte palce na puchatym breloku. Jej palce dotykały teraz jego dłoni. Zamknął je w delikatnym uścisku.

Śnieg padał i padał, ale parze stojącej na chodniku zupełnie to nie przeszkadzało.

– Zgubiłam ten klucz i myślałam, że już go nie znajdę. To po prostu cud, że pan...

– Przechodziłem tędy, choć chciałem iść w zupełnie inną stronę. Czasem takie zwyczajne pomyłki dają...

– Zwyczajne cuda – dokończyli oboje.

SPIS TREŚCI



[Okładka](#)
[Karta tytułowa](#)

[PROLOG](#)
[ROZDZIAŁ 1](#)
[ROZDZIAŁ 2](#)
[ROZDZIAŁ 3](#)
[ROZDZIAŁ 4](#)
[ROZDZIAŁ 5](#)
[ROZDZIAŁ 6](#)
[ROZDZIAŁ 7](#)
[ROZDZIAŁ 8](#)
[ROZDZIAŁ 9](#)
[ROZDZIAŁ 10](#)
[ROZDZIAŁ 11](#)
[ROZDZIAŁ 12](#)
[ROZDZIAŁ 13](#)
[ROZDZIAŁ 14](#)
[ROZDZIAŁ 15](#)
[ROZDZIAŁ 16](#)
[ROZDZIAŁ 17](#)
[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Agnieszka Jeż, 2020
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2020

Zdjęcie na okładce: © Victoria Chudinova

Redakcja: Agnieszka Szmatoła/Słowne Babki
Korekta: Lena Marciniak-Cąkała/Słowne Babki
Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-360-3

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.